

Danuta Noszczyńska

WSZYSTKIE ŻYCIA HELENY P.



HELENA P., GWIAZDA
LAT 90-TYCH ŻYJE!

Aktorka uznana
za zmarłą wraca
na scenę!



Danuta
Noszczyńska

**WSZYSTKIE
ŻYCIA
HELENY P.**

HELENA P. GWIAZDA
LAT 90-TYCH ŻYJE!

Aktorka uznana
za zmarłą wraca
na scenę!

dla Eli



Wydawnictwo SOL



www.wydawnictwosol.pl

© 2013 Danuta Noszczyńska
© 2013 Wydawnictwo SOL

Redakcja i korekta:

Jan Fręś

Projekt okładki:

Andrzej Brzezicki i Alicja Brzezicka ARIDI

Warszawa 2013

ISBN 978-83-62405-81-7

Wydawca:

Wydawnictwo SOL
Monika Szwaja • Mariusz Krzyżanowski
05-600 Grójec, Duży Dół 2a
wydawnictwo@wydawnictwosol.pl

ePub i Redakcja techniczna:

Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux
atelier@duchateaux.pl

I

Niby nic, a jednak sensacja

To wszystko przechodzi ludzkie pojęcie. I wszelkie granice zdrowego rozsądku. Ba! Niezdrowego również, a nawet najbardziej zwichrowanego...

Właściwie nie wiem nawet, jak zacząć. Każde, nawet najbardziej starannie ułożone zdanie, po krótkiej chwili istnienia na monitorze mojego laptopa zaczyna wyglądać co najmniej banalnie. Tak wiele zdań naraz ciśnie mi się na klawiaturę, ale żadnego właściwego. Takiego, którego zarówno treść, jak i brzmienie mogłyby zapewnić o wyjątkowości zaczynającej się właśnie opowieści. Nie, nie „wyjątkowości”. Cholerka, nawet to jedno słowo nie jest tu akuratne. Chodzi mi o to, że... A może... „prawdziwości”? Nie, to słowo z kolei jest zbyt zobowiązujące. No bo jak mam przekonać kogokolwiek, by uwierzył w całą tę historię, skoro ja sama nie bardzo wiem, co o niej myśleć? No, dobra, więc spróbuję inaczej: chodzi mi o to, aby czytelnik (tak jak ja), przynajmniej założył, że wierzy. I żeby w najbardziej szalonych momentach, zamiast odsądzać nas od czci i wiary (nas, czyli mnie i Helenę) przyjął, że właściwie to wszystko mogło wydarzyć się naprawdę... Bo niby czemu nie? Bo brzmi głupio, śmiesznie, niewiarygodnie? Może głupio. Niewiarygodnie? Na pewno. Ale absolutnie nie śmiesznie. A w każdym razie absolutnie nie wtedy, gdy spróbujemy się postawić w sytuacji mojej bohaterki. Oooo! Wówczas byłoby strasznie. Tak strasznie, że uchowaj nas Boże!

Poza tym mam jeden słuszny i niepodważalny argument, przemawiający za autentycznością opisanych przeze mnie zdarzeń (którym sama chwilami posiłkowałam się zapoznając się z relacją Heleny), a mianowicie, że jeśli coś nie jest niemożliwe, to znaczy, że jest możliwe. I tego się trzymajmy.

•

Pamiętam, jak dwa lata temu natknęłam się na informację w gazecie o domniemanej śmierci pewnej aktorki. Naszej, polskiej, niegdysiejszej seksbomby, śmiało korzystającej przed kamerą ze swych naturalnych atutów. Przyznam, że informacja ta wstrząsnęła mną dość znacznie, a to z dwóch powodów: po pierwsze, przypominałam sobie wówczas o istnieniu owej gwiazdy, dziwiąc się jednocześnie, że mogłam ją tak dokładnie wymazać z pamięci. A przecież w czasach mojej młodości żaden kinowy hit nie mógł się obejść bez tej dorodnej dziewczyny o wielkich, błękitnych oczach i twarzy smutnego anioła.

Po drugie, wstrząsnęły mną okoliczności jej „domniemanej” śmierci, a właściwie... oficjalny brak okoliczności. Sprawa drażyła mnie widać dość mocno, skoro wklepałam sobie w Google nazwisko gwiazdki, chcąc się czegoś więcej o niej dowiedzieć. Reasumując (filmografię, artykuły, a także komentarze internautów

pod artykułami), można wysnuć wniosek, że jej burzliwa kariera aktorska, która zaczęła się dla niej w wieku lat 15-tu, przypadła na koniec lat 80-tych i pierwszą połowę 90-tych. Zagrała ponad czterdzieści ról w filmach kinowych i telewizyjnych, po czym całkowicie znikła z życia publicznego. Podobno kariera ją przerosła. Potem przerosło ją małżeństwo. Na koniec przerosło ją życie. Jediną wierną i nieodstępującą towarzyszką stała się dla niej „czarodziejka gorzałka” ...

Zaraz, jak to było z tą „domniemaną śmiercią”? Czy też „domniemanymi okolicznościami”? Zdaje się, że dokonała żywota w jakimś parku, a zeszła na serce, gdyż przesycony alkoholem organizm odmówił posłuszeństwa. Nie pojawił się nikt z rodziny. Pogrzeb odbył się na koszt miasta, a o danych personalnych zwłok zaświadczyli współbiesiadnicy. Stąd ta „śmierć domniemana”. Choć właściwie powinno być „domniemane zwłoki”, ale to już były opinie internautów, bo nikt z naczynych świadków nie miał wątpliwości co do osoby denatki.

To było dwa lata temu. Wiosną tego roku natomiast wybrałam się z koleżanką z pracy do miasta Ł. Pojechałam służbowo, lecz bardzo chętnie, bo miasto jest piękne i bardzo „klimatyczne”. Korzystając z wiosennej pogody, podczas każdej z chwil wolnych od zajęć snułyśmy się cudnymi, zabytkowymi uliczkami, napawając się urokiem ich niepowtarzalnej architektury. W czasie któregoś z tych krótkich spacerków doznałam silnego, emocjonalnego wstrząsu: oto ni stąd, ni zowąd stanęłam naprzeciw wielkiego plakatu tutejszego teatru, promującego... „domniemane zwłoki” Heleny P.! Tak sobie wówczas z rozpędu pomyślałam, choć w rzeczywistości było to zdjęcie jak najbardziej żywej i w pełni kraszy aktorki! W dodatku podpisane jej imieniem i nazwiskiem. Wszystko się zgadzało. Poza, oczywiście, domniemanym stanem fizycznym.

A więc jednak – oznajmiłam na głos, wskazując na plakat. – Słuchaj no, ja muszę do

tego teatru! – zwróciłam się do koleżanki spontanicznie.

Nie możesz – odparła koleżanka z rozwagą.

Czemu?

Bo zaraz wracamy.

Fakt. Po krótkiej przerwie miało się odbyć podsumowanie naszych zajęć, z wyszynkiem oraz wręczeniem zasłużonego papierka, a potem w autokar i do domu. Nie było czasu na nic innego.

•

Całą trzygodzinną podróż z miasta Ł. do mojego rodzinnego spędziłam na gorączkowych próbach logicznego wyjaśnienia całej tej sytuacji. Dzięki temu odzywałam się do koleżanki z rzadka i półgębkiem, co ona sobie w końcu zinterpretowała jako urazę z powodu tej historii z teatrem. Bo moja koleżanka zawsze brała wszystko do siebie. No cóż, postanowiłam rozmówić się z nią bardziej szcze-

gółowo nazajutrz, bo teraz naprawdę nie miałam pomysłu na tę rozmowę. Zwłaszcza, że próbowałam, ale pograżyłam się jeszcze bardziej. Próba ta wyglądała mniej więcej następująco:

– No co ty, nie obraziłam się na ciebie, tylko.... Widziałaś ten plakat?

– Ten przy teatrze?

– No.

– No.

– Była na nim jedna nieboszczka taka. I to mi teraz zaprzęta myśli i dlatego się nie odzywam. No więc zrozum.

Koleżanka wolno odwróciła się w moją stronę i spojrzała mi tak jakoś boleśnie w oczy.

– Żarty sobie ze mnie robisz, tak?

– Nie, serio ci mówię.

– To ja nie rozumiem. Ona umarła, ta Helena... Jakaś tam?

– Właśnie. Umarła, a teraz jest sobie, jakby nigdy nic, na plakacie. Jako żywa.

– Ale... czemu?

– No właśnie tego nie wiem. I o tym rozmyślam.

Koleżanka odwróciła się do okna i gapiąc się w nie spędziła dalszą podróż w milczeniu. Biedna. Pewnie wprawiłam ją, nie pierwszy zresztą raz, w ciężką konsternację. Moja miła, dobra, pulchniutka koleżanka-blondynka, przy czym słowu „blondynka” należy się tutaj ogromny ładunek czułości, ckliwości wręcz. Zawsze mogłam na nią liczyć. Ponadto ma ona szereg niespotykanych, jak na kobietę, zalet: dyskrecję, prawdomówność, szczerłość, bezwzględną lojalność i całkowicie prawdziwe, dobre serce. Myślę, że najwyższy czas, by nazwać ją jakimś imieniem, może nawet jej własnym, ale będąc musiała zapytać, czy się zgodzi...

•

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Ciągle miałam przed oczami to plakat z żywą Heleną P., to znów artykuł o jej nagłym zgonie. Pewnie każdy inny normalny obywatel będący na moim miejscu wzruszyłby w końcu ramionami i zajął się sobą. Ale nie ja. Nie dość, że od zawsze fascynowały mnie różne paranormalne historie, to jeszcze moja wrodzona dociekliwość i podejrzliwość dolewały oliwy do ognia. Miałam zatem dwa wyjścia: albo przewracać się z boku na bok do białego rana, albo... dać się ponieść swojej naturalnej skłonności do sensacji i zjawisk nadprzyrodzonych. Po chwili zdecydowałam się na to drugie i z laptopem pod pachą, otulona włochatym szlafrokiem, cichutko, by nie obudzić mojego Bogu ducha winnego Faceta – wymknęłam się na taras.

Rozgwieżdżone niebo i wielki, bladolicy księżyc dodały moim poczynaniom całkiem odpowiedniej atmosfery. Brakowało tylko pohukiwania sowy i wycia wil-

ków... Umościłam się prędko w ratanowym fotelu i mocno podekscytowana wklepałam w wyszukiwarkę imię i nazwisko mojej aktorki. Wyświetliła się cała masa rozmaitych wiadomości, głównie dotycząca jej najnowszych ról teatralnych. Przegłądałam je gorączkowo, strona po stronie, jedynie muskając wzrokiem tytuły. Wreszcie na samym końcu, pośród coraz bardziej odbiegających od interesującego mnie tematu informacji, znalazłam! „*Aktorka uznana za zmarłą wraca na scenę*” – krzyczał do mnie nagłówek artykułu. „*Helena P., gwiazda lat 90-tych żyje!*” – wołał następny.

Zrobiło mi się chłodno. Otuliłam się szczelniej szlafrokiem i zaczęłam czytać, niektóre zdania nawet kilkakrotnie. Wyglądało na to, że pochowana kilka lat temu kobieta w istocie nie była Heleną P., z artykułów nie wynikało jednak, kim była. Nie wynikało również, gdzie przez ten czas podziewała się i co porabiała prawdziwa Helena, bo jeśli rzeczywiście zajęta była wyłącznie (jak plotkowano wówczas) staczaniem się na dno w towarzystwie bardziej doświadczonych w tej kwestii „przyjaciół”, to jakim cudem nagle pojawiła się taka świeża i całkowicie nienaruszona działaniem używek, w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu?

Internet już niestety, na te moje pytania nie odpowiedział. Spojrzałam w niebo. Ni z tego, ni z owego pojawiło się na nim wielkie, czarne chmurzysko, zasnuwając powoli tłusty pyzior księżycy i okoliczne gwiazdy. Zrobiło się ciemno i jakby chłodniej. Coś gdzieś przejmująco zawyło...

Zabrałam szybko sprzęt i weszłam do domu. Uznałam, że taki akcent będzie na dziś bardzo dobrym zakończeniem mojej upiornej łamigłówki.

•

Przypuszczam, że co prędsi czytelnicy chcieliby, abym do minimum skróciła ten może i nudny wstęp – i wreszcie przeszła do rzeczy. W tym miejscu pragnę zapewnić, że skróciłam go do minimalnego minimum, ale bez małego wprowadzenia w sprawę na samym początku, może się ona później okazać jeszcze bardziej nieopięta.

No więc przez kilka kolejnych dni pracowałam przykładowo, zarówno zawodowo, jak i w domu, aby nie daj Boże nie narobić sobie jakichś zaległości z koniecznością nadrobienia ich w weekend. W związku z tym odwalalam wszystko na zapas: na zapas prałam i prasowałam, gotowałam i odkurzałam, pielіłam ogródek oraz okazywałam Facetowi dużą ilość czułości i uczuciowego zaangażowania. W pracy zrobiłam mojemu teatrykowi dwie dodatkowe próby, nadrukowałam plakatów, ulotek i regulaminów na cały kwartał, a w rozpędzie sporządziłam szczegółowe sprawozdanie z imprez, które się jeszcze nie odbyły. Mój chytry plan zakładał bowiem trzydniowy wyjazd do miasta Ł. Miałam już nawet telefoniczną rezerwację na dwa kolejne spektakle z Heleną P. w roli głównej. Okej, ale po co to wszystko? – spytałby ktoś. No właśnie... po co? Nie wiem. Coś mnie tam po prostu nieodpar-

cie ciągnęło i pchało zarazem. A takiej sile nikt nie byłby w stanie się oprzeć.

W teatrze w Ł. miałam być po raz pierwszy, więc wyobrażając sobie siebie wcześniej na widowni, a później w garderobie Heleny P., na potrzebę tejże wizji wykorzystałam wewnątrz najczęściej przeze mnie odwiedzanego teatru w K. Jeszcze w czasie jazdy pociągiem po raz kolejny usiłowałam zwizualizować sobie mój pobyt w Ł., za każdym razem zakończony pełnym sukcesem – czyli wyjaśnieniem sprawy do ostatniego szczegółu. Podobno taka pozytywna wizualizacja jest bardzo skuteczna przed podjęciem jakichś ważnych dla nas działań; słyszałam, że taką techniką posiłkował się przed skokiem sam mistrz Małysz. Skupiona na wielokrotnym powtarzaniu w myślach całego ceremoniału, o mało nie zasnęłam. Tak czy owak, wysiadłam w końcu szczęśliwie na dworcu „Ł. Gł.”, po czym zainstalowałam się w tym samym hotelu, który wynajęła dla nas firma na owo pamiętne szkolenie. Był najbliżej mojego docelowego obiektu.

Zbliżał się wieczór, a ja dosłownie nie mogłam usiedzieć na tyłku. Pogoda była bardzo podobna do tej, jaka towarzyszyła mojemu odkryciu plakatu z Heleną, co uznałam za dobry omen. W końcu, korzystając z przychylnej aury, wyszłam z hotelu ponad godzinę wcześniej, by powąłęsać się po mieście. Uwielbiam takie miejsca, z regularną zabudową wiekowych kamieniczek, szerokie, ludne ulice bez ruchu kołowego, wielkie kwadratowe podwórce i wreszcie maleńkie, ciasne i nieco mroczne uliczki, w które zwyczajni turyści raczej nie mają potrzeby się zapuszczać. Karmię tymi miejscami nie tylko wzrok, ale i węch. Zapach starego drewna, stęchłego kamienia, pomieszany z wonią rozmaitych potraw... a nawet innymi, znacznie mniej atrakcyjnymi woniami – każdorazowo sprawia, że przeżywam jakies *déjà vu*. I nie jest to niemiłe uczucie, raczej coś w rodzaju ekscytacji, że zaraz znajdę się w miejscu, które bardzo dobrze znam i które bliskie jest mojemu sercu. Moi znajomi, którzy kiedykolwiek towarzyszyli mi w podobnej przechadzce, bywali raczej zniesmaczeni, bo dla nich to, czym delectowałam się namiętnie, to zwykły odór. Nie była tym zgorszona jedynie moja przyjaciółka – blondynka, E. (E. pozwoliła mi użyć prawdziwego i pełnego imienia, ale jakoś nie mam serca). Nawet w czasie naszego pobytu na szkoleniu, proponując mi spacer użyła sformułowania: „chodźmy sobie powdychać miejskie smrodki”. Bo E., mimo iż nie zawsze rozumiała moje nietypowe potrzeby i fascynacje, po prostu uznawała je za naturalny składnik mojej osobowości. Nie gorszyła się, nie wydziwiała, a co najważniejsze, nie potępiała. Ba, mało tego, często brała w nich czynny udział! Prawdziwa przyjaciółka.

Dlaczego wspominam o niej w tym miejscu? Ponieważ całe lata temu, kiedy mój Facet nie dojrzał jeszcze do szczerego informowania go o moich ideach fiks, E. bardzo pomagała mi w różnych, hm... nonszalanckich przedsięwzięciach. Kie-

dyś, gdy postanowiłam spędzić samotnie noc w domu, w którym straszy, aby wilk był syty i owca cała, musiałam miejscami nieco minąć się z prawdą, a E. miała za zadanie udzielić mi solidnego alibi. Pech jednak chciał, że Facet, mimo absolutnego zakazu kontaktowania się ze mną (wy tłumaczonego mu przeze mnie gruntownie i pozornie logicznego), zakaz ów złamał. A ponieważ ja miałam telefon wyłączony, Facet, będąc w świętym przekonaniu, że przebywam razem z E., zadzwonił do niej. Moja przyjaciółka, jako osoba bardzo sumienna i gorliwa, szła w zaparte, że owszem, jak najbardziej, siedzę tuż obok niej, ale (nie wiadomo czemu) nie mogę odebrać telefonu. Zaniepokojony facet udał się wprost do mieszkania E., gdzie ta dalej szła w zaparte, że owszem, jak najbardziej przebywam u niej, ale właściwie... nie wiadomo, gdzie konkretnie. Bo przecież na tych jej przepastnych trzydziestu pięciu metrach kwadratowych można się zawieruszyć jak nic! I wytrwała dzielnie w tym zaparciu do samiuśkiego końca, czyli do wyjścia Faceta. Jeśli zaś chodzi o mój pobyt w „straszonym domu”, obecności duchów raczej nie stwierdziłam. Raczej, bo jeszcze przed północą mi się niechcący zasnęło.

– No i co, uwierzył ci? – zapytałam potem, krztusząc się ze śmiechu.

– Chyba nie – zmartwiła się E. – A tobie?

– Mnie tak, ale musiałam wymyślić coś... bardziej sens... eee... coś innego.

– No co ty? To on mi teraz już w nic nie uwierzy, zobaczysz!

– Gdybym potwierdziła twoją wersję, nie uwierzyłby i mnie. Do końca życia. Tak czy inaczej, zrobiłaś dobrą robotę: nie wygadałaś, gdzie naprawdę jestem.

E. odetchnęła z ulgą. Od tej pory zaczęłam systematycznie, acz subtelnie przygotowywać Faceta na podobne historie, dzięki czemu dziś wyjechałam do Ł. całkowicie legalnie i z jego pełnym zaufania błogosławieństwem.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła siódma. Najwyższy czas, by zmienić kierunek marszu i udać się w stronę teatru. Spektakl zaczynał się o dziewiętnastej piętnaście. Spektakl... To słowo uświadomiło mi w całej rozciągłości cel mojej wycieczki. Zadrzałam z emocji i przyśpieszyłam kroku.

•

Helena P., w istocie była Heleną P. Zdrową, gładką i promienną. Krwistoczerwona, powłóczysta suknia doskonale podkreślała jej niezwykłą, choć dojrzałą urodę, szczupłą talię, długie nogi i jędrny niewielki biust. Czerwień sukni rzucała ogniste refleksy na bujne, pszeniczne włosy, kontrastowała z bielą drobnej twarzy o tym samym co zawsze wyglądzie niewinnego dziecka. Niestety. Bo o ile mogłam jeszcze się łudzić, że ten „myk” z jej świetnym wyglądem może być dziełem photoshopa, teraz, na żywo, złudzeń już nie miałam. I żeby ktoś mnie źle nie zrozumiał: wcale nie doskwierała mi przyziemna, babska zazdrość, lecz trapiła mnie kolejna podejrzana kwestia. Dlatego kompletnie nie skupiałam się na spektaklu, tylko wyłącznie na Helenie. Na jej wyglądzie, głosie, sposobie poruszania się. To bez

wątpienia była ona. Ciut pełniejsza, starsza i jakby nieco smutniejsza, ale jednak ona. A zatem – zaraz po wyjściu z teatru mogłam wsiąść w pociąg i ruszać do domu. Postanowiłam jednak, że skoro już tu jestem, muszę zamienić z nią choć kilka słów.

Jak tylko umilkły brawa, lawirując pomiędzy wychodzącymi ludźmi przemknęłam z powrotem w stronę kas. Tam zagadnęłam samotnie stojącą panią w granatowej koszulce, na której widniało logo teatru, czy Helenie P. zdarza się czasem przyjąć kogoś z widzów w swojej garderobie. Okazało się, że absolutnie nie, wręcz przeciwnie: Helena P. do tego stopnia ceni swoją prywatność, że nie spotyka się w ogóle z nikim, nie rozmawia nawet z dziennikarzami.

Jakiś taki dziwny upór wyrósł we mnie w tym momencie i postanowiłam dostać się do niej za wszelką cenę. Nie, nie walczyłam z recepcją ani z ochroną – ot, zwyczajnie: zaczęłam się przy wyjściu dla aktorów. A ponieważ cierpliwość zawsze bywa nagradzana, po pewnym czasie w drzwiach pojawił się cel mojej operacji, odziany w czarny trencz z postawionym kołnierzem i ciemne okulary.

– Pani Heleno... – odezwałam się nieśmiało, bo rzeczywiście poczułam w jej obecności spore onieśmienie.

Aktorka zatrzymała się wyraźnie niechętnie. Nie odpowiedziała, co jeszcze bardziej zbiło mnie z pantałyku. Pożałowałam, że nie wpadło mi do głowy, żeby kupić kwiaty. Ale cóż, skoro nie kupiłam, musiałam wysilić się bardziej.

– Pani Heleno... Była pani świetna w tej roli, chciałabym podziękować za doskonałe przedstawienie, i... – ciągnęłam głupawo, aż w końcu utknęłam.

Spojrzała na mnie spod wielkich okularów, jakby nieco zdziwiona.

– Nie ma czego. Taka sobie, komercyjna rzecz – odparła zmęczonym, czy może znudzonym głosem.

– Bo ja... szczerze mówiąc, chciałam powiedzieć, że bardzo się cieszę, że pani żyje – wypaliłam. – To znaczy... że pogłoska o pani śmierci okazała się nieprawdziwa.

W tym momencie kobieta powoli zdjęła okulary i przyjrzała mi się z uwagą.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałam nazwiska?

– Nie, to ja przepraszam, że się nie przedstawiłam – naprawiłam prędko swoją gafę, oprócz imienia i nazwiska dodając nie wiem czemu, że jestem pisarką. Może liczyłam na jakąś przychylność, albo ja wiem na co? Krztynę zainteresowania?

– Rozumiem – Helena uśmiechnęła się półgębkiem, a mnie zmroziło.

No przecież tamta babka z teatru mówiła mi, że ona omija szerokim łukiem dziennikarzy! Być może sobie pomyślała, że i ja chcę coś o niej nasmarować!

– Nie, nie rozumie pani! Nie dlatego tu jestem, ja po prostu... widziałam wszystkie pani filmy i wiadomość o pani śmierci bardzo mną wstrząsnęła – klepałam z szybkością karabinu maszynowego – bardzo! A tu raptem kilka dni temu przyjeżdżam do Ł. i widzę plakat z pani wizerunkiem. No więc... bardzo chciałam

panią zobaczyć! I to wszystko.

Helena wsunęła ręce do kieszeni płaszcza i uśmiechnęła się nieco bardziej po ludzku.

– Aha, czyli mam do czynienia ze swoją wieloletnią... ja to się teraz mówi... fanką, czy tak?

No i co ja teraz miałam powiedzieć? Nigdy nie byłam wielbicieleką talentu tej gwiazdy, szczerze mówiąc, nawet niespecjalnie go u niej dostrzegałam. Oglądałam filmy z jej udziałem, bo najzwyczajniej w świecie polskich filmów wtedy bez niej po prostu nie było. Obsadzano ją we wszystkich produkcjach kinowych i wielu telewizyjnych. Być może Helena P. samą tylko urodą przyciągała rzesze ludzi do kin i przed telewizory?

– Nie? – zdziwiła się Helena, przedłużając się ciszą.

– Nnnie... wiem... Była mi pani w jakimś sensie bardzo bliska – siliłam się na dyplomację. – Pewnie chciałam wyglądać tak jak pani. Tak sądzę. Ale jeśli chodzi o grę, wydaje mi się, że dziś jest pani znacznie lepsza.

– Dziś jestem lepsza??? – Helena roześmiała się, jakby rozbawiona. – Serio? Uważa pani, że dziś jestem lepsza?

No i masz, bałam się, że tym stwierdzeniem już całkiem jej podpadnę, a ją to najwyraźniej szczerze raduje!

– No, tak. Tak uważam.

– Stwierdziła to pani na podstawie jednego spektaklu?

– Tak sądzę. Ale mam bilet również na jutro, więc będę mogła skorygować swój pogląd – odparłam dość sucho, bo zaczęło mi się wydawać, że babka sobie ze mnie żartuje.

– Wobec tego – Helena całkiem nieoczekiwanie podała mi rękę – zapraszam na pogawędkę jutro po spektaklu. Do mojej garderoby.

O ile dobrze pamiętam, nie powiedziałam już ani słowa. Zostałam tak po prostu, jak sierota jakaś pod tym teatrem, a Helena oddaliła się spokojnie do taksówki.

A zamierzałam zmienić plan i jeszcze dziś wrócić do domu! – wydziwiałam pod nosem. – Zidentyfikowałam sobie na własny użytek domniemaną denatkę i miałam dać temu spokój. Ale nie! Bo zawsze, jak już coś zacznę tropić, to kłody pod nogi, ale jak mi się tylko odwidzi, to ahoj, przygodo!

••

II

Tropem pewnego niusa

Hotel, jak na złość ział pustką. Na korytarzach żywego ducha, w kawiarni niewielka grupka zagranicznych, sądząc z karnacji, gości. W holu, za ladą drzemał sprytnie tęgawy recepcjonista. Jednym słowem – nie wytypowałam nikogo, kogo mogłabym pociągnąć za język. Zrezygnowana udałam się do pokoju, choć po drodze do hotelu opracowałam sobie w szczegółach metodę zręcznego, niezauważalnego dla potencjalnego rozmówcy przesłuchania. Jakaż była moja radość, gdy natknęłam się na takowego, a właściwie takową, nie gdzie indziej, jak u siebie właśnie! Kobieta na mój widok wyprostowała się jak struna i mocno zmieszała na twarzy.

– Sprzątałam! – oznajmiła szybko. – Nikogo nie było, więc chciałam trochę ogarnąć.

Ogarniać zupełnie nie było czego, ale mniejsza z tym. Nie dociekałam.

– Oczywiście, proszę się nie krępować – zezwoliłam uprzejmie.

Babka rozejrzała się dookoła niepewnie.

– Ale... tu nie ma co ogarniać.

– No cóż, w istocie. Nie zdążyłam się rozgościć, byłam w teatrze.

Kobieta spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Pani jest tutejsza? – spytałam, bo od tego miałam przecież zacząć.

– Ale... że... czemu?

– Bo tak sobie pomyślałam, że jeśli pani jest stąd, to może pani kogoś znać.

Mam na myśli pewną aktorkę.

– A, to owszem, znam – przyznała z wyraźną ulgą.

– Kogo? – tym razem ja poczułam się nieco zbита z tropu.

– No a o kogo pani się pyta?

– Chodzi mi konkretnie o Helenę P.

– Przecież mówię, że znam. Każdy zna.

– No tak, każdy, bo to sławna osoba... – westchnęłam.

– Ale tu, w Ł. każdy ją zna. Z widzenia przynajmniej. Jeszcze jakiś czas temu codziennie mogła ją pani spotkać koło Tesco, a jak nie, to w parku Jednego Wieszcza albo na Ziółowej.

– Ona naprawdę... piła?

– Piła? To mało powiedziane. Nie trzeźwiała w ogóle. Były mąż mojej siostry, opój pierwszego gatunku, należał do jej kółka. Ale ona od jakichś dwóch lat już nie pije i ma się całkiem dobrze. Tyle, że ze starymi kumplami widuje się podobno nadal.

– A ja słyszałam, że umarła...

– Owszem, była taka plotka. Ci jej koleś z parku znaleźli w parku zwłoki jakiejś bezdomnej, a że Heleny wtenczas z nimi nie było, razem z nieboszczką frekwencja im się zgodziła w sam raz. No więc zrobili raban na pogotowiu, na policji, opłakali i opili bardzo dokładnie zejście koleżanki, a po pewnym czasie ta zjawiała się, jakby nigdy nic.

– I co?

– I nic. Widać wiadomość o własnej śmierci tak nią zatrzęsała, że wytrzeźwiała na stałe.

– Hm... To niesamowite. Ale że tak prędko wróciła do formy i do zawodu?

– Podobno do teatru chętnie ją przyjęli, bo liczyli na to, że im się publika dźwignie. I się nie przeliczyli. Bo o ile przedtem ciężko im było zebrać ludzi na przedstawieniu, to potem ludzie walili drzwiami i oknami, żeby ją zobaczyć na własne oczy. Żywą i trzeźwą. I tak zresztą chyba jest do dziś.

– Owszem. Ale ona chyba nie lubi szumu wokół swojej osoby?

– A kto by lubił taki szum? Pewnie wiele by dała, żeby ludzie zapomnieli to i owo. Ale ludzie pamiętliwi są.

– Pani jest pokojową w tym hotelu? – spytałam, taksując wzrokiem jej zwykłą, kwiecistą podomkę.

– Nie – odparła ponuro. – Ja jestem zwyczajna sprzątaczką, ale robię za pokojową, bo ona jest chora.

– Dziękuję pani bardzo – wsunęłam jej do kieszeni banknot o rozsądnym nominale.

Sprzątaczką zajrzała do kieszeni.

– Ale kiedy nie ma za co – odparła z nieukrywanym zadowoleniem.

– Proszę mi wierzyć, że jest!

Skoro miałam poskładać sobie całą tę historię do kupy, musiałam wiedzieć, czy pogłoski o nałogu alkoholowym mojej bohaterki nie były równie nieprawdziwe jak jej zgon. Bo przecież jej kilkunastoletnia nieobecność w życiu publicznym mogła być spowodowana czymś innym, na przykład pobytem za granicą. Albo depresją. Albo jeszcze innym, całkiem przyzwoitym czynnikiem. Ale o tym się raczej od samej Heleny nie dowiem...

•

Ten spektakl widziałam już wiele razy, w innych teatrach i innej obsadzie. Fakt, nie była to żadna ambitna klasyka, ale dzisiaj teatr, żeby się utrzymać, oprócz rzeczy ambitnych musi dość często dostosowywać repertuar do gustów szerszych mas. Moja praca ma taki charakter, że między innymi działaniami kulturalnymi organizuję czasem wyjazdy do teatru dla lokalnej ludności. I są to właśnie spektakle o podobnym charakterze: koniecznie śmieszne, raczej pikantne i z elementami rozsądnego negliżu. Może wczoraj przesadziłam nieco piejąc peany na cześć przedsta-

wienia, chociaż Helenę P. chwaliłam całkiem szczerze – była najlepszą Janie, jaką kiedykolwiek widziałam. Dlatego z wyjątkową przyjemnością obejrzałam ją dziś po raz kolejny. I nie śpieszyłam się wychodząc, żeby dać jej czas na przebranie i pozbycie się charakteryzacji.

Okazało się, że Helena czekała już na mnie siedząc w fotelu.

– Witam – powiedziała pierwsza.

– Dobry wieczór – położyłam na maleńkim stoliku pudełko czekoladek.

Helena ledwo musnęła je wzrokiem.

– Napije się pani czegoś? – spytała. – Sok? Woda? A może coś mocniejszego?

Sięgnęła za siebie po butelkę koniaku.

– Dobry na wyciszenie emocji – podała mi lampkę miodowego płynu. – Przyjechała pani samochodem? – uśmiechnęła się na widok mojej ewidentnej konsternacji.

– Nie, nie – zaprzeczyłam szybko. – Zatrzymałam się w hotelu przy sąsiedniej ulicy.

– Wobec tego w czym problem?

– W niczym – upiłam szybko niewielki łyżeczek. – Po prostu... nie spodziewałam się... takiego poczęstunku.

– Niechże pani siada!

Helena zirytowała się chyba moją postawą, z ekspresji i wymowy przypominającą egipską mumię. A ja naprawdę nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Z reguły nie zapominam języka w gębie, nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach, ale ta kobieta chwilami przyprawiała mnie o kompletną niemotę. Wyobrażałam sobie, że to ona zacznie rozmowę, ale najwyraźniej czekała z tym na mnie. – Może faktycznie, przyda mi się łyk alkoholu – pomyślałam i wychyliłam koniak do dna.

– Naprawdę, jest pani świetna w tej roli – zaczęłam szybko, żeby nie mieć czasu na zastanowienie, czy to, co mówię, brzmi głupio czy nie. – Uważam, że nigdy dotąd nikt nie zagrał Janie tak jak pani. Tak przejmująco wiarygodnie.

– Jest pani miłośniczką teatru? – Helena spojrzała na mnie z uwagą.

– Tak. Teatru w ogóle. W każdej formie, że tak powiem...

– I naprawdę uważa pani, że jestem dzisiaj lepsza... od... Od siebie sprzed lat?

– Owszem. Chociaż nigdy przedtem nie widziałam pani na scenie. Może po prostu żywa publika lepiej pani odpowiada niż kamera?

– Może. Ja nie.... Ja dawno nie grałam w filmie. Ale być może ma pani rację. O czym pani pisze?

– Teraz? – przełękłam się trochę. – Teraz akurat niczego nie piszę. Taki czas, że bardzo pochłaniają mnie obowiązki zawodowe. A tak w ogóle piszę o kobietach, dla kobiet. Ku pokrzepieniu serc i dusz, z takim głównym przesłaniem, że wszystko

się może zdarzyć, jeśli się tego naprawdę bardzo pragnie.

– Aha... Co znaczy: obowiązki zawodowe? Robi pani coś jeszcze, poza pisaniem?

– Owszem. Pracuję w domu kultury. Głównie z młodzieżą i dziećmi. Lubię dzieci.

– Dzieci... – Helena odwróciła się do mnie tyłem. – Ja... nie mam... dzieci. Przestraszyłam się, że niechcący poruszyłam jakąś jej czułą strunę.

– Przepraszam...

– Nie, nic się nie stało.

– Jest pani dobrą aktorką i piękną kobietą. Moim zdaniem wiele jeszcze przed panią. I w życiu zawodowym i... w ogóle.

Głupia! Głupia, durna babo! – skłęłam się natychmiast w myśli. – Cóż to za banały? Patetyczne, głupie i niepotrzebne?

– Nie. Nie sądzę. I dlatego musi mi wystarczyć to, co mam. Ale właściwie to ja nadal nie wiem, dlaczego chciała się pani ze mną widzieć? – Helena odwróciła się wolno w moją stronę.

– Jak już wczoraj wspomniałam, bardzo mną wstrząsnął artykuł o pani śmierci. Kilka dni temu dowiedziałam się, że z kimś panią pomyłono, więc przyjechałam, chcąc panią zobaczyć na własne oczy.

– Wspomniała pani również, że niespecjalnie pani za mną przepadała.

– Taaak... – w tym momencie postawiłam na szczerłość i na „raz kozie śmierć”. – Ale naprawdę, jakoś tak... byłam z panią zżyta przez blisko dekadę. Później pani znikła na jakiś czas, później pani umarła, teraz okazało się, że to pomyłka... Sama nie wiem. Nie dawało mi to spokoju.

– Czy wobec tego dobrze rozumiem, że przywiodła tu panią zwykła ciekawość?

– Nie! A w każdym razie nie taka, jaką ma pani na myśli. To coś w rodzaju fascynacji tajemnicą, chęć poznania niebanalnej, a może nawet mrocznej zagadki, to trochę jak... poszukiwanie skarbu. Chyba. Ale na pewno nie jako materiał na książkę.

– A gdyby moja historia naprawdę okazała się wyjątkowo fascynująca? Nie chciałaby jej pani opisać?

– Jasne, że bym chciała. Ale, jak już wspomniałam, nie po to tu przyszłam. I nie zamierzam w ten sposób wykorzystać mojej wizyty.

Helena roześmiała się pełną piersią. Śmiała się bardzo długo i bardzo szczerze.

– Świetnie! Naprawdę, proszę pani. To doskonale! Wyśmienicie! – powiedziała wreszcie.

I znowu sprawiła, że utknęłam na amen, ale teraz zrozumiałam, na czym polegała ta jej właściwość: po prostu w pewnych momentach nie potrafiłam wyczuć,

czy ironizuje, czy mówi serio. I czy w ogóle mówi serio, czy tylko ironizuje. W chwilach podobnych wątpliwości traciłam wątek, pewnie dla zyskania czasu do namysłu.

– A skoro tak – tym razem Helena podtrzymała rozmowę – w nagrodę i dowód uznania coś pani powiem: otóż nie pomyłono mnie z nikim. To mnie pochowano. To był mój pogrzeb! – dodała głośniejszym głosem, myśląc, że nie dotarło do mnie, co mówi.

I miała rację, bo nie dotarło.

– Czyli... Jak to? Zmartwychwstała pani czy co?

– Nie. Sprawa była o wiele mniej romantyczna. Po prostu: pogrzebano mnie żywcem.

Patrzyłam na Helenę i patrzyłam... I patrzyłam. Zdawało mi się, że patrzę już tak całą wieczność, a wszystko dookoła zatrzymało się w bezruchu, czekając, aż się ocknę z tego patrzenia.

– Ja nie żartuję. Tu naprawdę nie ma z czego żartować: było stwierdzenie zgonu, był pogrzeb, był pochówek.

– O mój Boże miłosierny! – wydostało się jako pierwsze z mojej krtani.

– Tak, to jest najwłaściwszy komentarz.

– Ale... przecież pani żyje!

– Ja nie twierdzę, że nie żyję.

– To znaczy... jest pani tutaj! – poprawiłam się, odzyskując powoli zdolność logicznego myślenia.

– Miałam... jakby to nazwać? Szczęście? Tak. Niewątpliwie szczęściem jest uniknięcie straszliwej śmierci, z głodu i pragnienia, konając tygodniami w ciemnym, zimnym grobowcu.

W tej chwili po całym ciele przeszedł mi gwałtowny dreszcz. Helena nie żartowała. Nie mogła być aż tak dobrą aktorką. W każdym razie z pewnością inaczej wymyśliłaby sobie odegranie emocji: nie stałaby teraz stała oparta o ścianę, biała jak kreda, a po jej twarzy nie spływałby grubymi kroplami pot. Tego nie da się zagrać bez pomocy charakteryzacji.

Pomyślałam, że może powinnam już iść... Uniosłam się cicho z fotela i zrobiłam parę kroków w kierunku drzwi.

– Nie jest pani ciekawa, co było dalej? – Helena spojrzała na mnie spod przymkniętych powiek.

– Jestem, nawet bardzo. Ale pomyślałam, że to pewnie dla pani... zbyt trudne przeżycie, by o nim mówić.

– Nigdy dotąd nikomu o tym nie opowiadałam, choć wielu bardzo by chciało. Ma pani rację: to zbyt trudne.

Spojrzałam na nią pytająco, bo a nuż teraz zechce wszystko z siebie wyrzucić? Helena jednak zrobiła tylko krok w moją stronę i podała mi rękę.

– Pójdę już – oznajmiłam, gdyż tak odczytałam jej gest.
I poszłam.

••

III

Jej historia w moich rękach

Przez cały poniedziałek nie byłam w stanie zebrać myśli, ani prywatnych w domu, ani służbowych w pracy. Tymczasem nie mogłam nawet zdać relacji ze swojego pobytu w Ł. dwóm osobom, które tego najwyraźniej oczekiwały: mojemu Facetowi i mojej drogiej E. Toteż i tu, i tam poprosiłam o chwilę na oddech. Chwila ta przedłużała się ewidentnie, a mnie coraz bardziej blokowało. W sumie trwała ta chwila już trzeci dzień. Może doszłabym do siebie szybciej, gdyby nie fakt, że w ślad za tą upiorną historią pojawiły się upiorne sny, wszystkie o identycznym wątku przewodnim: ozywających nieboszczyków. Widocznie mój umysł nie mógł się uporać z tym, co powiedziała mi Helena, ni za dnia, ni w nocy. Nie wiem, jak długo była w tym grobie, ale nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak można przeżyć coś takiego i w najlepszym razie nie oszaleć. Normalnie, nie wiem.

Nie potrafiłam nawet usystematyzować swoich myśli i uczuć, nie wiedziałam zatem, czy aż tak głęboko przeżywam to wszystko, bo współczuję Helenie, czy stawiając się ciągle na jej miejscu użalam się sama nad sobą. Boże mój! Teraz wiem, jakie myśli trapiły E. po spędzonej przeze mnie nocy w „nawiedzonym” domu czy po opuszczeniu się do starej studni w poszukiwaniu tunelu czasowego. Zazwyczaj jej lęki i obawy śmieszyły mnie lub irytowały, bo moja wrodzona skłonność do zjawisk „nie z tej ziemi” była poza granicą jej pojmowania. Poza moją zaś było zdecydowanie pogrzebanie żywcem, a zwłaszcza moment przebudzenia, bez świadomości miejsca, czasu, przyczyny, a później wraz z odzyskiwaniem jasności umysłu to beznadziejne przerażenie... Tak! Świadomość i wola, na tym polega różnica. Bo o ile ja inicjowałam swoje eskapady z własnej woli, ze świadomością, że w każdej chwili mogę to przerwać – o tyle z Heleną było wręcz przeciwnie. Brrr, zgroza... O tak, taki wstrząs mógł być bardzo skuteczną terapią antyalkoholową! Tylko że przecież tak zwani „trzeźwi alkoholicy” nie tykają alkoholu w żadnej postaci, a ona... no właśnie, nie zwróciłam uwagi, czy ona wypila swoją lampkę koniaku, czy nie?

No i właśnie. Im dalej w las, tym mniej grzybów. W miarę zadawania sobie kolejnych pytań natychmiast mnożyły się następne i tak w kółko. Dlatego od powrotu z Ł. chodziłam zamyślona, chmurna i niewykluczone, że nawet opryskliwa i nieprzyjemna. Wreszcie, powodowana wyrzutami sumienia, dorwałam nazajutrz w pracy moją przyjaciółkę

– Posłuchaj E., powiem ci. Wszystko ci powiem, bo mi cię żal, że musisz mnie znosić.

Usiadłyśmy w korytarzu pod filodendronem i tam z grubsza naszkicowałam jej sprawę.

– Wiesz, muszę wreszcie przestać o tym myśleć, bo i tak niczego więcej się nie dowiem – westchnęłam na koniec.

E. siedziała naprzeciw mnie w milczeniu i jak zwykle w podobnych okolicznościach przez jakiś czas trawiła usłyszane ode mnie rewelacje.

– I co dalej? – spytała w końcu.

– Nic właśnie, przecież ci mówię. Nie mogę się już dalej tym zajmować, bo babka sobie nie życzy.

– I nie będziesz? – zdziwiła się E.

– Nie będę. To zbyt osobiste, żebym miała brać to gwałtem. Nawet źle się o tym gada, a muszę się jeszcze jakoś zebrać na rozmowę z moim Facetem.

– Jeszcze mu nie mówiłaś?!

– Nie, tobie mówię pierwszej, bo ty mi nie ślubowałaś, że wytrzymasz ze mną do końca życia.

•

– Jesteś? – wrzasnęłam, zatraskując jednocześnie za sobą drzwi.

W drodze do domu ułożyłam sobie pobieżnie (pobieżnie, gdyż daleko nie miałam), co i ile powiem mojemu Facetowi, bo chciałam mieć to z głowy. Z grubszą, bo jak znam życie i Faceta, jeszcze przez jakiś miesiąc będzie mękolił o różne szczegóły. Analityczny umysł. I ścisły...

– Ejże, co się nie odzy.... – urwałam w pół słowa i stanęłam jak muł jakiś w progu.

Bo oto, w moim własnym domu... W moim własnym salonie... Z moim własnym Facetem... siedziała sobie na sofie popijając kawkę... Helena P.!!

– Przepraszam, że tak bez zapowiedzi – uniosła się z sofy na mój widok – ale jedyne, czym dysponowałam, to pani adres. Telefonu nie udało mi się zdobyć.

– A...le... ja...ak... e – przerzucałam zdumione spojrzenie z Heleny na Faceta i odwrotnie.

– Oczywiście, może mnie pani wyprosić. Zrozumiem – przerwała mi, a raczej weszła między monosylaby.

– Zostawiam was same. Nie masz nic przeciwko, kochanie? – spytał mój Facet gładko oraz pełnymi zdaniami.

– Yyył yy – odparłam.

– Moja żona zazwyczaj potrafi mówić po ludzku. I niewykluczone, że ta zdolność zaraz jej wróci – wyjaśnił Facet gościowi, po czym wyszedł.

Wolno usiadłam w fotelu naprzeciwko, z torebką na ramieniu i siatkami zakupów w obu rękach. Facet wrócił jeszcze na moment i niemal przemocą zabrał mi to wszystko.

– Ojej, przepraszam, ale nie spodziewałam się pani – odetkało mnie wreszcie. – Mało tego, pewnie wszystkiego innego spodziewałabym się bardziej...

– Wierzę.

– Wobec tego proszę mi także uwierzyć, że w piśmie jestem bieglejsza niż w mowie – powiedziałam, bo Helena do tej pory słyszała z moich ust głównie głupoty oraz bełkotliwe dźwięki.

– Tak, wiem. Dlatego tu zresztą jestem.

– To znaczy? – na razie nijak nie mogłam odgadnąć celu jej wizyty.

Tym razem Helena dość długo zbierała się w sobie, co jakiś czas zmieniając pozycję. Wreszcie sięgnęła do torby i wyjęła z niej gruby plik zbindowanych kartek. Wyglądało mi to na scenariusz.

– Mam coś dla pani przerobić? Scenariusz jakiś? – spytałam.

– Nie. To są moje prywatne zapiski. Jak pani wie, dość wiele ostatnio przeszłam. Tak wiele, że nie obeszło się bez terapeuty. To on polecił mi spisanie moich przeżyć, w ramach terapii.

Znów mnie zatkało.

– Pomyślałam sobie, że może to być niezły materiał na książkę. Taki... thriller obyczajowy. – Helena uśmiechnęła się lekko.

– Ale przecież... Pani do tej pory nie chciała z nikim o tym rozmawiać! A teraz chce pani swoje przeżycia obwieścić całemu światu?

– Właśnie – Helena znów zmieniła pozycję. – I chcę, i nie chcę. Ale po pani wizycie pomyślałam sobie tak: może gdybym przeczytała to wszystko w wersji sfabularyzowanej, ujęte z pewnego dystansu, gdyby pani potrafiła wyłuskać z tego elementy zabawne albo sprawić, że takimi się staną, może to by mi się pozwoliło uwolnić od ciężaru wspomnień? A przynajmniej spojrzeć na wszystko z innej perspektywy?

– Elementy... zabawne? – spojrzałam na nią w osłupieniu.

– Tak jest. Myślę, że pani potrafi dostrzec komizm w sytuacjach, w których inni go nie dostrzegają.

– Czarny humor?

– Dokładnie.

•

I tu w zasadzie kończy się cały wstęp. Oczywiście, mogłabym jeszcze pisać o swoich wahaniach, wątpliwościach i oporach. Ale kto doczytał do tego miejsca, sam się domyśli, jak bardzo zmagalam się sama ze sobą.

Dodam jeszcze, że gdy już powzięłam decyzję, dostałam od Heleny całkowicie wolną rękę: mogę pisać jak zechcę, uwypuklać bądź marginalizować dowolne wątki, wprowadzać własne opisy miejsc i postaci (rękopis ich nie zawiera), a także komentować wedle własnego uznania. Ale, rzecz jasna, powinnam pozmienić bohaterom imiona i zakamuflować nazwy miejscowości. Całość zażyczyła sobie przeczytać dopiero w formie wydanej powieści.

••

IV

Nazywam się Helena

Jestem... Nie tak. Nazywam się Helena. Helena P., i nic tego nie zmieni. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, jak to jest narodzić się na nowo? I – jak ten goły noworodek, niewyposażony w nic poza duszą i ciałem – czekać na rozwój wydarzeń? Na jakieś imię, nazwisko, na tych, których twarze ujrzy się jako pierwsze, by nazwać ich w przyszłości swoimi najbliższymi? Na jakieś lokum: bogaty dom lub obskurną klitkę, zgodnie z odgórnie ustalonym statusem materialnym i społecznym? Nie. Nie zdajecie sobie sprawy, bo w chwili takiej jak ta byliście niczego nieświadomymi, oślizłymi poczwarkami. Wrastaliście w swoje otoczenie powoli, czerpiąc pełnymi garściami ze wszystkiego, co zostało wam dane. Kształtowaliście swoje „ja”, wspierani przez rzeszę ludzi: rodzinę, rówieśników, szkołę, coraz szersze kręgi znajomych i przyjaciół.

Ja po raz drugi przyszedłam na ten świat zupełnie bez kontekstu. A w ogóle to... najpierw miałam sen. Śniło mi się, że idę przez las. Bujny, liściasty. Szłam bardzo długo, obserwując subtelnie zmieniający się krajobraz: najpierw otaczały mnie młode, zielone brzozy, potem buki i klony, a na koniec potężne, grubaśne dęby. A ja szłam i szłam, nie wiedzieć dokąd. Im las stawał się gęściejszy, tym robiło się ciemniej, chłodniej. Czułam, jak zaczynają mi cierpnąć ręce i nogi, boleć plecy. Chciałam biec, ale coś mi mówiło, żebym nie wychodziła z tego lasu, że lepiej będzie, jak w nim zostanę. Jednak z każdym kolejnym mozolnym krokiem robiło się coraz bardziej duszno. Wreszcie nie wytrzymałam i na oślep rzuciłam się do ucieczki. Ale nic z tego: ze wszystkich stron ciasno otaczały mnie drzewa; tak ciasno, że nie byłam już w stanie wykonać nawet niewielkiego ruchu. I było całkiem ciemno. I cicho. I zimno. Stałam więc tak, całkiem pokornie, myśląc, że cokolwiek by to nie było, sen czy jawa, czas przecież płynie i wkrótce wszystko się zmieni. No więc stałam tak i stałam... czekałam. W pewnym momencie uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że wcale nie stoję, tylko leżę! Te kompletne ciemności, brak jakiegokolwiek punktu odniesienia, a do tego ścierpnięte ciało, prawie bez czucia, całkowicie pozbawiły mnie możliwości oceny sytuacji. Nie, raczej oceny położenia, bo o ocenie sytuacji na razie w ogóle nie mogło być mowy.

Czekałam tak bardzo długo, i nic. Czekałam zbyt długo, by nie spróbować zacząć jakoś sobie radzić. Chciałam za pomocą dotyku jak najlepiej zrozumieć miejsce, w którym się znalazłam. Ruchy miałam jednak mocno ograniczone: nie mogłam wyciągnąć rąk przed siebie, bo coś mnie ograniczało. Nie mogłam usiąść. Nie mogłam unieść rąk nad głowę. Mogłam za to częściowo zgiąć kolana.

– Zawinęłam się w kołdrę! – ucieszyłam się przez chwilę, namacawszy wszędzie wokół siebie śliski, pikowany materiał.

Ale to była tylko chwila. Bo ten materiał właśnie, wraz z powracającym zmysłem powonienia nasunęły mi przerażające przypuszczenie co do miejsca, w którym się znalazłam. Tak! Czułam wyraźnie! Coraz bardziej intensywny zapach świeżego drewna, jedliny, mirtu i frezji.... To przywodziło mi na myśl tylko jedno. Oblałam się zimnym potem. Czas zatrzymał się w miejscu. Najpierw starałam się, jak najdłużej umiałam, przekonywać samą siebie, że to tylko sen. Że jak tylko nastanie świt, wyleżę leniwie z pościeli, zrobię sobie kawę, taką gorącą i słodką, a później... Później? No właśnie... Nic później. Bo nie potrafiłam osadzić siebie w żadnej sytuacji. W żadnym miejscu i czasie, w żadnym towarzystwie. Pustka. Czarna dziura. Jak ta, w której teraz się znalazłam. Poczułam, jak po policzkach płyną mi łzy. Chciałam złapać którąś na język, żeby poczuć jej smak, ale one ściekały z mojej twarzy, zanim dotarły do ust. – Leżę w grobie – powiedziałam na głos, bo chciałam się usłyszeć. Chciałam usłyszeć, jak to zabrzmiał. Mój głos nie miał żadnej barwy. Słowa zadudniły głucho...

Z czasem przestałam odczuwać swoje ciało i na powrót traciłam wdech. Byłam już tylko myślą. Coraz bardziej chaotyczną, miejscami zupełnie nonsensowną, z krótkimi, jasnymi przeblyskami. W takich momentach próbowałam rozważyć różne kwestie, na przykład: jak się tu znalazłam? Skoro uznano mnie za zmarłą, musiałam wcześniej poważnie chorować albo ulec tragicznemu wypadkowi. Nie pamiętałam niczego takiego. Nic mnie nie bolało. Nie czułam żadnej cholernej części mojego ciała! A może ja po prostu nie mam tych cholernych nóg ani cholernego brzucha, ani serca, ani nosa, ani gałek ocznych? Może wycięli mi to wszystko i zdążyli już wszyć komuś innemu?

Po takiej serii pytań bez odpowiedzi zapadałam w chwilowy letarg. A może nawet sen, bo temu stanowi towarzyszyły rozmaite majaki. Pamiętam tylko ten ostatni: byłam na jakimś weselu. Grała muzyka, goście śpiewali i wznosili toasty, a ja byłam coraz bardziej zła, bo nie mogłam się doczekać, kiedy podadzą obiad. Byłam bardzo, bardzo głodna. Siedziałam przy pustym stole, a cała biesiada wraz z poczęstunkiem przeniosła się do sali nade mną. Goście poczynali sobie coraz śmielej i głośniej, pili, jedli i tupali mi nad głową, zapomniawszy o moim istnieniu.

– Hej, hej! – krzyczałam jak najgłośniej. – Ja jestem tutaj! Heeej!!!

– To weź się z nami napij i nie marudź – odkrzyknął ktoś z góry.

– Ale co mam pić, kiedy nic tu nie ma?

– Jak to nie ma?! Zaopatrzyliśmy cię przecież we flaszkę wina!

– Gdzie?

– Koło nogi!

I rzeczywiście, opuszki moich palców natrafiły na chłodną, szklaną szyjkę butelki. Wolno przysunęłam ją sobie do ust, odkręcając po drodze nakrętkę. Wino było rześkie i cierpkie. Dobrze, choć najpodlejszego gatunku. Piłam, piłam i piłam, polewając sobie przy okazji twarz, szyję i dekolt. Raptem zrobiło mi się bardzo we-

soło i poczułam w sobie nadludzką siłę.

– Ejjj!!! Jestem tutaj!!!! – wrzasnęłam ze wszystkich sił. – Słyszycie mnie, biesiadnicy?!

Muzyka i śpiewy na chwilę ucichły. – Aha, słyszycie jednak – mruknęłam do siebie i wypiłam jeszcze parę łyków.

– Tuuuuu!!! Jeeee!!!! Steeeem!!! – dla wzmocnienia swoich wrzasków zaczęłam walić rękami i nogami w drewniany sufit.

– Łup, łup, łup – usłyszałam w odpowiedzi z góry.

– A może... to nie sen? – pociągnęłam jeszcze jeden łyk wina... O mój Boże... prawdziwego wina!!! – I zaczęłam kopać oraz tłuc ze zdwojoną siłą.

Po dość długiej chwili usłyszałam coś jakby metaliczny odgłos nisko lecącego samolotu. Albo szuranie czegoś twardego i potężnego o coś równie potężnego i twardego. Ponowiłam wówczas moje akustyczne wysiłki, siłąc się do granic ludzkich możliwości. Teraz jeszcze wyraźniej usłyszałam nad sobą liczne głosy, damskie i męskie, ale nikt już nie śpiewał. Nagle zachłysnęłam się strumieniem świeżego powietrza i ujrzałam nad sobą prostokąt gwiazdzistego nieba. Usiadłam.

– Jezus, Maria, rany boskie! – krzyknął ktoś rozdzierająco.

– Ożesz, kurna jego mać – zawtórował mu ktoś dla kontrastu – wyciągnij mnie stąd, wyciągnij mnie stąd!!!

I zrobiło się zupełnie cicho.

•

Nie wierzyłam w to, co się stało. Że mogę stąd wyjść. Dokładnie tak samo, jak jeszcze jakiś czas temu nie mogłam uwierzyć, że nie mogę tego zrobić. Kiedy otworzyło się nade mną to niewiarygodne, cudne, upragnione okno na świat, nie było już dla mnie żadnych przeszkód: moje nogi nagle odzyskały pełnię władzy, a umysł pełnię jasności. Za pomocą trumny i jej wieka udało mi się skrócić odległość od dna grobowca do powierzchni ziemi na tyle, by wygramolić się na zewnątrz. Przysiadłam na sąsiednim nagrobku i rozejrzałam się dookoła. Na płycie grobowca, który właśnie opuściłam, figurowały jakieś nazwiska oraz daty. Przyświeciłam sobie jednym z palących się zniczy. – Melania P. i Wiktor P., zginęli śmiercią tragiczną w 1988 roku – odczytałam. On miał wówczas 61 lat, a ona 58. Nic mi to nie mówiło. Nie bardzo wiedziałam, dokąd mam iść, ale o jednym byłam całkowicie przekonana: jak najdalej stąd. Cmentarz jarzył się cały od kolorowych świateł, toteż bez większego trudu znalazłam drogę do wyjścia. Dopiero teraz zaczęło wracać do mnie odrętwienie nóg i rąk, ustępując powoli miejsca tępemu bólowi. W żołądku miałam jedną wielką kulę ognia. To chyba wypite wino dawało znać o sobie. Jego skutki udzieliły się również reszcie ciała, które nagle zaczęło tracić koordynację. – Ale skąd w grobie wino? W trumnie? – zadałam sobie pytanie, choć dziwić się już przestałam czemukolwiek.

Szłam przed siebie bez poczucia celu. Mijałam domy i sklepy, czasem mnie mijały samochody lub autobusy. Ale jak okiem sięgnąć, żadnego pieszego człowieka... Widać była bardzo głęboka noc. Zbliżałam się chyba do centrum jakiegoś miasta: kamienice były coraz większe i starsze, sklepy, kawiarnie i restauracje coraz liczniejsze i elegantsze. Wreszcie dotarłam na jakiś niewielki plac, raczej nie był to rynek, ale znajdował się na nim postój taksówek. Na ławce, obok kilku stojących rzędem taryf, siedziało czterech facetów i paliło papierosy.

– Przepraszam, która godzina? – spytałam pierwszego z brzegu.

– Zabalowało się szanownej pani, co? – spytał.

– Nie – odparłam.

– Nie? To co, chyba dziś mamy światowy dzień abstynenta? – zagaił drugi.

– A szanowna paniusia z jakiej przyczyny taka elegancka dziś? Z wesela wraca, czy z pogrzebu? – dorzucił kolejny.

– Pytam tylko grzecznie, która godzina – ponowiłam pytanie.

– Nie ściemniaj, Hela. Raczej od razu powiedz – chcesz, żeby cię gdzieś podwieźć na krzywą twarz!

Nie miałam pojęcia, kto zacz, ale facet sprawiał wrażenie, jakby mnie znał. Być może wszyscy oni mnie znali... Nie dawało im to jednak prawa do urządzania sobie ze mnie kpin.

– Zgadłeś. Właśnie po to tu przyszłam – odparłam poirytowana.

– A dokąd to lalunia sobie życzy?

– Na cmentarz. Nie słyszeliście, że umarłam? Dopiero co był mój pogrzeb – wskazałam ręką na wiszącą na ścianie pobliskiej kamienicy tablicę z nekrologami.

– Przyszłam was odwiedzić.

– Ej! Patrzcie! – pierwszy wycelował palcem w tablicę ogłoszeń.

Faceci spojrzeli po sobie porządnie zbici z tropu. Korzystając z zamieszania oddaliłam się w stronę niewielkiego parku znajdującego się tuż za postojem taksówek.

– Panowie, paaanowieeee – krzyczał ktoś dysząc i rżąc. – Panowie, nie widzieliście naszej Helenki?

Do grupki taksówkarzy pobiegło dwóch wyraźnie zaaferowanych mężczyzn. Zaaferowanych i na mocno chwiejących się nogach.

– Wiii.... Widzieliście? Panowie?

– A bo co? – spytał któryś z nich.

– No bo właśnie piliśmy na jej grobie za spokój jej duszy, kiedy ona... kiedy ona...

-...wylazła i gdzieś poszła – dokończył za niego kolega. – I szukamy jej teraz po całym mieś... mieśsss....

-...cie – odwdzieczył mu się tamten.

Taksówkarze, jak na komendę rozejrzeli się dookoła, po czym rozeszli się

do swoich samochodów.

•

Usiadłam w parku na ławce. Zaczynało świtać, gawrony darły się w niebo-głosy.

– A to ci dopiero – szepnęłam do siebie. – I co teraz? No i co teraz?

Nie miałam pojęcia, co powinnam teraz zrobić, dokąd pójść. Znużona, obo-
łała i całkowicie bezradna, skuliłam się na tej ławce i zasnęłam. Kiedy się obudzi-
łam, byłam okryta wielkim, szarym płaszczem i miałam coś miękkiego pod głową.

– Helenka! Helenka.... nareszcie – jakiś kobiecy głos przemawiał do mnie
czule. – Znow jesteś z nami!

Uniosłam ostrożnie głowę. Nade mną stała kobieta w nieodgadnionym wieku
i dziwnym, mało gustownym stroju.

– Ej, no popatrz się na nas – zażądała. – To my: Byku, Rajmund, Gangrena
i ja. Znaczący... Szczelba. Potocki poleciał po trunek i zakąskę, na twoją cześć.

W trakcie tej prezentacji zza kobiety wyłaniały się kolejne, coraz to ciekaw-
sze fizjonomie.

– Kojarzysz nas, choć co? – spytał... Rajmund chyba.

– Nie bardzo – odparłam słabiutkim głosem.

– No to my ci zaraz wszystko wyklarujemy. Bo w piątek... Tak, w piątek bo-
daj, Potocki, ciul jeden, znalazł twoje zwłoki i zamiast jakoś poradzić się ze star-
szyzną, co robić, wyrwał się, i...

– Eeee... pomalej może, Szczelba. Bo ja żem słyszał, że od takiej nagłej wie-
dzy to można pomieszenia umysłu dostać.

– Dlatego on wiedzy nagłej, ale także powolnej i każdej innej całe życie uni-
ka jak ognia – odezwała się Gangrena i wymierzyła Rajmundowi zaczeskę pod
włos. – No, mówże dalej!

– ...i pogotowie zawołał, a ono cynk dało na glinowo – kontynuowała
Szczelba. – I tak, po nitku do kłębku, doktor wypisał akt zgonu z przyczyny serco-
wej, znaczący się naturalny całkiem, czyli zejście samoistne. Dobrze, że cię nie kroili.
Pucus z komendy na Kościuszki napisał protokół i tyle wszystkiego. A nazajutrz
pochówek był. Dziś, Bogu dzięki poniedziałek mamy. Tak ci mówię, bo ty chyba
z kalendarzem na bakier ostatnio?

– Poniedziałek... – wyszeptałam z namysłem.

– Poniedziałek – potwierdził radośnie cały zespół.

– No to my, jak raz, od samego twojego zgonu do wczorajszego wieczora
opłakiwali cię serdecznie.

– Na pogrzebie byliśmy, a jakże. Wszyscy odstrzeleni w galową odzież
w żałobnym kolorze, na trzeźwo całkiem!

– Ja niesłam wieniec, ode mnie i od Potockiego – pochwaliła się Gangrena. –

Piękny, z jedliny i z sztucznych róż.

– A ja miałam bukiet, żaden tam plastik, żywe narcyze, te, co pod ZUS-em rosną!

– My z Rajmundem wsadzili ci do trumny cuś-niecuś na tą długą drogę – do-rzucił skromnie Byku. – Ale każdy z nas również z kwiatkiem w kondukcje szedł!

– Po pogrzebie stypę my ci urządzili. Na twojej nowej kwaterze, bo tak że-śmy sobie na logikę pomyśleli, że cóż to za uroczystość, bez solenizanta?

– I ci towarzyszyliśmy aż do wczoraj wieczora. A później to już wiesz – pod-sumowała Szczelba.

– Daruj nam Hela, żeśmy w pierwszej chwili pouciekali, ale sama rozumiesz. Cykor był okrutny. W końcu mało kiedy się zdarza, żeby człowiek z własnej woli trumnę opuścił – strapił się Byku.

– Ale zaraz my za tobą poleciecieli, prawda, chłopaki? Bo w końcu... nie-boszczka czy nie nieboszczka, koleżanka w końcu jesteś. Co nie, chłopaki? O, jest Potocki! – ucieszyła się Gangrena.

– Szanowne państwo, podano do stołu – oznajmił nowo przybyły i położył przed każdym pudełko pizzy. – A oto i szkło! – wyjął zza każdej pazuchy po flaszcę wina.

– Ta jest dla ciebie, najlepsza – podał mi do rąk jedno z pudeł.

Teraz poczułam, jak bardzo, strasznie, niewyobrażalnie jestem głodna! Niecierpliwie uchyliłam wieczko, i... pomyślałam, że to jakaś pomyłka. W środku były trzy wyraźnie nadgryzione kawałki, do tego luzem sałatka i sos.

– Smacznego państwu! – wykrzyknął Potocki szarmancko i wszyscy z wielkim zapałem zabrali się za konsumpcję.

Rzeczywiście, moja pizza w porównaniu do pozostałych była w najlepszym stanie...

– Na razie nie mogę... chyba żołądek mi się skurczył – odłożyłam swój posiłek obok ławki.

– Można? – Byku, nie czekając na pozwolenie podzielił moją porcję pomiędzy siebie i pozostałych.

– Daj no gardło zwilżyć, księciu, bo się dławiem – Rajmund wyciągnął rękę w stronę butelek z winem.

– Chwila jedna, najpierw mamy madamy! Wuala – Potocki zębami wyciągnął zatyczkę i wręczył mi odkorkowaną już butelkę. – Ekskiuzymła, ale kryształ nie dowieźli. Pijemy pod szanowny paznokieć.

Gdy doleciała do mnie woń trunku, którego i tak miałam już w sobie aż po przetyk, targnęły mną gwałtowne mdłości.

– O Boże, przepraszam! Przepraszam... ale... nie wiem co mi jest – tłumaczyłam się zmieszana.

– Niedobrze – Gangrena z wielką troską pochyliła się nade mną. – Ja rozu-

miem, że po tym siedzeniu pod ziemią ty możesz mieć awers do jedzenia. Ale żeby organizm alkoholu nie przyjął, to już całkiem źle o nim świadczy.

– Daj jej spokój, Gangrena – ujął się za mną Rajmund. – Może on jeszcze myśli, ten organizm, że dalej nieżywy jest? Trza mu dać czas do namysłu.

– W takim razie, za organizm twój, żeby jak najprędzy do życia powrócił – Szczelba przyłożyła flaszkę do ust, upiła trzy spore łyki i puściła ją w obrót.

Przez cały ten czas leżałam na ławce, co chwilę otulana przez kogoś szczelniej płaszczem i pytana, czy czegoś mi nie trzeba. Przyglądałam się otaczającym mnie postaciom, słuchałam coraz mniej zrozumiałych rozmów i zupełnie nic nie stawało się dla mnie jaśniejsze. Pomyślałam, że to jakaś chwilowa amnezja, skutek wstrząsu psychicznego. I że jak sobie wszystko przypomnę, okaże się, że wcale nie należę do tego środowiska. Czułam, jak bardzo tu nie pasuję...

– Słuchajcie, nie najlepiej się czuję – odezwałam się, póki moi kompani jako tako trzymali się jeszcze na nogach. – Czy... moglibyście mnie zaprowadzić do domu?

Towarzystwo umilkło. Wszyscy patrzyli na mnie przez chwilę w milczeniu, a potem na siebie nawzajem.

– Do... domu? Czyli że gdzie? – spytała w końcu Szczelba.

– No, tam gdzie mieszkam. Bo przecież mieszkam gdzieś chyba, prawda?

– Wszyscy mieszkamy, madam – odparł Potocki. – W apartamentach na Zielonej. Cała ulica jest do naszej dyspozycji.

– Ale ona chciała do domu – upierała się Szczelba.

– A to jakaś różnica? – spytałam, bo zawsze mi się wydawało, że mieszka się w domu właśnie.

– Owszem, różnica jest – Rajmund skinął z powagą głową. – Bo twój dom stoi na Kossaka, ale mieszkasz z nami, jak to księciu mawia, w „apartamentowcach”.

– To może ja bym jednak dziś prosiła do domu. Muszę porządnie odpocząć przez jakiś czas.

– Jesteś pewna? – spytał Rajmund.

– Jestem.

– Wobec tego służę ramieniem – Potocki wyciągnął ku mnie rękę zgiętą w łokciu. – I ty też służysz – trącił Rajmunda. – A reszta ekipy w orszaku, no, proszę uprzejmie, zadupiamy, póki widno!

I szliśmy tak sobie, chwiejną, rozwrzeszczaną grupą przez całkiem obce mi miasto. Nie tylko wizualnie, ale w ogóle, bo jak zdążyłam przeczytać na drzwiach jednej z taksówek, znajdowałam się w Ł. Oczywiście, sama nazwa miasta nie była mi nieznana, tylko że... kompletnie nie potrafiłam się w nie wpasować. Nawet w myślach.

•

Poranek w „moim domu” wcale nie był mądrzejszy od wieczora. Dom okazał się być okropnie zapuszczoną, parterową willą w stylu „kloc”, z dwoma balkonami na froncie. Ale może zacznę od tego, że spałam bardzo, bardzo długo. Słowo „poranek” jest tu więc raczej pojęciem metaforycznym.

Blżej rozeznac się, co i jak, mogłam dopiero teraz, po widnemu, ponieważ w willi nie było prądu, i – co się okazało później, ku znacznie większej mojej rozpaczy – nie było również wody. Na parterze znajdowały się pomieszczenia mieszkalne: salon, kuchnia, sypialnia z garderobą i jeszcze jeden niewielki pokój. Może gabinet, czy coś w tym rodzaju. Trudno stwierdzić po umeblowaniu, bo wszystkie pomieszczenia poza sypialnią i kuchnią ziały ponurą pustką: poza kurzem i grubym woalem pajęczyn niczego w nich nie było. W sypialni stało jedynie wielkie łóżko z nieokreśloną w kolorze pościelą i toaletka z dużym lustrem. I pusta szafa. W kuchni znajdowała się gazowa kuchenka bez gazu, zlew, stół i dwa krzesła. W łazience, jak to w łazience: ponieważ jej wyposażenie przytwierdzone było na stałe, nie brakowało niczego. A nawet wręcz przeciwnie: wanna pełna była jakichś szmat, garnków i obuwia. Sił starczyło mi tylko na taki pobieżny przegląd.

Nagle, w pół kroku z łazienki do holu zrobiło mi się czarno przed oczami i oblał mnie zimny pot. Usiadłam na podłodze i oparłam się o ścianę. Policzyłam, że nie jadłam już piąty dzień. Przez chwilę wróciło do mnie silne uczucie beznadziei i pustki, jak wówczas, gdy sobie uświadomiłam, że nie mam żadnych szans na wydostanie się z grobowca. Teraz byłam wolna, ale też nie widziałam przed sobą żadnej perspektywy. Bez wody ani nadziei na choćby kromkę zwykłego chleba, moja sytuacja sprowadzała się w zasadzie do tego samego: nieuchronnego końca. Ale po chwili pomyślałam sobie, że skoro stał się tak wielki cud i zostałam uwolniona z mojej upiornej pułapki, to chyba nie po to, aby teraz tak banalnie skończyć. Zebrałam wszystkie swoje siły i wyszłam powoli przed dom. Willę otaczał spory ogród z drzewami, między innymi owocowymi, i różnymi chaszczami. Niestety, na świecie panowała akurat wiosna, więc na żadne, choćby spsiałe jabłko nie mogłam liczyć. Rozejrzałam się dookoła: wyglądało na to, że „mój dom” stał w cichej, spokojnej willowej dzielnicy. Podeszłam do furtki. Po drugiej stronie wąskiej, osiedlowej uliczki stała przy swojej furtce starsza kobieta i przyglądała mi się.

– Dzień dobry – krzyknęłam do niej przez drogę.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Zachęcona tym być może początkiem dialogu, przeszłam na drugą stronę.

– Przepraszam... Czy mogłabym dostać od pani trochę wody?

– Wody? Chcesz szklankę wody? Do picia? – sądząc z formy, w jakiej się do mnie zwróciła, znałyśmy się pewnie po sąsiedzku.

– Nie, nie szklankę. Może... w jakimś wiaderku, żebym mogła się umyć.

Kobieta przyjrzała mi się uważniej.

– Czyżbyś zamierzała na nowo tu zamieszkać? – spytała chmurnie.

– Nie... Jeszcze nie wiem.

– Zaczekaj chwilę.

Sąsiadka weszła do domu i po pewnym czasie wróciła z kilkilitrową plastikową butlą pełną wody. Odkręciłam ją natychmiast i z ogromnym wysiłkiem unosząc ją do ust, przysssałam się chciwie.

– Suszy?

– Nie piłam i nie jadłam od kilku dni – odparłam w przerwie na oddech.

– No cóż... jedni lubią rybki, inni wołają akwarium – skomentowała oschle.

Dotaskałam resztę wody do domu i korzystając z jakiejś obskurnej, plastikowej miski ochlapałam twarz, szyję i dekolt. Zrobiło mi się nieco lepiej. Spojrzałam do lustra, ale niewiele było w nim widać. Poszłam więc do sypialni i przetarłam z kurzu duże lustro od toaletki. Nie zrobiłam na sobie żadnego wrażenia. To znaczy utożsamiałam się z sobą od pierwszej chwili. To byłam po prostu ja: szczupła, dość wysoka, w wieku około czterdziestki. Moją drobną twarz okalały bujne popielate włosy, sięgające poniżej ramion. Nie zdziwiły mnie też ani nie rozczarowały rysy twarzy: niebieskie oczy, mały nos i pełne usta. Tak. To byłam ja i to wiedziałam. Ale ja... to znaczy kto? Znowu poczułam się trochę słabo. Postanowiłam wyjść na powietrze i przejść się po okolicy. Oddalałam się od domu powoli, wyętzając całą swoją uwagę, by móc trafić z powrotem. Na wszelki wypadek zapamiętałam też adres: ulica Kossaka nr 21A.

Z małego, zacisznego osiedla weszłam w szersze i ludniejsze ulice. A potem przez wielki parking udałam się w stronę hipermarketu Tesco. Tam szłam, bo tam było jedzenie... Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię, ale szłam przed siebie jak łoś na żerowisko. Ludzie przekładali zakupy z wózków do samochodów. Był to magnetyzujący widok: nie mogłam oderwać oczu od tych owoców, wędlin, nabiału, od pachnącego pieczywa. Stałam więc jak zahipnotyzowana patrząc, aż ostatni produkt zniknie w przepastnym bagażniku, a potem szłam do kolejnego auta i do kolejnego... Wystarczyło poprosić... Wystarczyło wyciągnąć rękę w żebraczym geście... Coś ścisnęło mnie jednak za gardło, dławilo krtań. Z rozpaczą przechodziłam od jednego stanowiska parkingowego do drugiego widząc, jak te wszystkie wspaniałe, cudowne rzeczy oddalają się z zasięgu mojego wzroku. Nawet nie zauważyłam, kiedy spod powiek zaczęły ciurkiem lecieć mi łzy.

– Ej, chcesz bułkę? – zapytała jakaś młoda kobieta.

– Ja...? – spojrzałam w jej kierunku z niedowierzaniem.

Kobieta z małą dziewczynką i wózkiem pełnym zakupów przystanąła obok mnie.

– Tak, poproszę – wyszeptałam z nadzieją, że to nie żart.

Dziewczynka wyjęła z wózka dwie kajzerki i wręczyła mi je z uśmiechem.

– Mamusiu, dajmy jej jeszcze coś! – zwróciła się do kobiety.

– Jesteś głodna? – spytała kobieta.

– Tak.

– Wobec tego wybierz sobie co chcesz.

Wzięłam jeszcze dwa jabłka i butelkę wody. I... mydło.

– Dziękuję, dziękuję bardzo – szepnęłam i udałam się niecierpliwie w kierunku najbliższej ławki. Łapczywie wgrzyłam się w soczysty owoc, przegryzając jednocześnie bułką i popijając wodą. W tym momencie byłam pewna, że wiem, co znaczy szczęście. Wolność, słońce i pełny brzuch.

– Hej!

Podniosłam głowę. Stała koło mnie ta sama dziewczynka i trzymała w dłoniach sporych rozmiarów siatkę.

– Proszę – wręczyła mi ją z uśmiechem. – I jeszcze to – włożyła do siatki dwudziestozłotowy banknot.

Patrzyłam na to dziecko i nie potrafiłam powiedzieć ani słowa. Czułam, że dzieci mnie w jakiś sposób onieśmielają. A w odniesieniu do tego gestu już całkiem nie umiałam znaleźć żadnego słowa poza banalnym: – Dziękuję.

– Za kilka dni mam Pierwszą Komunię – uśmiechnęła się dziewczynka.

– Wszystkiego... najlepszego... – wydukałam.

– Tak. Wszystkiego najlepszego – odparła dziewczynka i pobiegła do matki.

W tym wieku człowiek jeszcze jest dobry – pomyślałam i od nowa rzuciłam się na jedzenie.

•

– Częszczajcie się – zachęcałam moich kompanów, którzy jakimś cudem mnie na tym parkingu znaleźli.

– Proszę, proszę! Czem siata bogata – Potocki przejął mój „łup” i podzielił między wszystkich.

Czego tam nie było: kiełbasa, ser żółty i pomidory. Jabłka i mandarynki. Dwa soki. Bułki i chleb. Paszтет w puszcze. Czekolada i paczka pierniczków. Był też... szampon do włosów i duże pudełko kremu Nivea. Te ostatnie rzeczy Potocki zwrócił mi razem z siatką.

– No co ty, Hela, higiena ci nagle zaczęła przeszkadzać? – spytała Gangrena zaglądając do torby.

– Opyli się – stwierdził Rajmund.

– Nie – zabrałam im, co moje. – Nie opyli się.

– Jak sobie chcesz – otrząsnęła się Gangrena z obrzydzeniem.

– Nie bój nic – pocieszył ją Rajmund. – Chwila moment i dziewczucha całkiem dojdzie do siebie.

Zatrzymałam dla siebie tylko tyle. I te dwadzieścia złotych. Nie z pazerności, zwłaszcza że moi „kompani” dzielili się ze mną wszystkim. Po prostu jakoś nie

mogłam zamienić daru tej małej dziewczynki na alkohol.

- Idziemy – zarządziła po jakimś czasie Gangrena.
- Okej – do pracy, rodacy! – potwierdził z zapałem Potocki.
- Czyli... dokąd? – spytałam.
- Czyli jak co wieczór, zarobić na coś do picia.
- Zarobić? Jak?

– Ciężką pracą! Idziesz, normalnie od gościa do gościa i prosisz o siedemdziesiąt groszy. Nie więcej. Tyle to każdy ci da, a przeważnie nawet zaokrągli do złotówki czy dwóch. Jakbyś od razu zagadała o piątała, to cię przegonią w cholerę. No, kompania, bo się ściemnia, a pić się chce! Zbiórka na tyłach za sklepem.

Ruszyłam się z miejsca niechętnie. Nie zamierzałam zebrać. Mnie się nie chciało pić. Nawet, jeśli kiedyś mi się chciało, to już mi przeszło. Nie wiem jak, ale na myśl o kwaśnym wińsku mój syty posiłek zaczynał mi się cofać. Łaziłam więc bez celu tu o ówdzie, włóczyłam się wzdłuż i wszerz parkingu.

- Cześć Helena – zagadywał ktoś od czasu do czasu.
- Jaka ty dzisiaj elegancka, no, no! – zagwizdał ktoś, oglądając się za mną.
- Jak zdrówko? – pytał ktoś inny.
- Dziękuję, dobrze – odpowiadałam wówczas grzecznie. – Masz! – ludzie sami podchodzili i dawali mi po parę groszy.

Nie wiedziałam, czemu jestem taka uprzywilejowana, ale jak dawali, to brałam. Kiedy stawiałam się na umówionym miejscu, miałam około trzydziestu złotych w drobnych monetach. Podałam całą garść Potockiemu.

– No, no – cmoknął z zadowoleniem. – A gwiazda nasza jak zwykle, niezawodna!

– Twarzowo jej po prostu w tej pogrzebowej garsonce – mruknęła Szczelba z nutką zazdrości w głosie.

– Bo jej we wszystkim twarzowo. Taka ona... twarzowa babka – odpalił Byku.

– Ejże, na podryw ci się zbiera, ptysiu? – Szczelba walnęła go w czoło, aż plasnęło.

– Zaraz tam, na podryw. Komplementa już nie można koleżance powiedzieć?

- To oni są parą? – spytałam Potockiego na boku.

– Parą są wtedy, jak Szczelba uważa, że są. Jak nie uważa, to nie są. Tak czy siak Byku musi się prowadzić ostrożnie, bo nigdy nic nie wiadomo. A Szczelba łapy ma prędkie...

- A... Ta Gangrena? Czyja jest?

– To różnie. Raz tak, raz siak. Głównie z Rajmundem tworzą parę, ale... Po wiem tak: da się od biedy wejść w ten układ. Ale nie żeby, broń Boże, jakieś zbiorowe figle-migle, fuj! Po prostu... uczynna z niej koleżanka. A i on chytry nie-

szczególnie.

Miałam jeszcze spytać o siebie, ale nam przerwano.

– No, przeliczyliście w końcu swój utarg? Zakupy trzeba by zrobić – pona-
glił Rajmund.

– Wszystkiego mamy... Mamy... – Potocki powoli wracał do poprzedniego
wątku. – A! Na sześć bełtów wystarczy.

••

Nowe życie, nowy styl

„Apatramentowiec” Potockiego okazał się być kamienicą przeznaczoną do rozbiórki. W całkiem niezłym stanie było całe pierwsze piętro, toteż moi druhowie panoszyli się aż w kilku mieszkaniach naraz. Była tam część wspólna, zwana salą bankietową oraz trzy mniejsze lokale o charakterze bardziej prywatnym. Od mojego powrotu do życia jakoś tak najbardziej zbliżyłam się ze Szczelbą, i to ona objaśniała mi na bieżąco podobne niuanse. Robiła to dość dyskretnie, jakby wyczuwając, że wstydzę się tego mojego zaćmienia umysłu. Być może przedtem nasze relacje były podobne, ale tego nie wiem i o to jej nie spytam.

Można powiedzieć, że nasze „apartamenty” były kompletnie umeblowane i wyposażone: w „salonie” stały dwa stoły, każdy z innej parafii, i na podobnej zasadzie skompletowane krzesła. I dwa fotele, z czego jeden bujany. W części kuchennej na taborecie stała maszynka gazowa podłączona do małej butli. Tam też w kącie, bezpośrednio na podłodze stały naczynia: garnki, rondle, czajnik z gwizdkiem, a ponadto „komplet” talerzy i kilkanaście szklanek luzem. Był cukier w słoiku, sól w torebce i kawa w puszcze. Inne produkty spożywcze występowały tu najprawdopodobniej w sposób doraźny. Przyglądałam się tym wszystkim rzeczom z wytężoną uwagą w nadziei, że pomogą mi one przypomnieć sobie to miejsce, a co za tym idzie, całą resztę. Szczelba pokazała mi inne pomieszczenia: wszystkie wyposażone były w materace bądź prowizoryczne łóżka. Gwoździe powbijane w ściany służyły najwyraźniej za szafy. Było też stare jak świat radio, nie wiadomo po co, bo na pewno nie na baterie.

Znalazłam się tu dziś, bo... jakoś nie mogłam odmówić. Najchętniej i tę noc spędziłabym samotnie w „mojej” stęchłej willi, ale oni tak się cieszyli, że znowu z nimi jestem...

„Dziewczyny” zakrzętnęły się prędko w gospodarstwie, wskutek czego na stole stanęła odpowiednia ilość pełnego szkła i zagrycha w postaci słoja korniszonów, puszki z pasztetem i bochenka chleba. Starłam się, żeby było miło. Uśmiechałam się, żartowałam, rzucałam dowcipami, wznosiłam toasty. Piłam tak malutko, jak się tylko dało. Szczelba, zauważywszy w końcu moje machlojki, zaczęła niespostrzeżenie omijać mnie przy polewaniu. Mimo to chcąc nie chcąc ubękałam się na cacy. Nie, zdecydowanie nie czułam się tu jak przysłowiowa ryba w wodzie.

– A ty jak myślisz, madam, będzie w końcu ten koniec świata, czy nie będzie w końcu? – zagadał do mnie Potocki, od dłuższego czasu wałkujący temat Armagedonu.

– Myszsz...lę, że jak jusz bezie, to na koncu – powiedziałam ze skupieniem.

– A pewnie, że na końcu – zapalił się do rozmowy Byku. – Po to on się nazywa koniec świata. A początek już był, jak Adam stworzył Ewę.

– Ewę Pan Bóg stworzył i Adama też – Szczelba walnęła go z pięści w kark.
– Cepie jeden.

– No przecież wiem – poprawił się Byku. – Dlatego teraz będzie koniec.

– Dla... czego? – spytał Rajmund.

– Bo jak jest początek, musi być i koniec – podsumował Potocki. – Tylko nie wiadomo kiedy, ale że podobno jeszcze w tym roku. Co, Hela?

– Niewy... nie... wychozi mi na to – odparłam.

– Tak? A bo co? – spytała ciekawie Gangrena. – Choć mnie tam wszystko jedno.

– Wszystko ci jedno? – Rajmund objął ją za szyję i przeciągle cmoknął w policzek. – A ja?

– Że co: ty? Przecież nie zginę bez ciebie, a ty beze mnie. A na pociechę ci powiem, że całe skurwysyństwo tego świata zginie także samo. Razem z tą cholera, Szczepankową z warzywniaka oraz moim szwagrem, pies go drapał, Edkiem Pytlikiem. I to mnie cieszy! Wypijmy w takim razie za koniec tej świni świńskiej, z jego wieprzowiną-konkubiną!

Gangrena uniosła wysoko szklanę.

– To ja... To ja wypiję tylko... yyyy.... dwie czwarte! – zawahał się Rajmund.

– Bo?

– Bo za Edka koniec marny to jest jedna czwarta, Szczepankowej na pohybel, to jest... druga czwarta... a za resztę końca świata pił nie będę, bo mnie nie jest wszystko jedno. Życie jest piękne, i za to wypiję!

Cała ta interesująca dysputa oddalała się ode mnie coraz bardziej. Dźwięki, obrazy i poczucie własnego jestestwa stawały się coraz mniej wyraźne. Troskliwa Szczelba, widząc co się święci, obwieściła koniec mojego uczestnictwa w imprezie i umościła mnie na jednym z legowisk.

– Sz... Szczecz... Szelba – złapałam ją za rękaw, gdy już miała odchodzić.

– Co jest, dziecino?

– Muszę ci coś... poo... oowiedzieć... Ej, bo coś mi tu... zaświtało przez chwilę!

Szczelba zatrzymała się na chwilę i spojrzała na mnie w skupieniu.

– Ale naprawdę, zaczekaj! – upierałam się. – Tylko... że sama już nie wiem. Co mi się...

Ałć, niedobrze mi...

– Śpij, śpij i odpoczywaj – „koleżanka” otuliła mnie szczelnie jakąś derką – jutro pogadamy.

•

– Otwórz wreszcie, muszę skorzystać z toalety! – nagliłam.
Dziewczyna wyszła z łazienki z oczami pełnymi łez.
– Widzisz, jakie mam włosy? Muszę umyć je jeszcze raz!
– Jakie? – spytałam w przelocie, nie przyglądając jej się specjalnie.
– Tłuste! Tłuste i oklapnięte! – dziewczyna krzyknęła wściekle i wróciła do łazienki.

– O co chodzi? – uchyliłam drzwi i spojrzałam na stojącą przed lustrem Jagodę.

– O ten twój pieprzony prezent! Czy ty nie umiesz czytać? Na opakowaniu przecież napisane jest jak wół: do włosów kręconych! A ja mam proste. Albo nie. Umiesz czytać. Ale nie pamiętasz już, jak wyglądałam!

Teraz pojęłam. Chodziło jej o zestaw do pielęgnacji włosów, który dostała ode mnie. Zrobiło mi się przykro. Z dwóch powodów: że zamiast wyjaśnić jak człowiek w czym rzecz, od razu wpada w agresję, jakby od tego szamponu co najmniej zależało jej życie. I jeszcze dlatego, że w istocie prezent, choć nie tani, okazał się kompletnie chybiony.

– I co? Jedziemy? – młody, bardzo przystojny mężczyzna stanął przy mnie gotowy do wyjścia.

– Jasne, jedźcie! – dziewczyna zatrzasnęła mi drzwi od łazienki przed nosem.

– Wszystko w porządku? – zapytał mężczyzna.

– Tak – odparłam z lekkim wahaniem. – Tak, wszystko w porządku, chodźmy! – powtórzyłam z większą pewnością w głosie.

Spojrzałam na niego z czułością. On rekompensował mi w życiu wszystko: moją głupią młodość, kompletną wychowawczą porażkę o imieniu... Jagoda? Oraz absorbującą nadmiernie pracę zawodową. Mój piękny, elokwentny, milusi i... zakochany we mnie facet. Mój Filip.

– Nie, pojedziemy moim! – zawróciłam go z drogi widząc, że kieruje się w stronę swojego auta. – Muszę zostać dziś w pracy do późna, ciebie ktoś podrzuci do domu, ale na mnie kierowca nie będzie czekał po nocy.

– Po nocy? – w głosie Filipa słychać było wyraźne rozczarowanie. – A ja liczyłem na miły wieczór we dwoje...

– Przed nami jeszcze całe mnóstwo wieczorów. Ogromnie wielkie mnóstwo – roześmiałam się i w chwili, gdy pochylał się, by wsiąść do samochodu, musnęłam wargami jego szyję.

– Ej, co robisz? – Filip spojrzał w lusterko. – Usmarowałaś mnie szminką!

– Znaczą teren – szepnęłam i odpałam wóz.

Nagle poczułam rozsadzający ból pod czaszką i straszliwe mdłości.

•

– Głowa mnie boli... O mój Boże, jak bardzo boli mnie głowa, niedobrze mi.... – jęknęłam Otwierałam oczy wolno i ostrożnie, w obawie, aby mi nie eksplodowały.

– Masz, wypij. To ci dobrze zrobi, madam.

Nade mną stał Potocki z kubkiem w dłoni.

– Dziękę... ęki. – jęknęłam, ból głowy nie odpuszczał. – Gdzie Szczelba?

– Poleciała po aspirynę dla ciebie. A swoją drogą... toś nam wydelikatniała!

– Szczelba mówiła, żebyś nad nią nie wydziwiał – Rajmund wsadził w drzwi rozczochrany łeb. – A ty co? Byś nie wydelikatniał, jakby cię zakopali do ziemi?

– Ekskjuzymła – skłonił się Potocki. – Nie chciałem bynajmniej urazić...

Wzięłam od niego kubek i tłumiąc w sobie wszelkie poczucie estetyki, wypilałam jego zawartość niemal duszkiem.

– Masz, łyknij – w tym momencie pojawiła się Szczelba z pigułką na wyciągniętej dłoni.

– Może najpierw niech coś zje, bo jej żołądek nawali – dołączyła do nich Gangrena. – Chcesz kromkę z pasztetówką?

– Nie! Nie... – na samą myśl o jedzeniu zrobiło mi się niedobrze.

Chyba miałam kaca. Chociaż nie wiem, czy to normalne u zawodowego alkoholika.

– A może na powietrze ją wyprowadźmy – zaproponował Byku. – Błada jesteś, Helka, cuśkolwiek.

Zamknęłam oczy. Cały świat zawirował wokół mnie. Moi towarzysze dyskutowali na mój temat z zapalem, a mnie nie chciało się nic: ani jeść, ani pić, ani gadać. Jedyne, czego mi się chciało, to świętego spokoju.

– Chyba ona nieczynna jeszcze za bardzo – zatroskał się Rajmund.

– No przecież jej tak tutaj nie zostawimy! A w miasto trzeba iść. Bez pracy nie ma kołaczy – niecierpliwiła się Gangrena.

– Wobec tego... ja pójdę do siebie. Mną się nie przejmujcie, dam radę, ale muszę trochę jeszcze odpocząć – zaproponowałam.

– I co... Będiesz tam taka sama, samiuśka?

– Pójdę z nią – zaoferowała się Szczelba. – Jak się tylko upewnię, że z nią wszystko porządku, dołączę do was.

Szłyśmy obok siebie w milczeniu. Kiedy doszłyśmy pod drzwi „mojej willi”, Szczelba puściła mnie przodem.

– Posprzątałaś tu? – spytała jakby zdziwiona, rozglądając się dookoła.

– Tu się nie da posprzątać. Ogarnęłam tylko z grubsza. Zresztą nie ma wody, więc jak?

– No, woda jest odcięta. I prąd też, co pewnie już zauważyłaś.

– Owszem, ale mam kilka wkładów do zniczy i zapalki. Da się wytrzymać.

– Dawniej ci ten syf nie przeszkadzał – Szczelba spojrzała na mnie spodobała.

– Tak, wiem – odparłam. – To znaczy, domyślam się. Ale teraz mi przeszkadza. Szczelba... ja nie wiem, czy aż tak się zmieniłam, czy może... to wcale nie jestem ja? To znaczy... ta, za którą mnie uważacie?

– No co ty? Opiczkałaś, czy jak?

– Bo... Ja rozumiem, że można niczego nie pamiętać, takie rzeczy się zdarzają. Ale przecież zostałyby mi chyba jakieś odruchy, przyzwyczajenia, upodobania? A mnie nawet alkohol nie smakuje. Że już nie wspomnę o papierosach. Jak więc to możliwe?

– To przez ten szok wszystko.

– Może. Ale wiesz, miałam dziwny sen. Taki... realny, jakby wszystko to działo się naprawdę. Byłam w nim zupełnie kim innym. Całkiem inną kobietą, z innych sfer...

– Co ty mówisz? – Szczelba wyraźnie się zaniepokoiła.

Pewnie myślała, że z tego wszystkiego pomieszało mi się w głowie.

– Jaką kobietą? Z... jakich sfer?

– Nieważne – machnęłam ręką. – Muszę pójść na policję. Pójdiesz jutro ze mną?

– Jezu Nazareński! – przeraziła się Szczelba. – Helena... To ty tak... do mnie?

– Nie do ciebie – zaśmiałam się smętnie. – Tylko do mnie. Powinam im zameldować, że żyję. Pomożesz mi znaleźć tego gliniarza, który sporządzał protokół?

– Ale... po co ci to?

– Chyba mało ludzi było na moim pogrzebie, co? – spytałam pozornie nie na temat.

– Czemu tak myślisz? – zmieszła się Szczelba.

– Bo mało osób ucieka na mój widok.

– No... Tak. Ale tylko dlatego, że mało kto wiedział o twojej śmierci. Bo wiesz, mieliśmy wieszać nekrologi... Ja z Bykiem, Rajmund z Gangreną i z Potockim. Ale nam jakoś... z tej żalości nie szło. Dwa my tylko zawiesili. Wybacz.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że w końcu kiedyś trafię na kogoś, kto wie, że umarłam. I w ogóle... trzeba to odkręcić. Nie mam przecież teraz żadnej tożsamości.

– A po co ci tożsamość? Z mąż chcesz wyjść, czy co?

– Nie. Ale źle się z tym czuję.

Szczelba przysiadła na brzegu łóżka naburmuszona.

– Ja też nie mam tożsamości i żyję.

– Masz na pewno jakiś dokument. A ja? Czym się mam legitymować? Aktem zgonu?

– A po co ty się masz legitymować? Przecież w Ł. całe glinowo cię zna.

– No właśnie. I całe glinowo na pewno wie o moim zgonie. A w ogóle to ktoś chyba powinien beknać za ten mój pochówek. Nie grzebie się bezkarnie ludzi żywcem.

Na myśl o beztrosce dwóch imbecyli: lekarza i policjanta, aż mną zatrzęsło. A na wspomnienie mojej niewyobrażalnej, straszliwej i okrutnej podziemnej katorgi gotowa byłam biec do nich już teraz. Jednak na widok coraz bardziej przerażonej Szczelby postanowiłam wstrzymać się z tym jeszcze. Być może osoby naszego pokroju mają istotne powody, aby obawiać się kontaktu z policją? Uznałam, że jeśli mnie bardziej przycisnie taka potrzeba, pójdę na komendę sama, bez jej wiedzy.

– Dobra. Na razie dam temu spokój. Opowiedz mi lepiej o sobie – zmieniłam temat, kładąc się na łóżku.

– O sobie? – Szczelba ułożyła się obok. – Kiedyś byłam fryzjerką.

– Fryzjerką?

– No. Miałam nawet taki... swój mały zakład. W swoim domu, na parterze, bo miałam też swój dom. To był ten czas, kiedy wszyscy się rzucili zakładać prywatne biznesy, zaraz po upadku komuny. Wzięliśmy z mężem duży kredyt na rozruszanie interesu, właściwie ja wzięłam, bo on już wtedy nie pracował. Wiesz, reorganizacja zakładu pracy... Adam popijał trochę z tej beczynności, ale nie aż tak, żeby dramat był. A ja od rana do wieczora, świątek piątek czy niedziela – klientki czesałam. Wtenczas konkurencji nie było jeszcze takiej dużej jak teraz, bo sporo jeszcze było państwowych zakładów. Wystarczyło więc jakichś parę nowinek wprowadzić, uprzejmość taką zagraniczną bardziej, wiesz: kawka dla klientki, cukierki na stoliku, woda w karafce, proszę, przepraszam, dziękuję – i ruch się zrobił jak w ulu. I pieniądze były też, więc Adam coraz rzadziej rozglądał się za pracą. Tylko że w trunkach lepszych zagustował. Szczerze ci powiem, że ja wtenczas chyba ślepa byłam. Robota i robota, mało co zwracałam uwagę na tego mojego. Cieszył mnie ten zakład i ta renoma, i te pieniądze. Wykończyli mnie pospołu Balcerowicz z kochanką Adama. Kochanką okazała się moja własna stażystka, siksa niewdzięczna, a Balcerowicz takie mi procenty do kredytu przywalił, że nie nadażyłam spłacać. A kiedy mi było z tym bardzo źle, napiłam się czasem. Raz, drugi, trzeci... Pomagało. Ale później, jak zaczęłam klientki na gazie przyjmować, zrobiło się już całkiem do dupy. Klientki odeszły, kochanka rzuciła Adama, a odsetki rosły. Od tego czasu zaczęliśmy pić razem. Potem przyszedł komornik, a dalej, to już z górki. Na pazurki, jak widzisz.

– A... Adam?

– On? – roześmiała się Szczelba. – Dziś jest wierny jak mało kto. I chcąc nie chcąc, dotrzyma tej wierności aż po grób.

– By... Byku?

Szczelba skinęła głową.

- Byku... to twój mąż, Adam?
- Ślubny, kościelny. Jak widzisz – Szczelba puściła do mnie oko i roześmiała się głośniej – nic nie jest na tej ziemi tak wieczne jak uczucie.
- Faktycznie! – przyznałam i parsknęłam śmiechem.
-

Kiedy się obudziłam, zaczynało się zmierzchać. Szczelby już nie było. Wyszłam z domu z nadzieją, że znajdę w pobliżu jakiś czynny sklep, a przy okazji dowiem się, która godzina. Dwie przecznice dalej znalazłam niewielki sklepik wielobranżowy. Był otwarty. Wyłuskałam z kieszeni dwadzieścia złotych, które dostałam od dziewczynki, kupiłam chleb, pasztet i pastę do zębów. To mi musiało wystarczyć. Wracając, zobaczyłam w oknie tę samą sąsiadkę, która dała mi wodę. Postanowiłam znów poprosić ją o przysługę. Przystanęłam więc i ukloniłam się. Kobieta widząc, że nie odchodzę, wychyliła się na zewnątrz.

– Przepraszam, nie chciałabym być natrętna, ale czy... Mogłabym jeszcze dzisiaj dostać od pani trochę wody?

– Do picia? – spytała jak poprzednio.

– No, może ciut więcej. Tyle, żeby się umyć i uprać bieliznę osobistą.

– Zaraz zejdę – mruknęła kobieta.

I rzeczywiście, po chwili była już na dole. Z pustymi rękami.

– A... No tak, nie zabrałam butli – przypomniałam sobie, że nie zwróciłam jej plastikowego baniaka.

Sąsiadka zmierzyła mnie w milczeniu z góry na dół, skupiając się szczególnie na przezroczystej, foliowej siatce, którą miałam w dłoni.

– I co, masz zamiar się tu wprowadzić z powrotem? – znowu spytała, jak ostatnim razem.

– Nie wiem – westchnęłam. – Dom jest bardzo zaniedbany... Niczego w nim nie ma... Ale tak, chciałabym. W końcu to mój dom.

– Sama?

– Oczywiście, że sama. Bo z kim?

Babka sprawiała wrażenie, jakby zamierzała mnie przesłuchać. Zadawała kolejne pytania, i kolejne, wciąż odbiegając od tematu upragnionej przeze mnie wody. Zirytowałam się w końcu.

– Już nie piję, jeśli to chce pani ode mnie usłyszeć. Można było zapytać wprost.

Sąsiadka wyraźnie się zmieszała.

– Chcesz się u mnie wykąpać? – spytała po dłuższym milczeniu.

– O mój Boże! Mogłabym? Naprawdę?

– Proszę – staruszka otworzyła szerzej furtkę.

– Wobec tego chwileczkę. Pobiegnę do siebie po mydło i szampon do wło-

sów.

– Nie trzeba. Dziś ci użyczę swojego.

Tego nie trzeba mi było powtarzać. Kapałam się, płacząc ze szczęścia. Chlipałam, myjąc włosy i lkałam, piorąc majtki i biustonosz. Taka zwyczajna rzecz (choć może nie dla mnie, kto wie, kiedy myłam się ostatnio), a dała mi tyle szczęścia!

Kiedy wyszłam z łazienki, starsza pani czekała już na mnie z jakimś tobołkiem.

– Tak sobie pomyślałam, że może ci się parę rzeczy przydać... Dla mnie samej wszystkiego tutaj za dużo. Bo... Antoś zmarł w zeszłym roku.

– Ojej, zmarł? Tak mi przykro – zmartwiłam się, choć nie miałam pojęcia, kim był Antoś.

– Dasz radę to zabrać? – kobieta wskazała na wielkich rozmiarów siatę i kolejny, pięciolitrowy baniak z wodą.

– Postaram się – odparłam i tak objuczona udałam się do domu.

Zapaliłam po jednym zniczu w przedpokoju i w sypialni, a następnie wyjęłam z kieszeni zakietu mokrą bieliznę i rozwiesiłam na drzwiach od szafy. Zawartość siatki wyjęłam kolejno na łóżko. Była tam świeża pościel, dwa ręczniki i falbaniasta koszula nocna. Natychmiast zmieniłam szare, stęchłe powłoczki na nowe i wystroiłam się w błękitną flanelę. Wszystko to pachniało kwiatowym płynem do płukania. Dawno nie czułam tak przyjemnych zapachów... Żeby było jeszcze przyjemniej, uchyliłam okno. Do sypialni wdarła się jakaś niesamowita woń. Jaśmin pewnie zakwitł w ogrodzie pomyślałam z tkliwością.

•

Zapach jaśminu był o tej porze roku wszechobecny, powietrze dosłownie gęste było od niego. Uwielbiałam ten zapach, nastrojał mnie tak jakoś... miłośnie do świata.

– Widzimy się na lanczu? – spytałam, oddając kluczyki parkingowemu.

– Nnnnooo.... Nie wiem – zawahał się Filip. – Zdzwonimy się w każdym razie.

Mimo, że pracowaliśmy w tym samym budynku, w ciągu dnia widywaliśmy się rzadko. Chyba, że udawało nam się zjeść razem lancz, czasem jednak trzeba było poświęcić ten czas na spędzenie go z kimś innym, w celach biznesowych.

– Proszę pani!!! – zanim doszłam do drzwi, coś złapało mnie od tyłu za rękaw.

To znów ta paskudna łązega – pomyślałam, czując nagły dysonans otaczających mnie woni.

Już od jakichś trzech dni koczowała pod biurkiem, i jakby uparła się właśnie na mnie.

– Poszła won, czarownico! – Filip odepchnął ją łokciem.

– Ale... pani!!! Ja do tej pani! – upierała się żebraczka.

Sięgnęłam odruchowo do torebki.

– Zostaw – powstrzymał mnie Filip. – Będziesz jej sponsorowała denaturat?

– Pani!!! – kobieta krzyczała nadal, gdy byliśmy już przy windzie.

– Przegoń tego kocmołucha – sarknął Filip do portiera.

– Się robi! – odparł portier służbiście.

Od czasu, gdy zostaliśmy parą, każde zdanie Filipa traktowane było przez niższy personel jak polecenie.

– A... jeśli ona głoduje? Jeśli chce pieniędzy na chleb... – powiedziałam do jego odbicia w wiszącym na ścianie windy lustrze.

– A nawet jeśli, to co? – Filip wzruszył ramionami. – Zapewniam cię, że baba ma to, na co zasługuje. Menele też są kowalami własnego losu. Dokładnie tak samo jak ty i ja. No to na razie, słodka – cmoknął mnie w policzek i wysiadł.

Ma rację – pomyślałam. – W końcu mnie również los nie rozpieszczał, a nie wylądowałam pod mostem. Przeciwnie...

Uśmiechnęłam się na myśl, że zaraz wejść swojego gabinetu, a tam natychmiast otoczy mnie zespół ludzi, który tylko czekają na moje polecenia.

– Dzień dobry, pani prezes – Gabi, moja asystentka, uniosła się zza biurka.

– Witaj, Gabi – odparłam nie zatrzymując się.

Moje biuro znajdowało się za pokoikiem asystentki.

– Kawa – Gabi weszła za mną, niosąc małą, srebrną tackę.

•

– Kawa! – aromat tego cudownego napoju sprawił, że postanowiłam nie otwierać oczu.

Chciałam, żeby ten sen nadal trwał, a dopóki leżałam z zamkniętymi oczami, mogłam udawać, że zaraz wypiję łyk prawdziwej, gorącej kawy. Z czystej, białej filiżanki.

– Kawusia! Południe dochodzi. Szkoda tak pięknego dnia.

Chcąc nie chcąc spojrzałam w stronę, skąd dochodził ten urojony czy może jednak rzeczywisty głos. Przy moim łóżku stała staruszka z naprzeciwwką, z dzbankiem w jednej ręce i kubkiem w drugiej.

– Pozwoliłam sobie wejść, bo było otwarte – to chyba miał być żart; drzwi mojego domu nie posiadały zamka. Była tylko klamka i wielka dziura poniżej.

– O! Dziękuję bardzo – zerwałam się z pościeli. – Boże mój, ta kawa mi się nie śni!

Złapałam za dzbanek oraz kubek i nie czekając na nic, sama się poczęstowałam. Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Zostawiam ci to wszystko, jak będziesz chciała, to odniesiesz mi naczynia.

A teraz idę. I nie myśl sobie, że zamierzam cię rozpieszczać – powiedziała i wyszła.

Rozkoszowałam się kawą bardzo powoli. I delectowałam się zapachami, przyjemnymi woniami, dochodzącymi do mnie zewsząd: zza okna, z tego, co miałam na sobie, z dzbanka z kawą. Jakbym dopiero co odkryła, że świat ma w swojej ofercie i takie doznania węchowe. Kiedy nalewałam sobie kolejną filiżankę, przypomniała mi się kawa z mojego snu. Cały sen stanął mi przed oczami jak żywy. Ten i poprzedni... Widziałam siebie, jak maluję w pośpiechu usta, widziałam młodą, ładną dziewczynę z zapłakaną twarzą i mężczyznę – niewiele od niej starszego, niezwykle przystojnego szatyna. Skąd takie dziwne sny? – zastanawiałam się. A może to nie sen? Może... to wspomnienie? Jeśli tak, to chyba bardzo, bardzo odległe. Ile lat temu mogłam tak żyć? W końcu zrujnowanie swojego życia niemal do zera to proces dość długotrwały...

Wczoraj, kiedy Szczelba opowiedziała mi o sobie, poprosiłam, żeby opowiedziała mi również o mnie. Zrobiła to zdawkowo i niechętnie. Może nie chciała narażać mnie na dodatkowy dramat? Powiedziała, że byłam aktorką. Całkiem popularną. Ale, jak to się podobno mówi, nie wytrzymałam presji zawodu. Myślałam, że żartuje. Nie umiałam sobie tego wyobrazić. Ani siebie jako aktorki, ani tej... presji zawodu. Jednak w moim śnie czy też wspomnieniu widziałam siebie jako eleganczką, zadbaną kobietę, w luksusowym otoczeniu. I towarzystwie... Szczelba pokazała mi jakieś stare zdjęcie z gazety, na którym byłam ja w kadrze jakiegoś filmu. Podpisana z imienia i nazwiska. Cóż, tak czy owak, fakty musiałam uznać za fakty. Nie było innej możliwości. Czułam, że wracanie do przeszłości w moim przypadku nie byłoby niczym dobrym. Do takiej przeszłości... Doszłam nawet do wniosku, że ten zanik pamięci może być dla mnie zbawienny: skoro przy okazji zapomniałam wszystko co złe, a z tego co wiem, moje życie w większości składało się z dramatów, to zapomniałam też, jak to jest być kobietą upadłą, żebraczką i alkoholiczką – oto otwiera się przede mną nowa szansa.

Wyskoczyłam z łóżka, umyłam twarz, zęby i w moim pogrzebowym, bo jedynym stroju udałam się na miasto. Nie wiem, skąd moi znajomkowie wystraszyli podobną „kreację”, ale cóż... W czymś trzeba żyć i w czymś umierać... Mnie przyszło udać się w ostatnią drogę w obcisłej, czarnej minispódniczce, czarnym żakiecie i białej bluzce z bujnym, koronkowym żabotem. I w zielonych czółenkach na wysokiej szpilce. Szczerze mówiąc, dziś było mi to równie obojętne jak w dniu pogrzebu. Ale nie wyglądałam w tym źle, choć może nieco dziwnie. Po drodze do Tesco (bo to był cel mojej wędrówki) kilkakrotnie przejrzałam się w witrynach sklepowych. Nie, zdecydowanie nie wyglądałam źle.

Postanowiłam znaleźć moich kompanów, zanim oni znajdą mnie. Trochę głupio się z tym czułam; w końcu, jacy by nie byli, byli moimi oddanymi przyjaciółmi, a ja... nie chciałam, żeby odwiedzili mnie w domu. Jakoś niezręcznie było-

by mi wobec mojej staruszki – sąsiadki. Ona we mnie uwierzyła i nie chciałam tej jej wiary zawieść, choć nie mam pojęcia, kim była. Więc jeśli już musiałam z nimi biesiadować, to gdzie indziej...

– Helena! – Potocki pomachał do mnie z daleka i przyśpieszył kroku.

Ten samozwańczy książę prezentował podobnie awangardowy styl ubierania jak ja. Nie wiem, skąd on to wytrzasnął, ale miał na sobie autentyczny frak, włożony na gołą klatkę, a pod szyją fantazyjny zwiewny szaliczek. Do tego od dołu czarne lakierki i „białe” skarpety, a od góry misternie przylizaną fryzurę.

– Helena, co się dzieje? Martwimy się wszyscy o ciebie – wysapał z zadyszka.

– Wszystko w porządku. Szczelba wam nie mówiła? Zostawiła mnie wczoraj w dobrym zdrowiu i humorze.

– No tak, mówiła, ale w... w twoim stanie... to wiesz.

– Mój stan jest całkiem stabilny. Gdzie reszta?

– Pracują – Potocki szerokim gestem wskazał na parking.

– Pracują... – mruknęłam niechętnie.

– Dobra, madam, czas to pieniędzy, ruszajmy azaliż i my. Zbiórka wieczorem na tyłach – oznajmił i obrócił się na pięcie.

Snułam się między samochodami tu i tam, nie zamierzając nikogo o nic prosić. Ludzie jednak, tak jak poprzednio, sami dawali mi po parę groszy, zagadując od czasu do czasu.

– No nie, Helena, jak pięknie dziś wyglądasz! Czy to ty? – spytał młody, krępy mężczyzna z tatuażami na rękach.

– Ja zawsze pięknie wyglądam – prychnęłam jak kotka. – To tobie się wzrok poprawił!

– Ha, ha – zaśmiał się facet. – W takim razie masz, kup sobie coś ładnego w lumpeksie – wcisnął mi w rękę piątaka.

Razem z monetą schowałam do kieszeni całe moje poczucie godności.

– Merci – odparłam z francuska, jak robił to Potocki.

A swoją drogą, ten to miał talent. Zawsze osadzał swoją nędzę w kontekście historycznym. Opowiadał, że bolszewicy wymordowali całą jego książęcą rodzinę, a co za tym idzie, pozbawili ojczyznę głębokich polskich wartości i prawdziwych moralnych autorytetów. Biadolił, że jeśli czegoś nie dokonali ruscy, zabrali mu komuniści. I że oto on, potomek najprawdziwszej polskiej arystokracji, musi wyciągać rękę po jałmużnę, by zarobić na chleb (!), podczas gdy na jego rodowych włościach panoszą się ideowi spadkobiercy Stalina, a także Żydzi oraz geje. Albo nieślubne dzieci hierarchów kościelnych i wypasione na komunistycznej spuściźnie solidaruchy. To zależało od słuchacza. Tak czy inaczej, Potocki zawsze trafił na kogoś o odpowiednich poglądach, a gdy poprosił o swoje sławetne siedemdziesiąt groszy, których brakuje mu do bochenka chleba, częstokroć otrzymywał znacz-

nie więcej. Dobroczyńcami Potockiego byli najczęściej emeryci bądź ofiary prywatyzacji mienia pozostałego po poprzednim ustroju.

– Witam, pani Heleno – czyjś głos wyrwał mnie z rozważań nad moim kolegą.

– Witam – odparłam, oczywiście nie kojarząc rozmówcy.

Był to mężczyzna koło pięćdziesiątki, wysoki, tęgi, dobrze ubrany.

– Dobrze pani wygląda – zmierzył mnie uważnie z góry na dół.

– Wiem. I co z tego? – odburknęłam, bo wyglądało mi to na jakieś obleśne awanse. Pewnie da mi teraz dychę i będzie chciał za to nie wiadomo czego – pomyślałam.

– Chyba lepiej się pani powodzi, co? – dopytywał.

– Jakby mi się lepiej powodziło, to bym raczej nie łąziła po tym parkingu, prawdaż?

– No ale... Zapytam wprost: czyżby pani... e... była całkiem trzeźwa?

Teraz się zdenerwowałam. No tak. W rozmowie z kimś takim jak ja nie obowiązuje delikatność. Ani elementarne zasady kultury.

– A co? Potrzebuje pan kierowcy? Czy honorowego dawcy krwi?

Facet roześmiał się niezrażony.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Alfred N., dyrektor teatru im. J. Pomyślałem sobie, widząc panią w tak doskonałej kondycji, że... może, o ile zdrowie pozwoli, zechciałaby pani wrócić na scenę? Ja bym panią w każdym razie chętnie zatrudnił.

– Kpi pan sobie ze mnie, tak?

– Nie, ale skądże! – oburzył się. – Oto moja wizytówka – wręczył mi mały beżowy kartonik. Proszę zastanowić się nad moją propozycją. Będzie przez cały czas aktualna.

Rzuciłam okiem na wizytówkę. W istocie, figurował na niej Alfred N., dyrektor teatru. Był też adres i numer telefonu.

– A, jeszcze jedno... – rzucił mężczyzna na odchodnym. – Proszę to wziąć!

Jak tylko facet się oddalił, spojrzałam na kolejny papierek, który wcisnął mi w rękę. Była to... cała, caluśka stowa! Na wszelki wypadek odwróciłam się tyłem do miejsca, w którym ostatnio widziałam Potockiego i wsunęłam banknot oraz wizytówkę do biustonosza.

•

Przez cały wieczór byłam pod wielkim wrażeniem tej rozmowy. Nadal chodziłam pomiędzy samochodami, ale kompletnie nie łąpałam, co mówią do mnie ludzie i ile mi dają. Chowałam monety do kieszeni, a papierowe pieniądze do biustonosza. Kiedy przyszło do rozliczenia kasy, okazało się, że uzbierałam w drobnych sześćdziesiąt cztery złote i dwadzieścia groszy. Tak jak ostatnio, najwięcej

ze wszystkich.

– No, no, no – cmoknął z zadowoleniem Potocki. – Nasza madam jak zwykle niezawodna i szczodra dla swego ludu...

– Wystarczy, że się uśmiechnie i ma – skomentował Rajmund.

– Bo ma wszystkie zęby! – sarknęła Gangrena. – Ja się też uśmiecham i co? Sześć osiemdziesiąt!

– To może ty akurat... się nie uśmiechaj – poradził Potocki.

– Arystokracja powiedziała, co wiedziała! Z Koziej Wólki, psia jej mać!

– Nie kłóćcie się, ferajna, bo jeszcze bardziej w gębach wysycha od tego. Księciuniu, bierz kasę i leć po napój, usta zwilżyć bym chciała.

Potocki wrócił niebawem z siatką pełną zakupów spożywczych oraz drugą, pełną flaszek. Rajmund aż zatarł ręce na ten widok.

– Ależ się biesiadka kroi dzisiaj!

– Co chcesz, wróciła nasza gwiazda, wrócił dobrobyt – roześmiał się Byku.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że być może upadła aktorka, niegdyś znana i podziwiana, stanowi jakiś rodzaj atrakcji na tym parkingu. I że być może dlatego moim kompanom tak na mnie zależy? Jeszcze niedawno po pijaku mogłam tego nie zauważać, ale teraz... Nie! – skarciłam się w duchu. – Skoro żyjesz w tej gromadzie od ładnych kilku lat, to znaczy, że jest ci w niej dobrze. I nie wydumuj dodatkowych problemów!

– No więc jak? Koniec tych miałych dyskusji. Udajemy się na apartamenty, czy może madam zaprasza nas na swoje włości? – zwrócił się do mnie Potocki.

– Może... na apartamenty – odpowiedziałam niemal ze łzami w oczach.

Tak bardzo żał mi było mojej czystej pościeli i błękitnej koszuli nocnej. I staruszki, która być może znów przyjdzie rano z kawą... Ale to właśnie przez wzgląd na nią nie mogłam urządzić w domu libacji. Byłam zła na siebie, że nie umiem znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Przecież mogłam po prostu powiedzieć: dziękuję, panie i panowie, ale ja już nie piję. I ruszyć w swoją stronę. A może nie mogłam właśnie? Bo jeśli moja nagła abstynencja została potraktowana przez nich jak zdrada? Zdrada... i niewdzięczność? Nie wiedziałam, niestety, czy w istocie coś im zawdzięczam, czy może jest wręcz przeciwnie? Widocznie jednak z natury swojej nie byłam niewdzięcznicą i to nie pozwalało mi rozwiązać problemu. Nie czułam się z tym dobrze i postanowiłam jeszcze dzisiejszej nocy jakoś wykaraskać się z tej sytuacji. – Raz kozie śmierć – powiedziałam sobie. – Życie jest zbyt krótkie, żeby robić cokolwiek wbrew sobie.

– Słuchajcie, chcę wam coś powiedzieć – zaczęłam, gdy towarzystwo zaspokoili pierwsze pragnienie, nie na tyle jednak, by mnie nie słyszeć i nie rozumieć. Sama też wychyliłam szklaneczkę tego piekielnego trunku, pędzonego chyba przez samego diabła na siarce i kwasie.

– Cicho bądźcie jeden z drugą, ponieważ dama będzie przemawiała – zrobił

mi wstęp Potocki.

Dla dodania sobie pewności wyłuskałam z biustonosza wizytówkę.

– Ale... że co? – spytała z lekka wystraszona Szczelba.

– Że cicho ma być – wyjaśnił jej Potocki.

– Ale... że o czym ona będzie do nas przemawiała? – pytała nadal, nie wiadomo czemu jego, nie mnie.

– Że jak będziesz cicho, to zaraz się dowiesz. A jak nie będziesz, to nie – dodał Rajmund.

Szczelba usiadła i wpatrzyła się we mnie, jak... No właśnie, jak w kogoś, kto zaraz ogłosi rozważany przez nich od jakiegoś czasu koniec świata.

– Dajże jej mówić – trącił ją z łokcia Byku.

– Przecież nic nie mówię! – oburzyła się Szczelba.

– Jak się nie uspokoisz, to cię trzepnę! – Rajmund trzepnął Byka pod włos.

– Sam się uspokój – odszczeknął się Byku.

– Wracam do aktorstwa! – krzyknęłam, zaskakując siebie może nawet bardziej niż ich.

Wkoło zapanowała całkowita cisza.

– To znaczy... nie wiem jeszcze, czy wracam, ale dostałam dziś taką propozycję – położyłam na stole wizytówkę.

Towarzystwo obejrzało ją dokładnie, podając ją sobie z rąk do rąk.

– Czyli że co? Bo nie rozumiem – jako pierwsza odzyskała głos Gangrena.

– To znaczy, że Helena znowu będzie grała w filmach – przetłumaczył moje słowa Potocki.

– Nie w filmach, jeśli już, tylko w teatrze. Ten dyrektor – wskazałam na wizytówkę – zaproponował mi etat.

– No, ale jak to? Jak będziesz grała? Będziemy mieszkać tu, tu żyć i popijać sobie, a ty nagle popołudniami będziesz się zrywała i leciała do teatru? – dociekała Szczelba.

– A rano polecisz pod Tesco wyciągać łapę po drobne? – dodał Rajmund. – Daruj, ale głupie to cuśkolwiek.

– Głupie to są pacany. Takie jak wy! Tego się nie da pogodzić razem do kupy. Madam się rozchodzi o to, że albo rybki, albo pipki.

– Ja bym tam wołał pipki – mruknął pod nosem Rajmund.

– No ale to znaczy, że co? – Szczelba spoglądała to na mnie, to na Potockiego i była bardzo wyraźnie przejęta.

Nie odpowiedziałam. Wołałam, aby im to objaśnił zawsze skory do pomądzenia się Potocki.

– To znaczy, że albo będzie żyła jak do tej pory, z nami, czyli mieszkała w apartamentach, pracowała pod Tesco i popijała berbeluchy, albo... będzie mieszkała u siebie, pracowała w teatrze i popijała lemoniadę. Z największymi szychami

w tym mieście – „księciu” nie zawiódł moich oczekiwań.

– Chryste! Ale tak całkiem, o suchym pysku? Przecież tak się nie da żyć – zakwiliła Gangrena.

– Da się – zabrałam w końcu głos. – Mnie się teraz właśnie zrobiło coś takiego, szczerze wam się przyznam, że nie mogę już pić. Nie mogę, po prostu. Chocoby chciała!

– A może byś tak do lekarza poszła, co? – zatroskał się Rajmund. – Bo to nienormalne jest. Może świadczyć o jakiejś śmiertelnej chorobie. Czy coś...

– Po mojemu rób co sama uważasz – zignorował jego uwagę Potocki. – Jeśli takie czujesz powołanie – wuala. A jakby co, zawsze możesz do nas wrócić...

– Ale ja przecież... Nigdzie nie odchodzę! – objęłam go wzruszona. – Nawet jeśli zamieszkam w willi, nadal będziecie moimi przyjaciółmi. Nawet gdybym na powrót stała się gwiazdą, w co raczej wątpię, zawsze będę was wspierać!

– Tak się tylko mówi – mruknęła Gangrena. – Przyjdzie co do czego, to o nas zapomni jak nic.

– A nawet jeśli, to co? – nastroszył się Potocki. – To jest jej życie i jej szansa. Kto z nas nie skorzystałby z takiej okazji? No, kto? Pokaż mi takiego, Gangrena. Może ty?

Nikt na to wyzwanie nie odpowiedział.

– Wiesz, przemyślałam to sobie bardzo dokładnie – powiedziała mi nazajutrz Szczelba – i uważam, że dobrze zrobisz, jak pójdziesz do tego teatru. W końcu ty jesteś Helena P., aktorka. A nie byle kto.

Wiem, że nazywam się Helena P., ale na dźwięk tego imienia i nazwiska wypowiedzianego przez kogoś innego przebiegły mi przed oczami sceny z rozmaitych filmów.

– Jutro pójde z tobą nawet na glinowo, po tożsamość. Zobaczysz, wszystko się uda! Ty będziesz Heleną, będziesz grać i wszyscy będą szczęśliwi – pocieszyła mnie jakoś dziwnie Szczelba.

A zabrzmiało to tak, jakby raczej pocieszała siebie... Nieważne. Ważne jest to, żeby mi się udało prędko i bez problemów powrócić do żywych!

••

VI

Powrót na deski

Policjant przyglądał mi się z uwagą. I z niemałą konsternacją. Za radą Szczelby postarałam się wyglądać tak jak przed tym nieszczęsnym pochówkiem, czyli jak ostatnia łajza. Wystroiłam się więc w pożyczoną od niej grubą, wełnianą spódnicę, różowy golf i skarpety pod kolor. Na golf narzuciłam kamizelkę z wzorzystej dzianiny z przewagą zieleni i brązów. Włosy związałam kolorową apaszką.

– Ale... Chryste Panie! To niemożliwe! Przecież widziałem, jak leżałaś kompletnie nieżywa koło ławki. Nie oddychałaś! Nie miałaś pulsu! Sam sprawdzałem, a za pół godziny przyjechał doktor Jarczyński i stwierdził twój zgon. Kobieto! Nie mieszaj mi teraz w statystykach!

– Ale co ona ma do mieszania, panie władzo – wtrąciła się Szczelba. – Jej wina, że żyje? A doktor jak stwierdził zgon, niech teraz stwierdzi żywot. I będzie po sprawie.

– To nie jest takie proste... – policjant już od dłuższego czasu intensywnie skrobał się po czole. – No nie. Nie jest proste.

– Jak nie proste? Dokładnie takie samo, tylko że na odwrót. Ten akt zgonu należy zlikwidować, zwrócić obywatelce dowód osobisty i fajrant.

– Tak? Fajrant? – zirytował się policjant. – Ale to zostało zgłoszone do ZUS-u, miasto pokryło kosztą pogrzebu, zakupiło trumnę i wieniec!

– Tamten gustowny kostiumik też miasto zakupiło? – spytałam ciekawie.

– Nie, to już Gangrena z Rajmundem wybierali. Na nasz własny koszt – szepnęła Szczelba.

– Aha...

– No to ja wiem, co trzeba zrobić – ożywiła się nagle moja „koleżanka”. – Pan na spółkę z doktorem odkupicie miastu trumnę oraz wieniec i spłaciecie resztę, bo przecież ksiądz i organista nie zwrócą, jak już wzięli. Grobowiec gotowy był, do rodziny byłego męża denatki należy, więc tu jest bez kosztów. No, dawaj pan ten dowód, bo dziewczynę do teatru chcą zatrudnić, a bez tego ani rusz!

Im bardziej policjant wydawał się być skruszony, tym bardziej Szczelba robiła się napastliwa.

– Ale jak? Ja go przecież nie mam.... – jęknął nieszczęśliwy.

– To kto ma? Doktor Jarczyński?

– Nie... On też nie ma.

– Ale obaj razem chyba macie na tyle znajomości w mieście, żeby ten, co ma dowód, oddał go po dobremu?

Policjant zamyślił się malowniczo.

– Bo ty pewnie wciąż znasz paru dziennikarzy, co? – tym razem Szczelba

zwróciła się do mnie. – Ale byś miała promocję na start, ja nie mogę!

– Chwila! Zrobię, co będę mógł – policjant zerwał się na równe nogi. – Dajcie mi czas do jutra!

– Okej, jutro o dziesiątej pod Tesco. I ani minuty dłużej – Szczelbę wyraźnie poniosło.

– Nie, niech się pan aż tak nie fatyguje. My przyjdziemy tutaj. Powiedzmy... o piętnastej? – spytałam.

– Dobrze. Tylko proszę... niech panie wstrzymają się z tą prasą...

– Popatrz, popatrz! – rzuciła Szczelba przy wyjściu. – Jak jest prasa, to i panie się znajdą!

Nie wiem, jak ten policjant tego dokonał, ale punkt piętnasta zwrócił mi dowód osobisty i uroczyście oświadczył, iż nadal żyję. Najwyraźniej przestraszył się kłopotów. A pewnie jeszcze bardziej doktor.

– Bo wiesz, niby biurokracja jest, na wszystko musisz mieć papierek, zaświadczenie, oświadczenie. Ale jak przyjdzie co do czego, w tym kraju wszystko się da załatwić. Aby tylko wiedzieć z kim i za ile – wyjaśniła mi Szczelba po wyjściu z komendy. – Albo czym postraszyć i kogo postraszyć.

– Wygląda na to, że masz rację – przyznałam w zamyśleniu.

•

Ubiegłej nocy, spędzonej, ku memu zadowoleniu u siebie i tylko w swoim towarzystwie, nie mogłam zasnąć. Nasuwało mi się tak wiele wątpliwości, pytań i trudnych do rozwiązania kwestii, że nakręcona tym wszystkim byłam aż do teraz. Postanowiłam wykorzystać towarzystwo Szczelby i po drodze z komendy podpytać ją o parę spraw. Ale tylko o te najistotniejsze.

– Słuchaj, nie zamierzam rozpamiętywać tego co za mną – zaczęłam – ale są dwie czy trzy rzeczy, które muszę wiedzieć...

– No?

– Czy ja rzeczywiście miałam męża? Albo wiesz, faceta... takiego na dłużej?

– Miałaś męża – przyznała Szczelba niechętnie.

– On był ode mnie młodszy?

– A bo ja wiem? W metrykę mu nie zaglądałam.

– Wiem, że nie zaglądałaś – powiedziałam łagodnie – ale to mogło być wydać gołym okiem.

– Nie wiem – warknęła Szczelba. – Ja go nigdy nie widziałam. Znam go z twoich opowieści.

– Ej, no i czemu się wściekasz? To chyba normalne, że człowiek, który nic o sobie nie wie, chciałby poznać parę faktów ze swojego życia.

– Normalne, jasne że normalne! – Szczelba zatrzymała się na środku chodnika i zaczęła wydziwiać podniesionym głosem. – Tylko że twoje fakty do niczego ci

się nie przydadzą. Co najwyżej do tego, że zaczniesz na nowo chlać. Tego chcesz?

– Nie, no jasne, że nie... Ale przecież nie pytam o szczegóły. Tylko tak, w zarysie chcę wiedzieć.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć w zarysie?

– Czy mam... miałam dziecko.

– A skądże ci to przyszło do głowy? – Szczelba aż zachłysnęła się tym moim pytaniem. – Dziecko? Z tym mężem?

– Wszystko jedno z kim. I nie wiem, czemu o to pytam. Po prostu, kobiety w moim wieku dość często miewają dzieci – zbyłam ją dość sprytnie. – Więc jak? Miałam?

– O... owszem.

– Córkę?

– Tak. I daj mi już na ten temat święty spokój! Bo nie zamierzam cię od nowa niańczyć i pocieszać.

Przestałam więc dopytywać. To rzeczywiście mogło być bolesne... Szczelba miała rację. Co to komu da? Jedno tylko jeszcze chciałam wiedzieć.

– Kim jest ta starsza pani, która mieszka naprzeciwko mnie? – to akurat mogło mi się przydać.

– A, ta. To... stara wariatka. Lepiej z nią w ogóle nie gadaj.

– Czemu tak mówisz?

– Bo ma coś z dekle. A poza tym to nie jest przyjazna ci osoba. Miej to na uwadze!

– Naprawdę? – słowa Szczelby wstrząsnęły mną do głębi. Bardziej, niż te o mężu i córce, bo oni byli dla mnie w tej chwili całkowitą abstrakcją, a staruszka była realna, z krwi i kości. I była dla mnie dobra.

– To przez nią wyprowadziłaś się ze swojego domu. Wystarczy? – prychnęła Szczelba i znów ruszyła przed siebie.

– Dobrze, będę o tym pamiętać. Kupić ci wino? – spytałam skruszona.

W końcu moja koleżanka od samego rana pozostawała niemoralnie wręcz trzeźwa tylko po to, by pójść ze mną na komendę.

– A masz za co?

– No... Zostawiłam parę groszy z wczorajszego zarobku.

– Dużo? – Szczelba spojrzała na mnie spode łba. Najwyraźniej w naszej gromadzie taka praktyka nie była mile widziana. Chociaż... skoro ja „zarabiałam” kilka razy więcej niż oni wszyscy do kupy, to czy mała premia od czasu do czasu nie byłaby usprawiedliwiona?

– Dużo – przyznałam. – Bo wiesz... Od tego reżysera dostałam coś ekstra. I pomyślałam, że gdybym miała do niego pójść, to raczej nie w moim pogrzebowym kostiumie...

– Aż tyle ci dał?!

– Nie, aż tyle to nie. Mogłabym za te pieniądze kupić sukienkę i buty. W lumpeksie. I jeszcze szminkę i puder w kiosku ruchu.

Szczelba roześmiała się serdecznie.

– Słusznie! – poklepała mnie po łopatkach. – Należy ci się! A winko możesz mi postawić. I kawałek kielbasy na zagrychę.

Usiadłyśmy na trawie, w zaroślach za sklepem, gdzie Szczelba raczyła się powoli zakupionymi przeze mnie dobrami. Słonko świeciło całkiem przyjemnie, kwiliły ptaszki. Kończył się maj.

– Wiesz, pójdę z tobą do tego dyrektora. Pomogę ci wynegocjować warunki. – oznajmiła Szczelba. – Widziałas, jak mi świetnie poszło z gliniarzem?

Na widok mojej przerażonej miny roześmiała się głośno.

– Żartowałam, głupia!

•

Stałam przed wejściem do teatru, miętosząc w dłoniach wizytówkę. Długo zbierałam się w sobie, żeby wejść. Jeszcze raz przejrzałam się w gablocie przy drzwiach. Wyglądałam niezłe. Właściwie, co ja tu będę udawała przed sobą, wyglądałam doskonale! Sukienka, którą udało mi się wyszperać, była skromna i elegancka zarazem. I całkiem jeszcze modna. Do tego Szczelba wyłowiła mi krótki żakiecik i małą torebkę pod kolor. W kolejnym szmateksie znalazłam całkiem niezłe czółenka. Szczelba dała popis swych fryzjerskich umiejętności, a ja sztuki makijażu. Wychodziłam z „apartamentowca” przy ogólnym aplauzie gawiedzi.

Jeszcze raz rzuciłam okiem w gablotę i przeżegnawszy się ukradkiem, w końcu weszłam do środka. Pokierowana najpierw przez portiera, a potem przez jedną i drugą panią sprzątającą, pokonałam wreszcie zawiłą drogę do drzwi dyrekcji. Wszystkie te osoby przy okazji bardzo dokładnie mi się przyjrzały.

– Dzień dobry. Ja do dyrektora – zameldowałam komuś, kto chyba był jego sekretarką. – Byłam umówiona – dodałam widząc, że ten ktoś stoi jak słup i ani drgnie.

– Ach, oczywiście, zapraszam! Proszę za mną! – przemówiła w końcu sekretarka dość męskim głosem. – Proszę mi wybaczyć, ale trochę zaniemówiłem na widok tak znamienitej gwiazdy.

Przemówił sekretarz jednak. Puściłam mimo uszu te jego podejrzone komplementy i weszłam, gdzie mi wskazał. Dyrektor zaprezentował bardzo podobną postawę. To znaczy wstał i... nic.

– Boże mój – wykrzyknął, kiedy już go puściło. – Boże, to naprawdę pani! Jakże ja się cieszę. Proszę spocząć – podsunął mi uczynnie krzesło. – Patrysiu, proszę o dwie kawki i coś... e... coś na słodko – krzyknął w stronę drzwi.

– Strasznie, strasznie się cieszę, pani Heleno – dyrektor rozpływał się w uprzejmościach. – I mam taką cichutką nadzieję, że zdecydowała się pani u mnie

pracować?

– Tak, w zasadzie już się zdecydowałam, choć to jeszcze zależy od...

– No jasne – mężczyzna wpadł mi w słowo. – Wie pani, tak sobie pomyślałam, że na początek... Ale to na sam, samiuśki począteczek, na miesiąc... Hm... Dwa i pół tysiąca na rączkę plus gaże za spektakle. Do uzgodnienia. – wydukał w końcu i spojrzał na mnie z niepokojem.

– No... Wie pan... – teraz ja zaczęłam się plątać, bo ta kwota wydawała mi się kosmiczna. A poza tym, gdy powiedziałam, że to zależy, miałam na myśli jakieś lokum dla siebie. Choćby małe, może nawet jakąś kanciapę w samym teatrze, aby tylko był prąd i woda. Bo bez tego ani rusz.

– Oczywiście, oczywiście, byliśmy na to przygotowani – podjął prędko dyrektor. – Trzy tysiące. Proszę mi wybaczyć, więcej tymczasem nie możemy. Ale, jak wspomniałem, to na samiuśki począteczek... Jak się rozkręcimy, to oczywiście będzie podwyżka.

– Dobrze – przystałam natychmiast, aby uciąć ewentualne dalsze negocjacje ze strony dyrektora. W końcu gaża była jak marzenie.

– Tak się cieszę, Patrysiu, dawaj tę kawkę, trzeba to uczcić – krzyknął znowu w stronę drzwi.

Rozpływający się w uśmiechach Patryk postawił przede mną filiżankę z kawą i kremówkę. Identycznym zestawem obdarował dyrektora.

– To cudownie, panie dyrektorze. Wprost wyśmienicie – dodał od siebie i rozsiadł się w jedynym w tym biurze fotelu.

– Ja też się cieszę, tylko że...

– Ależ oczywiście, łaskawa pani, już sporządzimy umowę. Ma pani rację, co na papierze, to na papierze.

– Już pozwoliłem sobie sporządzić, szefie – wtrącił Patryś, podnosząc w górę dwa palce, jak w szkole. – Wystarczy tylko druknąć. To co, druknąć?

– Tak, bardzo cię proszę – ucieszył się dyrektor.

– Panie dyrektorze! – huknęłam na niego po wyjściu sekretarza/rki – Proszę mnie przez moment posłuchać. Dosłownie przez minutę!

– Oczywiście, jasne – mężczyzna spojrzał mi w oczy z niepokojem. – Proszę mówić.

– Rzecz nie w pieniądzech, bo już te dwa i pół tysiąca mnie satysfakcjonowało całkowicie. Chodzi mi o to, że... warunki mieszkalne mam niewystarczające, żeby na powrót być aktorką. Wie pan, to wymaga pewnych elementarnych wygód...

– Jasne, jasne, trzeba uczyć się roli w odpowiednio pięknym i wygodnym otoczeniu, a także relaksować się po pracy, ja to jak najbardziej rozumiem... Tylko że my, widzi pani... jako teatr nie dysponujemy odpowiednimi apartamentami. Ba, nie dysponujemy żadnymi...

– Apartamentami to akurat dysponuję ja – zaśmiałam się. – Oraz willą. Nie owijajmy w bawełnę, dyrektorze. Oboje świetnie wiemy, co się ostatnio ze mną działo. Ale to już przeszłość, zapewniam. Tylko że... ślady tej przeszłości, w postaci zrujnowanego domu z odciętą wodą i prądem, niestety doskwierają mi do dziś.

– Jeszcze wróć! – powiedział dyrektor do wchodzącego z wydrukowaną umową Patrysia. – Dopisz mi tam taki punkt: teatr zobowiązuje się przeprowadzić remont w domu pani takiej a takiej i oddać go do użytku właścicielce najdalej za dwa tygodnie od daty podpisania umowy. Ale wówczas – zwrócił się do mnie – może by tak... na początek, rzecz jasna, te dwa i pół tysiąca na rączkę, o których pani raczyła wspomnieć?

– No jasne! – przystałam z entuzjazmem.

– Wobec tego już jutro posyłam do pani malarzy, scenografów, rekwizytorów i kogo tam jeszcze trzeba. W każdym razie samych artystów po akademii sztuk pięknych! I szwaczki. A jeśli brakuje pani jakiegoś sprzętu, wyposaży się lokum tymczasowo. W rekwizytorni wszystko się znajdzie.

Wreszcie podpisałam umowę w ostatecznym już kształcie i uścisnęliśmy sobie dłonie.

– A swoją drogą, proszę mi powiedzieć, dlaczego panu aż tak na mnie zależy? – spytałam.

– No bo... Bo... jest pani przecież wyśmienitą aktorką – odparł wyraźnie zmieszany.

Chyba zrozumiałam. Ale było mi to zupełnie obojętne.

– A zresztą, wszystko mi jedno – dodałam z uśmiechem.

•

Na okres remontu przeniosłam się do „apartamentowca”. Czas spędzałam z przyjaciółmi dokładnie tak samo jak wcześniej: od późnego popołudnia do rana balanga (bierny udział), do południa spanie, a od południa „robotą” pod Tesco (bierny udział). I tak w koło. Zanim jednak „wyprowadziłam” się z willi, mimo przestróg Szczelby, postanowiłam poinformować o moich planach staruszkę z naprzeciwka. Akurat stała przed swoim domem i wyraźnie ucieszyła się na mój widok.

– Dawno cię nie widziałam – zaczęła od wyrzutów. – Już myślałam, że coś ci się stało!

– Stało się, ale nic złego – uśmiechnęłam się. – Dostałam pracę w teatrze.

– Naprawdę? Będiesz znowu grała? Jak dawniej? To znaczy... jak dawniej-dawniej? – poprawiła się szybko. – To chyba dobrze, prawda?

Przyglądałam się kobiecie i słuchałam z uwagą, chcąc dostrzec choćby najmniejsze przejawy obłędu. Ale nie widziałam niczego takiego. – Być może

ma to charakter napadowy – pomyślałam. – I miewa też okresy względnej równowagi...

– Tak, myślę, że teraz wszystko się zmieni. Chciałam w związku z tym panią uprzedzić, że przez jakiś czas będą się tu kręcić obcy ludzie. Będą remontowali dom. A ja na ten czas się stąd wyprowadzę.

– To doprawdy świetne wieści.... Zaczekaj chwileczkę.

Kobieta podreptała do swojego domu. Po chwili przyniosła dość sporą paczkę.

– Sernik z pomarańczą. Wczoraj piekłam. Gdziekolwiek... teraz idziesz, przyda ci się do kawy.

– Dziękuję pani – wzięłam od niej paczkę.

Nie spytałam już po raz drugi Szczelby o staruszkę. I nie spytałam – postanowiłam – choćby miało mnie pokręcić. Prędzej czy później wszystko samo mi się wyjaśni. Do takiego doszłam wniosku i przy nim postanowiłam wytrwać.

Remont trwał pełną parą, co widywałam jedynie z daleka. Miałam jakieś dziwne opory, by zaglądać do willi w trakcie trwających prac. Może bałam się, że wejdę tam, a ktoś mi powie, że dyrektor się rozmyślił? Nie wiem. W każdym razie w domu zjawiałam się dokładnie w dwa tygodnie po podpisaniu umowy. Wcześniej rano, bo dłużej nie byłam w stanie wytrzymać. Na miejscu zastałam całą ekipę remontową oraz dyrektora w towarzystwie nieodłącznego Patrysia.

– O wilku mowa – dyrektor ucieszył się na mój widok. – Właśnie się zastanawialiśmy, jak panią odnaleźć, żeby zdać robotę. I co, podoba się? – zatoczył ręką szeroki łuk.

Zanim jednak przyjrzałam się swojemu nowemu, a raczej odnowionemu gniazdku, pobiegłam do łazienki, gdzie sprawdziłam czy jest prąd i woda. Były! A więc teraz przyszła pora na bardziej szczegółowe oględziny. Ściany były odmalowane na piękne, pastelowe kolory, parkiet był wycyklinowany i lśniący. Najpiękniejsza była sypialnia... Ogromne, dwuosobowe łóże, przykryte piękną pluszową narzutą, stanowiło centralny punkt pomieszczenia. Toaletka była ta sama, ale też odnowiona. Doskonale prezentowała się teraz wśród pozostałych stylowych mebli: szafy, komody i dwóch nocnych szafek po obu stronach łóża. Były też obrazy – reprodukcje dzieł znanych mistrzów w rzeźbionych ramach. W sypialni wisiał „Szał” Podkowińskiego, a w salonie, urządzone w stylu chippendale kilka rzeczy Maksymiliana Gierymskiego, mojego ulubionego malarza!

– Skąd pan wiedział? – spytałam dyrektora zaskoczona.

– No cóż, trzeba się było odrobinę pofatygować – odparł skromnie.

Nie pofatygował się chyba jednak zbyt rzetelnie, ponieważ w kuchni wisiały słoneczniki Van Gogha, których nie cierpię. Nie powiedziałam jednak tego na głos. Kuchnia i łazienka urządzone były podług współczesnych trendów; tu i tam na podłodze leżały marmurkowe kafelki, ale meble kuchenne nosiły ślady subtelne-

go użytkowania. W łazience wszystko było nowe, zamiast wanny był kabina prysznicowa. Pozostałe trzy pomieszczenia również były odnowione, ale stały puste.

– Proszę wybaczyć – zmieszał się dyrektor, kiedy zajrzałam do pierwszego z nich – ale na razie nie było więcej środków ani czasu. Ale to się... uzupełni stopniowo.

– Dziękuję panu bardzo. Tyle mi w zupełności wystarczy.

– A zatem, od jutra zaczynamy współpracę?

– Tak, oczywiście – potwierdziłam, starając się ukryć obawę w głosie.

Nie miałam pojęcia, czy wciąż jeszcze potrafię grać i czy mój nadwyreżony umysł będzie w stanie przyswajać takie masy tekstu. No cóż... – pomyślałam – jak mi nie wyjdzie, to co mi zrobią? Przecież dyrektor wiedział, co ryzykuje.

Z wrażenia całkiem zapomniałam pójść do „apartamentowca” i zgodnie z obietnicą zdać dokładną relację co i jak. Aby jak najprędzej nadrobić to niedopatrzenie, pobiegłam do sklepu i zrobiłam solidne zakupy, dyrektor zostawił mi bowiem całkiem okazałą zaliczkę. W pobliskim sklepie nabyłam mnóstwo przeróżnych smakołyków, jakie z pewnością nie gościły na stole moich przyjaciół od co najmniej dekady, do tego szampana (czyli ruskie igristoje) i kilka butelek ich ulubionego wina. Wychodząc natknęłam się centralnie na Rajmunda.

– Yyyy.... Wydelegowali mnie, żeby zobaczyć co u ciebie. No to idę właśnie – oznajmił.

– A ja akurat wybierałam się do was... Ale wiesz co? Leć z powrotem i zaproś wszystkich do mnie. Tak będzie lepiej.

Uznałam, że przecież należy im się jakaś parapełowa, w końcu ta jedna jedyna imprezka w moim domu chyba nikomu nie zaszkodzi. To wyglądałoby nie fair, gdybym teraz, gdy poprawiła się moja sytuacja, od razu podzieliła nasze światy na lepszy i gorszy.

W czasie, kiedy Rajmund leciał po kompanów, nakryłam prędko do stołu. Okazało się, że zapobiegliwy dyrektor zadbał nawet o zastawę, miałam tu wszystko, czego mi było trzeba. Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi – bo taki gadżecik, oprócz solidnego zamka, także mi założono – zbiegłam po schodach, gotowa na przyjęcie gości.

Jako pierwsi weszli Rajmund i Byku, taszcząc wielkie, stare radio z zielonym oczkiem.

– Od nas, na nowe mieszkanie – wysapał Byku.

Ta jego ksywka, sugerująca byczą siłę i posturę, nadana mu została z pewnością dla żartu. Albo została mu z lepszych czasów...

– Działa – dorzucił Rajmund. – Nie myśl sobie, że badziew ci jakiś niesiemy! Zabytek klasy zero, czy coś...

Wyłaniający się zza ich pleców Potocki dzierżył w dłoni ogromny bukiet, a Szczelba i Gangrena niosły wielkiego gipsowego krasnala.

– W ogródku ci będzie ładnie wyglądał – oznajmiła Gangrena.

– Jeden tylko, nie siedmiu, ale i ty nie sierotka – dodała Szczelba.

Wzruszyłam się. Naprawdę, poczułam wilgoć pod powiekami i ściskanie w gardle.

– Wchodźcie, wchodźcie kochani, czym chata bogata... i w ogóle.

Moi goście zachowali się nad wyraz kulturalnie. Może byli trochę onieśmieni warunkami, w jakich z pewnością dawno nie biesiadowali, a może mną, jakiej nigdy dotąd nie widzieli. Mimo wszystko było całkiem miło, nikt się nie urznął ponad miarę, nikt niczego nie zdemolował i ciut po północy pożegnali się ze mną czule.

Radio rzeczywiście jakimś cudem grało. Nastawiłam je sobie głośno, by towarzyszyło mi przy sprzątanii, ale leciały tak rzewne, złote przeboje, że zamiast tego rzuciłam się na łóżko i odleciałam...

•

Piosenka „Lady in Red” Chrisa de Burgha zawsze wywoływała we mnie gwałtowne wzruszenie. Poczułam lekkie mrowienie wzdłuż kręgosłupa i nagłą potrzebę przytulenia się do swojego mężczyzny. Przeszłam całą salę, lawirując pomiędzy tańczącymi parami, zajrzałam do bufetu, ale Filipa nigdzie nie było. Wyszłam na taras, ale i tu go nie było. Czułam coraz większe zdenerwowanie, chciałam odnaleźć go za wszelką cenę, zanim skończy się piosenka. Wróciłam na salę. I wtedy go dostrzegłam: tańczył ze szczupłą, długonogą brunetką, wtuloną w jego ramiona. Ona miała na sobie... czerwoną sukienkę. W jednej chwili przemknęło mi przez głowę tysiąc myśli na sekundę: czy to przypadek? A może... ta piosenka to jego dedykacja dla niej? Dlaczego ona się do niego tuli? Kim jest? Co tu robi?

– Kim jest ta dziewczyna, z którą tańczyłeś? – zapytałam, kiedy spotkaliśmy się po chwili w bufecie.

– Nie mam pojęcia, kochanie – odparł beztrąsko Filip. – Chyba nie jesteś zazdrosna?

– No co ty – wzruszyłam ramionami. – Ładna?

– Nie wiem. Nie widziałem jej. Miałem przed oczami wyłącznie ciebie – Filip cmoknął mnie w szyję i w ucho. – Wracamy? – spytał zmysłowym szeptem.

– Zaraz, zatańczmy to jeszcze!

Akurat grali kolejny utwór, który wprowadzał mnie w niepokojący, aczkolwiek bardzo przyjemny stan odpływania w niebyt.

„Hello, is it me you're looking for?” – słowa, wyśpiewane z taką tkliwością przez Lionela Richi odbierałam zawsze bardzo osobiście. – Yes, yes, yes! – chciało mi się krzyknąć. – I'm just looking for you!

– And I've found you – szepnęłam do Filipa.

W tym momencie muzyka się urwała.

•

– Radio na cały regulator, dom pootwierany, po prostu: brać, wybierać!

Zerwałam się na równe nogi.

– Ojej, chyba mi się przysnęło...

Przy moim łóżku stała sąsiadka i przyglądała mi się z uwagą. Chyba wiem, o czym pomyślała.

– Proszę, niech pani siada – zaproponowałam. – Urządziłam dla przyjaciół taką małą parapetówkę... Miałam właśnie pozmywać, ale chyba pod wpływem wrażeń padłam i zasnęłam. Proszę, może sałatki? Albo plasterek łososia?

Kobieta patrzyła na mnie w dalszym ciągu bez słowa.

– Przepraszam, że pani nie zaprosiłam, ale chyba... chyba nie przepada pani za moimi przyjaciółmi....

– I vice versa – odparła. – Nie szkodzi, ja się nie gniewam.

– Niechże pani usiądzie na chwilę. Zaparzę świeżej kawy. O, i ciasteczko się znajdzie – podsunęłam jej talerzyk z wuzetką.

– Za kawę dziękuję, nie zasnęłabym do rana, ale ciastka skosztuję.

Nałożyłam sobie też kawałek, dla towarzystwa. Jadłyśmy w milczeniu, rozmowa się jakoś nie kleiła.

– Nie tak dobre, jak pani sernik z pomarańczą – podjęłam próbę neutralnego dialogu.

Staruszka uśmiechnęła się do mnie.

– Bo sernik to w ogóle najlepsze ciasto na świecie. A ten z pomarańczą wychodzi mi najlepiej.

– Jeszcze? – podsunęłam kolejny kawałek.

– Nie, nie, dziękuję. Za dużo cukru.

I znowu umilkłyśmy obydwie. Zastanawiałam się, o co by tu w miarę bezpiecznie spytać, żeby choć trochę zrozumieć swoje relacje z tą kobietą.

– Pewnie się pani obawia, że razem ze mną wróci tu cała moja kompania? – zaryzykowałam.

– No cóż... Nie powiem, że nie – przyznała staruszka.

– Ja już nie piję. Oczywiście, nie będę im zabraniała odwiedzin, ale przypuszczam, że wizyty u mnie nie będą dla nich interesujące. Bo w tym domu nie będzie alkoholu. Ale... przyjaciele to przyjaciele. Był czas, kiedy wszyscy odwrócili się ode mnie i miałam tylko ich – wycelowałam w ciemno.

– Odwrócili się, mówisz? A mnie się wydaje, że to ty odtrąciłaś po kolei każdą pomocną dłoń.

– Musiałam się wyprowadzić z własnego domu, choć wcale nie tego chciałam. Nie chciałam iść na bruk! – powtórzyłam to, co usłyszałam od Szczelby.

Staruszka pobladła i wstała.

– Nie musiałaś. To był twój wybór. Chcieliśmy z Antonim uregulować twoje długi. Ale ty wybrałaś życie w... melinie!

– Jak to... Naprawdę? – wysnęło mi się.

– Nie pamiętasz... – staruszka skinęła smutno głową. – Tak, ty dokonałaś tego wyboru. Naszym warunkiem było tylko, żebyś mieszkała tu sama, bez swoich kumpli i bez pijackich burd. Ale ty uniosłaś się honorem...

Zwiesiłam głowę i splonęłam rumieńcem.

– Przepraszam, nie powinnam była tego mówić – kobieta położyła mi rękę na ramieniu.

– Pani... mnie przeprasza?

– Tak. Przecież teraz jest już inaczej i wierzę, że będzie jeszcze lepiej. Nie wracajmy do tego, co było.

– Dziękuję – oparłam policzek o jej dłoń i... już w ogóle nie wiedziałam, co myśleć.

Ta kobieta nie mogła być ani obłąkana, ani zła. Szczelba też była mi szczerze oddana, ale widocznie postrzegala moją sąsiadkę i całą tamtą sytuację po swojemu. A może... staruszka nie była dla mnie obcą, obojętną mi osobą i dlatego ja oceniałam ją inaczej? Łagodniej?

– Kładź się spać, jutro posprzątasz – rzuciła wychodząc.

– Nie mogę tego tak zostawić, jutro rano mam być w teatrze.

– Więc posprzątasz po południu.

– Ale może wrócę dopiero wieczorem...

– Wobec tego posprzątasz wieczorem. Najważniejsze, żebyś była wyspana. Garnki od tego nie ucierpią.

•

Praca z młodym reżyserem okazała się być czystą przyjemnością. Facet wiedział czego chce, był niezwykle inteligentny, kontaktowy i z poczuciem humoru. I co najważniejsze, był cierpliwy. Niewykluczone, że to sam dyrektor narzucił mu specjalny sposób postępowania ze mną, ale mniejsza z tym. Grunt, że nam się układało. Bartosz, bo tak miał na imię, oszczędzał mi krytyki i nie skąpił pochwał. To była świetna metoda, jak dla mnie, a ja starałam się zadowolić go ze wszystkich sił. Spektakl, który jako pierwszy wzięliśmy na tapetę, był dość znaną komedią romantyczną angielskiego autora. Partnerowali mi dwaj mężczyźni: Michał, młody aktor, chyba niedawno po szkole i Piotr, na oko parę lat starszy ode mnie. Kobiety, które brały udział w spektaklu, również były w bardzo różnym wieku: od całkiem młodziutkich podfruwajek, przez dojrzałe matrony aż po całkiem leciwą aktorkę. Obawiałam się kontaktów ze starszym pokoleniem artystów. Starałam się być bardzo czujna, szczególnie na początku, bo a nuż powinnam któregoś spośród nich znać już wcześniej? Na szczęście okazało się, że wszyscy byliśmy dla siebie do tej

pory obcy.

Dyrektorowi zależało, aby premiera naszego spektaklu odbyła się jak najszybciej, toteż pracowaliśmy bez wytchnienia. W czasie trwania prób dość rzadko widywałam się z kumplami, nie było na to po prostu czasu. Nie zapomniałam o nich jednak, zakupy starałam się robić w Tesco i przy okazji zasilić moich ziomków jakąś kasą. Pogadaliśmy też zawsze chociaż kwadrans, a potem biegiem leciałam do domu, aby nadrobić te skradzione samej sobie piętnaście minut. To były bardzo szybkie dni, tygodnie, miesiące...

Premiera odbyła się jesienią, oczywiście postarałam się o zaproszenia dla przyjaciół. Ku mojemu zaskoczeniu dostali miejsca w pierwszym rzędzie! Byli zachwyceni. To dla nich musiałam się kłaniać i kłaniać w nieskończoność, bo jak tylko zaczynały milknąć brawa, oni zaczynali klaskać od nowa.

Mój świetny humor i wszechogarniające poczucie zadowolenia runęły najutrz jak domek z kart. Wraz z pierwszą kawą, którą zgodnie z tradycją przynosiła mi przed południem sąsiadka, dotarł do mnie najświeższy numer lokalnej gazety oraz pewnego ogólnopolskiego dziennika. „*Aktorka, uznana za zmarłą żyje*” – głosił wielki napis na pierwszej stronie jednej z nich. „*Gwiazda lat 90-tych wraca na scenę*” – podejmowała temat druga. Zmroziło mnie dosłownie. Obiecałam przecież gliniarzowi, że nie zrobię z tego żadnej sensacji, a tu masz, sama się zrobiła. Nie wgłębiałam się w treść artykułów, które gwoli wstępu z pewnością zawierały mój niechlubny życiorys. I tego było mi za wiele.

– O, nie! – krzyknęłam, zrywając się od stołu. – Nie pozwolę na to, mowy nie ma! Nie będą mi się tu pismaki razem z Alfredem żywiły moim kosztem!

Drżącymi rękami, w pośpiechu ogarnęłam się nieco, nie dbając o makijaż i fryzurę. Zadzwoiłam po taksówkę.

– Dokąd tak pędzisz, dziecko? – spytała zaniepokojona staruszka.

– Zrobić z tym porządek, raz na zawsze – machnęłam jej przed oczami gazetą.

– Ale zaraz... To chyba dobrze, że o tobie piszą. O, popatrz: „...dała z siebie wszystko...”, „...wyglądała pięknie i zmysłowo...” – odczytywała mi wybrane fragmenty.

– To zależy – dostrzegłszy przez okno podjeżdżającą taksówkę złapałam w biegu trenz i zbiegłam ze schodów.

– Proszę zamknąć dom albo poczekać na mnie, zaraz wracam – krzyknęłam w biegu.

Dyrektor siedział w swoim gabinecie wraz z Patrysiem i kilkoma innymi osobami w ewidentnie doskonałym nastroju. Na mój widok jednak wszyscy umilkli.

– Ja wiem, dyrektorze i jestem tego całkowicie świadoma, że zatrudnił mnie pan u siebie, jak się zatrudnia małpę w cyrku. Wiedziałam od początku i się

na to godzę. Ale nie godzę się, aby mi pan na starcie zrujnował moje nowe życie!

Szurnęłam mu na stolik dziennikiem.

– Mowy nie ma! Choćbym miała zerwać umowę i ponieść tego wszelkie konsekwencje!

– Ależ proszę pani, ja nie... my nie... – dyrektor rzucił okiem na gazetę. – Och! Ale my tylko podaliśmy do wiadomości, że pani wraca na scenę. Resztę to już oni sami wywęszyli!

– Nie wnikam w szczegóły. Ale jeśli pan chce, żebym nadal tu pracowała, proszę dopisać do umowy aneks o ochronie mojej prywatności. Z ewentualnymi konsekwencjami!

– Patrysiu – dyrektor skinął na sekretar...ka. – Dopisz co trzeba. A pani niech się tak nie denerwuje, bo przecież gramy wieczorem – zwrócił się do mnie łagodnie, jak do niemowlęcia.

– W porządku – burknęłam i wyszłam.

•

Po jakichś dwóch miesiącach od premiery zaczęliśmy pracę nad kolejnym scenariuszem. Sztuka, którą już graliśmy, miała przez cały czas komplet na widowni, a bilety trzeba było rezerwować dużo, dużo wcześniej. Dyrektor chodził zadowolony i promienny. Za nim krok w krok chodził równie promienny Patryk.

Tym razem mieliśmy wystawiać klasykę. Coś, co zechcą zobaczyć widzowie rozmaitych pokoleń, przyjdą szkoły i przyjadą wycieczki. Pomysł okazał się bardzo dobry, bo i tu widownia pękała w szwach od pierwszego przedstawienia. Powoli zaczęły schodzić z afiszy inne rzeczy, te beze mnie. Reżyser, jakby mógł, obsadziłby mnie dosłownie wszędzie. Toteż wpadł w końcu na myśl, żeby tak właśnie uczynić i gdzie się tylko dało, poumieszczał mnie w krótkich scenkach, a nawet epizodach. Zastanawiałam się co będzie, kiedy wreszcie dokładnie wszystkim zbrzydnę, ale nie protestowałam. Lubiłam mieć zajęty czas do ostatniej minuty, nie miałam przecież żadnego życia prywatnego, nie licząc sporadycznych wypadów do „apartamentowca” lub jeszcze rzadszych rewizyt. Dzięki temu nie miałam czasu na myślenie.

Bo mimo iż sobie obiecałam nie wracać do przeszłości, nie było to takie łatwe. Czasem po prostu zdarzało się coś, co prowokowało różne pytania albo nasuwało skojarzenia. Nie chciałam tego i robiłam wszystko, aby niczego sobie nie przypomnieć. Teraz podobało mi się moje życie: miałam dom, świetną pracę, niezłe pieniądze, ale przede wszystkim odzyskiwałam ludzki szacunek. A może nawet... podziw? Widocznie moje wcześniejsze przeżycia, mimo iż wymazały się z mojej pamięci, zostawiły we mnie jakiś ślad: nie wymagałam wiele od życia. To co miałam, wystarczało mi w zupełności i jedynym moim marzeniem było, aby tak już zostało. Ale, jak już wspomniałam, czasem jakaś przypadkowa myśl, obraz,

dźwięk, zapach – wzbudzały we mnie dziwny wewnętrzny niepokój. Z całych sił starałam się wówczas jak najdalej uciec od tego, najczęściej ucząc się roli.

Najgorsze jednak były sny. Ten z płaczącą dziewczyną i moim młodym face-tem powtarzał się od czasu do czasu. Zmieniały się tylko sceny i kwestie. Przybywało w nim też osób. Najbardziej zadziwiało mnie w nich to, że powtarzają się w nim identyczne szczegóły, na przykład wystrój wnętrz. Albo samochód, którego mogłabym, gdybym się wysiliła, podać numer rejestracyjny. Albo winda z lustrem, jakby to był jakiś nieodłączny element mojego poprzedniego życia. Lub choćby szlafrok w zielone żabki, w którym od czasu do czasu występowała płacząca dziewczyna. Ba, zawsze, kiedy płakała, była w szlafroku, a płakała z różnych dziwnych powodów: a to szampon do włosów był nie taki jak trzeba, to znów tosty były nie takie jak lubi lub że dostała na urodziny inną książkę, niż chciała. Ostatnio płakała o jakiś kilkudniowy wyjazd w góry. Fanaberie po prostu... Zawsze w moich snach źle się czułam z powodu tych fanaberii. Rozstrajały mnie na długo.

Jeśli więc to była niegdyś moja rodzina, nic dziwnego, że wszystko się rozleciało. Już na pierwszy rzut oka widać było jej kompletne niedopasowanie: dziewczyna wyglądała na rozpieszczoną do granic możliwości, a ten... mój „mąż”, zdecydowanie za młody, by być jej ojcem, nie mógł być od niej wiele dojrzałszy. Ja zaś byłam wiecznie zabiegana, dokładnie tak jak dziś. No chyba że sceny, które pojawiały się w moich snach, miały charakter wybiórczy, abym mogła odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego? Nie potrzebowałam tego wiedzieć, ale chcąc nie chcąc coraz więcej rozumiałam. Tak mi się w każdym razie wydawało. Bo w tych snach odczuwało się wręcz rosnące napięcie, jakiś bezwładny pęd, który mógł się skończyć wyłącznie kraksą. Któregoś razu zobaczyłam siebie, jak raczę się koniakiem, jedną lampką po drugiej. I tak to się prawdopodobnie zaczęło. Nie chciałam wiedzieć niczego więcej, nie życzyłam sobie już tych snów! Życie, jakie teraz wiodłam, całkowicie mi odpowiadało. Nie zamierzałam się z nikim wiązać ani podejmować żadnych innych ryzykownych relacji. Dopóki byłam sama, potrafiłam panować nad wszystkim. Potrzebę kontaktów międzyludzkich w stopniu wystarczającym zaspakajali moi znajomi z pracy i kumple spod Tesco, a zwłaszcza Szczelba, która wpadała do mnie dość często.

••

VII

Sabina

Minęło pół roku od mojego „zmartwychwstania”, a mnie nadal niczego więcej nie było potrzeba do szczęścia. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że mogę sobie tak żyć aż do kolejnej śmierci. Z myślą o nieco odleglejszej przyszłości zaczęłam odkładać pieniądze. Nie wydawałam wiele, a dyrektor dotrzymał słowa i dał mi jakiś czas temu sporą podwyżkę, mogłam więc całkiem niezłą kwotę odkładać co miesiąc na koncie. Było to pewnie również wynikiem moich doświadczeń; lęku przed nędzą i żebraczym trybem życia.

Tak mogę z grubsza opisać minione pół roku. Co jeszcze się wówczas wydarzyło? A no nic, w każdym razie ja nie dopuściłam do tego. Jeśli się pojawiał jakiś adorator, przepędzałam go na cztery wiatry. Gdy któraś z koleżanek zechciała zaprzyjaźnić się bliżej, zniechęcałam ją skutecznie. Unikałam też roboczych spotkań towarzyskich oraz uroczystych gali popremierowych. W teatrze uważano mnie za dziwaczkę. Nie, zdecydowanie nie byłam tu lubiana, ale kompletnie mi to nie przeszkadzało. Po pierwsze nikt nigdy nie dał mi tego odczuć ze względu na osobę dyrektora, a po drugie nadszukiwano mi wręcz ze względu na własny interes. Tego akurat nie rozumiałam, bo jaką kto mógł mieć korzyść z podlizywania mi się? Ale było mi to na rękę: wszyscy udawali, że mnie lubią, a ja udawałam, że lubię ich wszystkich.

Tak naprawdę, całkowicie i do głębi, spełniałam się grając. Kiedy gasły światła na widowni, moim światem stawała się scena. Nie było nikogo i niczego poza nią. Wówczas stawałam się postacią, którą grałam, a wszystko, co działo się wokół, od początku do końca było moją rzeczywistością. Niczego i nikogo nie udawałam. Razem z kostiumem i charakteryzacją przyoblekałam się w ciało i duszę mojej postaci. Nosłam w sobie jej uczucia, okazywałam jej emocje. Byłam nią. Taki sposób grania jest niesłychanie autodestruktywny, aktorzy zazwyczaj nie pozwalają zapanować nad sobą granej przez siebie roli. Ale ja, jak już wspomniałam, nie byłam sobie do niczego innego potrzebna: nie dzieliłam uczuć moich bohaterów z moimi prywatnymi, nie dzieliłam czasu na prywatny i zawodowy, wreszcie nie dzieliłam siebie na osobę prywatną i aktorkę. Byłam komórką do wynajęcia, ciałem do zagospodarowania, umysłem do wypełnienia. A największą satysfakcję sprawiało mi to, że widzowie mi wierzyli: gdy byłam zabawna – śmieszyłam ich do rozpuku, gdy na widowni zapadała martwa cisza i każdy z widz osobna przeżywał mój dramat, bał się, gdy ja się bałam, wkurzał się, gdy byłam zła. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale być może ta wielość uczuć, emocji, ta siła, z jaką za każdym razem wyrzucałam je z siebie, pozwalały mi na życie w całkowitej równowadze. Nie było we mnie miejsca na własne lęki, poczucie samotności, żale. Tak było aż

do zimy.

•

Któregoś razu bardzo rad z siebie Alfred powiadomił nas, że wyjeżdżamy na gościnne występy do W. z komedią romantyczną. Oznajmił, że sława tego spektaklu, a także grający w nim aktorzy zyskują coraz szerszy rozgłos i trudno, żeby wszyscy zainteresowani mieszkańcy W. celem obejrzenia sztuki migrowali do Ł., a jest ich naprawdę wielu.

– Dlatego też, moi drodzy, wiadomo: jeśli góra nie da rady, Mahometa pośle. Wyjeżdżamy zatem podbić scenę większą, starszą i sławetniejszą niż nasza. Zagramy u nich dwa spektakle, więc spędzimy w tym zacnym mieście w sumie cztery dni, wliczając w to dzień przyjazdu i dzień wyjazdu. To znaczy, wy spędzicie...

– Świetnie – ekscytował się Michał, młodszy z moich partnerów. – Taaaki teatr! Zagrać na deskach, na których występowali Osterwa, Modrzejewska, Solska, Węgrzyn... to jak duchowy chrzest w świątyni sztuki. To jak kościelny chrzest w Bazylice Świętego Piotra!

– Przesadzasz młody człowieku – skrzywiła się Róża Z., aktorka dobiegająca siedemdziesiątki. – Debiutowałam na tej scenie i co? To, że cię ochrzczą w największym kościele, nie oznacza, że sam będziesz wielki. Wielkość to nie jest coś, co można sobie zaklepać. Tego się trzeba dorobić.

– Oczywiście, ma pani rację – przyznał Michał. – Ale im większy przybytek, tym znamienitsi bywalcy. A nuż dostrzeże tam kogoś z nas jakiś wzięty reżyser filmowy?

– A, tu cię śwędzi – sarknęła Róża. – Nie ciesz się jednak na zapas. Jeśli już znajdzie się tam jakiś łowca talentów, połakomi się na Helenę. Ty myślisz, że czemu tam jedziemy, hę? Gwiazda jest tylko jedna, reszta to mgławica. Tło.

– Pani Heleno – zaniepokoił się Alfred. – Mam nadzieję, że nie sprawdzi nam się to, o czym rozmawiają pani koledzy? Chyba... nie opuściłaby nas pani? Boże, tylko nie pani!

– No i sam widzisz – Róża roześmiała się Michałowi w nos.

– To może ja skorzystam z chwili przerwy i skoczę sobie po kawę – wtrącił reżyser Bartosz i oddalił się chyłkiem.

– Dajcie spokój! – włączyłam się do rozmowy. – Naprawdę, macie jakieś dziwne koncepcje. Po co ta cała rozmowa? Po prostu: jedziemy, zagramy i wrócimy. W komplecie. W każdym razie ja nie zamierzam się nigdzie stąd przenosić.

– A gdyby jakiś znany, filmowy reżyser cię...

– Nie zapominaj, że dla niej to żadne mecyje – Róża przerwała Michałowi. – Ona już była gwiazdą filmową.

– Skąd wiesz, że nie chciałaby być nią nadal? – wtrącił Piotr.

– Hej!!! No chyba to zależy ode mnie, prawda?! – zniecierpliwiałam się

w końcu. – Przed chwilą powiedziałam, że nie zamierzam się stąd przenieść. I nie zamierzam. Ani z tego miasta, ani z tego teatru.

– Ja też nie – stwierdziła Alina, młoda aktoreczka. – Ale do filmu bym poszła...

– To idźcie! – wkurzyłam się w końcu. – A jak już wrócicie, może wówczas pozwolicie łaskawie dyrektorowi na dokończenie wypowiedzi. Ja tymczasem poczekam w swojej garderobie!

Powiedziałam i poszłam sobie. Cały ten głupkowaty dialog miał miejsce na scenie, tuż przed próbą. Dla mnie szkoda było czasu na podobne dyrdymały, chciałam się prędko dowiedzieć czegoś więcej o naszym wyjeździe i wziąć się do pracy.

– Pani Heleno... – okazało się, że dyrektor podążył za mną do garderoby. – Proszę się nie irytować, jeśli chce pani o coś jeszcze zapytać, jestem do dyspozycji.

– Wiem, ale mnie chodzi o to, że tracimy czas przeznaczony na próbę. Nie mam na myśli pana, oczywiście, tylko ich.

– Jest pani naprawdę... świetną aktorką. Zdolną i bardzo sumienną.

– A właśnie... Mam prośbę. Proszę mnie tak nie faworyzować, zwłaszcza przy kolegach. To psuje stosunki między nami.

– No ale... Pani jest naprawdę najlepsza. Wszyscy to wiedzą, nawet oni.

– Wobec tego proszę pozwolić im wyrobić sobie własną opinię na mój temat.

Zostawiłam Alfreda pod drzwiami garderoby i wróciłam na scenę. Krawcowa przyniosła moją suknię po niewielkich poprawkach. Nie mogąc mnie znaleźć w garderobie, pofatygowała się tutaj. To była piękna, bardzo seksowna suknia z czerwonego jedwabiu i takiegoż szyfonu. Zanim zdążyłam do niej podejść, Alina zabrała jej kostium z rąk i przyłożywszy go do siebie zaczęła kręcić się w kółko. Wtedy... przez krótki moment zobaczyłam zgrabną brunetkę z mojego snu, w objęciach mężczyzny, który jawił mi się w nim jako Filip. Alina, która teraz dopiero zauważyła moje przyjście, zmieszała się mocno. Pewnie na mojej twarzy malowały się emocje, które wzbudził we mnie tamten widok...

– Przepraszam, Heleno... – dukała. – Tak jakoś, odruchowo ją wzięłam. Jest taka piękna...

– Nic nie szkodzi – uśmiechnęłam się z przymusem. – Chcesz przymierzyć?

– Grajmy już może – westchnął Bartosz.

– Grajmy! – poparłam go z całą mocą.

Miałam nadzieję, że docinki Róży o moim „gwiazdorstwie” a także otwarta faworyzacja ze strony dyrektora nie zepsuły na tyle klimatu, żeby nam próba nie wyszła. Na szczęście wszystko poszło gładko.

Wiedziałam, że jestem dobra. Że jestem najlepsza z nich, ale to dla mnie nie miało najmniejszego znaczenia. Że jestem dobra – tak. Ale nie to, że jestem lepsza od kogoś. Nie obchodziło mnie też, czy jest gdzieś ktoś lepszy ode mnie. Nie po-

trzebowałam się z nikim porównywać. Jedyнным istotnym punktem odniesienia dla siebie byłam... ja sama. To z sobą rywalizowałam. I jedyną moją ambicją było, aby ludzie, którzy przychodzili tu dla mnie, robili to dla mojej gry, dla wrażeń, które pragnęłam im dostarczać, nie zaś dla mnie, kobiety, która weszła na scenę wprost z rynsztoka. Dlatego tak się starałam. Dlatego też tak mnie wkurzały aluzje kolegów dotyczące moich rzekomych ambicji. Może wkurzały mnie znacznie bardziej, niż powinny.

•

Kolejną „milusią” rozmowę miałam wieczorem po powrocie do domu. Szczelba wpadła do mnie na kawę i pogaduchy, co czyniła zresztą dość często. Cieszyłam się z tych wizyt, bo po pierwsze miałam komu na świeżo zdać relację z całego dnia pracy, a po drugie Szczelba w te wieczory wstrzymywała się od picia. To znaczy nie do zera, oczywiście, ale kontaktowała całkiem znośnie. To mi schlebowało, przyznam, bo robiła to dla mnie.

Dziś jednak i w nią coś wstąpiło. Jak tylko powiedziałam jej o wyjeździe z teatrem do W., zaczęła się upierać, że ona pojedzie ze mną. Początkowo myślałam, że to żart, bo podobne kawały przychodziły jej już do głowy, ale tym razem była całkiem poważna.

– Ale wyjaśnij mi, dlaczego uważasz, że twoje towarzystwo jest mi tam koniecznie potrzebne? – spytałam, chyba po raz trzeci.

– Wstydzisz się mnie, tak? – po raz trzeci odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nie, nie wstydzę się, dobrze o tym wiesz. Załatwiam ci bilety na tyle spektakli, ile chcesz, za każdym razem w pierwszym rzędzie. Przedstawiłam cię dyrektorowi i kolegom. Nie sądzisz, że to świadczy o zupełnie czymś innym? – znalazłam wreszcie jakiś kontrargument.

– Więc dlaczego nie mogę jechać?

– Bo nie ma takiej potrzeby! To nie jest wycieczka krajoznawcza, ja tam jadę do pracy. I kompletnie nie będę miała dla ciebie czasu.

– Sama się sobą zajmę – mruknęła urażona.

– Czyli co? Będziesz siedziała przez cały czas w hotelu i popijała wino, a wieczorem obejrzysz spektakl po raz trzydziesty, żeby do następnego wieczora znów siedzieć w czterech ścianach i żłopać? Ty jesteś towarzyskie stworzenie, nie wytrzymasz tyle bez ludzi.

– Wytrzymam.

– Ale po co?! Wytłumacz mi to racjonalnie, bo nie rozumiem. A jeśli znajdziesz choć jeden dobry powód, pojedziesz.

– Żeby... dbać o ciebie.

– Pudło. Od pewnego czasu sama dbam o siebie i nieźle mi to wychodzi.

– A przed kim się wygadasz, jak cię twoi koleśie wkurzą?
– Dam radę. Opowiem ci wszystko hurtem, jak wrócę. Poza tym w najbliższym czasie mnie nie wkurzą. Wyczerpali limit.

– Będę tęsknić za tobą! – zakwiliła w końcu.

– Przeżyjesz. Przeżyłaś dzielnie moją śmierć, przeżyjesz i krótką chwilę rozstania.

– Zwiedzę sobie miasto, obejrzę zabytki. Byłam w W. tylko jeden raz, jako mała dziewczynka, ale wtenczas mnie takie rzeczy nie interesowały.

– A dziś?

– Dziś bardzo!!!

– Zabytki?

– Zabytki – Szczelba szła w zaparte.

– A te, które masz pod nosem już sobie obejrzałaś?

– To znaczy... które?

– No, jakże? Cała główna ulica w Ł. to zabytek na zabytku. Prawie wszystkie kamienice.

– To są zabytki? A ja myślałam, że zabytki są w muzeum – zdziwiła się Szczelba.

– Bo są. Też. Wiesz co Szczelba? Zrobimy tak: jak tylko wrócę, zwiedzimy wszystkie muzea w Ł., bo od tego wypadaloby ci zacząć, a potem zapraszam cię na trzy dni do W. Zanocujemy w najlepszym hotelu, a we dnie będziemy zwiedzać. Dwanaście godzin na dobę. Chcesz?

– Nie. Teraz chcę z tobą jechać – jęknęła ze łzami w oczach. – Proszę!

Przyznam, że byłam mocno zdziwiona takim obrotem sprawy. Czyżby Szczelba była aż tak mocno do mnie przywiązana? Westchnęłam głęboko. Pewnie byłabym skłonna skapitulować, gdybym ponownie sobie nie uświadomiła istoty problemu. Otóż, jeśli chodzi o mnie, to mogłaby jechać. Ale Szczelba była nałogową alkoholiczką, a ja nie wybierałam się tam sama. Pseudonim mojej koleżanki wziął się stąd, że, jak wyjaśnił mi Potocki, była bardzo szybka w rękach. A najszybsza była na „średniej fazie”, czyli w chwili, gdy była już na niezłym rauszu, ale zarówno jej wymowa jak i koordynacja ruchowa były jeszcze całkiem sprawne. Wtedy Szczelba lała bez opamiętania. I bez uprzedzenia. Wystarczyło, że coś było niezgodne z jej oczekiwaniami i już puszczała pięści w ruch. Sama zresztą wówczas szukała zaczepki. W naszej grupie takie numery nie działały, bo każdy miał już na nią swój patent. Całkiem bezkarnie tłukła więc tylko swojego męża, Byka. Chętnie jednak wdawała się w utarczki z „konkurencją” spod Tesco, a także z ekspedientkami, ochroniarzami bądź innym „bractwem z miasta”. Dlatego nie mogłam jej z sobą zabrać. Nie mogłam narażać osób postronnych na jej pijackie zaczepki, a także wymierzanie urojonej sprawiedliwości.

– Nie, Szczelba. Nie możesz jechać – odparłam zdecydowanie. – I nie bądź

dzieckiem. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i dlatego właśnie powinnaś mnie zrozumieć. Tak?

– Tak – przytaknęła i wyszła bardzo nadąsana.

– A tej co nagle odbiło? – mruknęłam pod nosem, bo zdumiał mnie jej nonsensowny upór.

•

No właśnie... Co jej odbiło? Zastanawiałam się nad tym każdego wieczora spędzonego w W. Nie, nie każdego. Tego ostatniego nie...

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się aż takiego przyjęcia w tamtym teatrze: widownia wypełniona była po brzegi. Publiczność była wspaniała, reagowała cudownie. Od razu wytworzyła się między nami jakaś mistyczna interakcja, swoisty rodzaj porozumienia, który można by porównać do relacji między bardzo bliskimi sobie ludźmi, by nie rzec... kobietą i mężczyzną. A ja, jak wrażliwa i przebiegła kochanka, wyczuwałam ich najczulsze strony, igrałam z uczuciami, żonglowałam emocjami. Jeszcze przed przerwą uwiodłam ich bez reszty. Takie rzeczy się czuje. Potwierdziło się to całkowicie po zakończeniu spektaklu, kiedy wywoływani brawami byliśmy dotąd, aż zaczęłam się dosłownie ślaniać na nogach, a niektórzy moi koledzy ukradkiem ocierali z czoła pot.

•

Spałam do samego południa. Potem skorzystałam z prawie wszystkich relaksacyjno-kosmetycznych ofert hotelu, by wieczorem wyjść na scenę w jeszcze lepszej formie. Byłam naprawdę zadowolona z życia, jakie teraz wiodłam. I z siebie...

Tego wieczoru publiczność była równie świetna jak poprzednio. Przypuszczam, że część widzów była nawet ta sama. Zdarzało mi się już, że ktoś przychodził na mój spektakl dwukrotnie albo i więcej. Oczywiście w teatrze w Ł. miałam znacznie większe szanse na rozpoznanie stałych bywalców, ale tu jakoś ich wyczuwałam, teatromani różnią się bowiem od sporadycznych widzów. Ja ich w każdym razie jakoś wyczuwam.

Dziś grało mi się równie dobrze. A nawet lepiej, poznałam scenę i nie wchodził już w grę „syndrom nowego miejsca”. Było pięknie do ostatniej minuty. Jednak kiedy przyszła pora braw, poczułam niepokojące zawroty głowy. Z trudem dotrwałam do ostatniego wyjścia. Nie mówiłam nikomu o mojej nagłej przypadłości, w końcu nazajutrz mieliśmy wracać...

Po powrocie do hotelu postanowiłam wziąć szybki prysznic i położyć się do łóżka. Usiadłam przy toalecie, żeby zetrzeć makijaż. Wówczas poczułam się jeszcze gorzej. Zaczęłam widzieć podwójnie, moim ciałem wstrząsały dreszcze, a serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Z na wpół zmytą twarzą, w kompletnym odzieniu położyłam się do łóżka. Kiedy leżałam nieruchomo na wznak, było

mi nieco lepiej. Zamknęłam oczy. Staralam się oddychać miarowo, choć z trudem nabierałam powietrza do płuc. Miałam wrażenie, jakby coś ciężkiego usiadło mi na piersiach...

•

– Nie mogę oddychać! Filip, dlaczego ja... nie... mo...gę oddychać?! – przeraziłam się całkiem serio.

– Uspokój się kochanie, to pewnie stres – dobiegł mnie jego głos, jakby z od-dali. – Zaraz będzie dobrze.

– Zadzwoń... po mojego lekarza, to może być... zawał...

– Dobrze, zadzwonię, ale najpierw połknij lekarstwo – Filip uniósł moją głowę i wsunął mi tabletkę do ust. – A teraz popij, o, tak...

Pigułka z trudem przeszła mi przez przełyk.

– Zadzwoń! Ja... słabo mi...

Filip pochylił się nade mną i wpatrzył się w moją twarz. – Boże, no zadzwoń wreszcie – nalegałam w duchu, bo nie potrafiłam już nic powiedzieć. Jego błękitne oczy zaczęły zasnuwać się mgłą, potem cała jego twarz z sekundy na sekundę straciła swoją wyrazistość. Przestałam się bać. Już nie potrzebowałam oddychać, nic mi nie doskwierało. – Teraz jest dobrze – pomyślałam i poczułam ulgę.

•

Kiedy się ocknęłam, była trzecia w nocy. Usiadłam wolno na łóżku w obawie, czy znów nie złapią mnie te przerażające duszności. Ale nie, nic takiego się nie stało. Sięgnęłam po butelkę z wodą i niemal całą wypiałam duszkiem.

– Co to było? – spytałam sama siebie półgłosem. – Jakiś atak? Zawał? Udar?

Zorientowałam się, że leżę w ubraniu, czułam się nieświeża. Zastanawiałam się, czy jeśli wezmę prysznic, nie wykituję przy okazji. Rozebrałam się ostrożnie i podeszłam do lustra. Zaczęłam ścierać resztki makijażu...

...Spektakl... Mnóstwo ludzi na widowni, półmrok, niekończące się brawa... I ja. Kłaniam się wciąż na nowo i na nowo, a ludzie nie przestają klaskać...

Widziałam te migawki na zmianę z moją twarzą w lustrze. Spojrzałam na siebie uważniej. Przez chwilę miałam wrażenie, że coś jest nie tak. Ale już za moment miałam pewność: wszystko było nie tak! Wszystko!!!

– Co ja tu robię? – szeptałam w panice. – Na miłość boską, co ja robię w tym hotelu? I dlaczego, do cholery, gram w teatrze?

Wrzuciłam na siebie szlafrok i wybiegłam na korytarz. Zaraz, zaraz... Jest noc. Dokąd pójde? – pytałam sama siebie. Mając pełną świadomość, że jest środek nocy, zastukałam energicznie do drzwi obok. Otworzył mi zaspany Piotr.

– Wybacz, że cię budzę... Ale...

– A... Ojej, wejdz proszę – Piotr na widok mojego upiornego oblicza prędko

doszedł do siebie.

– Źle się czujesz? Może zadzwonić po lekarza? – zatroskał się.

„Filip, zadzwoń proszę po mojego lekarza” – znów usłyszałam sama siebie.

– Nie. Tak! Źle się czuję, ale nigdzie nie dzwoń – odpowiedziałam Piotrowi.

– Po prostu... posiedź ze mną chwilkę. Zaraz sobie pójdę.

– Jasne, wejdz. Napijesz się czegoś? Woda? Kola?

– A masz może koniak?

Piotr spojrział na mnie jak na kosmitkę.

– Nnn... nie... nie mam – wymamrotał niepewnie.

– No to mi nalej – zażądałam. – Nie bój się, nic mi nie będzie!

– No tak, ja wiem, ale ty... Ty przecież...

– Jestem alkoholiczką. Czy tak?

– Tego nie powiedziałem, oczywiście – plątał się Piotr.

– Wiesz co? – rozejrzałam się po jego pokoju. – Zrobimy tak: ja sama sobie naleję. I cokolwiek by się nie stało, to nie będzie twoja wina. Okej? Ale wiesz, co ci powiem? Nic się nie stanie!

Piotr niezdecydowanie skinął głową, a ja natychmiast obsłużyłam się sama. Wiedziałam, że nic się nie stanie. Że po tej jednej lampce nie zacznę pić na umór. Wychyliłam alkohol jednym haustem. Poczułam jak wszystkie moje członki i organy stają się na powrót jednością. Jeszcze tylko odrobinę dygotałam od środka.

– Teraz na drugą nóżkę – oznajmiłam osłupiałemu Piotrkowi i nim zdążył mrugnąć, nalałam sobie i wypiałam. – Już mi lepiej. Dzięki.

– Możesz mi powiedzieć, co się stało? – i on chyba wreszcie nieco ochłonął.

– Miałam koszmar. Straszny, paskudny, przerażający koszmar.

– Ojej – zmartwił się Piotr. – To rzeczywiście, wówczas lampeczka dobrego alkoholu pomaga. A co ci się śniło, jeśli mogę wiedzieć?

– Śniło mi się, że jestem aktorką... Żartowałam – dorzuciłam natychmiast, widząc jego strasznie głupią minę. – Dzięki za koniak, dobranoc.

•

Nie spałam już do samego rana. Biedny Piotrek, pewnie i jego wybiłam ze snu, ale musiałam. Musiałam zobaczyć jakąś żywą ludzką twarz i przekonać się, że nie tu jestem sama. I że w ogóle jestem....

Po wyjściu od Piotrka wzięłam chłodny prysznic i na powrót usiadłam przed lustrem. Postanowiłam pozbierać do kupy swoje życie (życia?) na tyle, na ile się da... Wczoraj zagrałam kolejny spektakl i jak zwykle wypadłam świetnie. Graliśmy gościnnie we wspaniałym teatrze, w cudownym mieście. Po raz kolejny zostałam doceniona przez publiczność gorącymi owacjami. Tylko że... pytałam siebie po raz drugi: do jasnej, ciężkiej, syfilitycznej cholery, dlaczego ja właściwie gram w teatrze? Przecież, do stu tysięcy zdechłych, zaśmierdłych pawianów, nie jestem

i nigdy nie byłam aktorką! Owszem, jako dziewczynka chodziłam na kółko teatralne, ale to cała moja edukacja w tym kierunku. I cały zapal. W dodatku sprzed wielu, wielu lat! Ale przede wszystkim nie jestem Heleną P.!

Wyjęłam z torebki dowód osobisty i obejrzałam go z obu stron, kręcąc głową.

– To absolutnie niemożliwe! Nie, to jakiś absurd, albo sen... Takie rzeczy nie zdarzają się ludziom naprawdę!

Nie był to mój dowód, mój dowód opiewa przecież na moje nazwisko: Sabina D. Wstałam i zaczęłam kręcić się bezmyślnie po pokoju. – Zaraz... jak długo ja tu jestem? Pół roku... Przez pół roku żyję cudzym życiem, w nieswoim domu, z nie swojej pracy, otaczam się nie swoimi znajomkami. Gdzie w takim razie jest Helena P., po której lukę wypełniam tak gorliwie? A skoro jestem tu, to nie ma mnie na swoim miejscu. Co to może oznaczać? Chwila – kombinowałam. – Przecież ja jestem w swoim mieście, w W.! Mieszkam tu, mieszkam na ulicy Dąbrowskiego 42.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła siódma. Ubrałam się, zjechałam windą na dół i poprosiłam o taksówkę.

– Na Dąbrowskiego – zażądałam i otuliłam się kołnierzem wełnianego płaszcza.

Oczywiście to była moja ulica, a przy niej znajdował się mój dom. Poprosiłam taksówkarza, żeby chwilę zaczekał. Bo jeśli to nie są kolejne urojenia, za jakieś dziesięć minut powinien wychodzić do pracy ten ktoś, kto mnie interesuje. I rzeczywiście. Punkt siódma trzydzieści z domu wyszedł wysoki, przystojny szaryn, osłaniając się parasolem przed zaczynającym prószyć śniegiem. Kiedy dotarł do samochodu, poprosiłam kierowcę, żeby ruszył za nim powoli. Filip... (Tak, Filip. To właśnie był mężczyzna mojego życia, którego ostatnio oglądałam wyłącznie w snach) dojechał do głównej drogi, a potem skręcił nie tam, gdzie się spodziewałam. Taksówkarz cały czas podążał za nim. Wreszcie auto Filipa zatrzymało się na sąsiednim osiedlu, gdzie wsiadła do niego szczupła brunetka w kusym futerku. Teraz oboje zajechali pod biurowiec z wielkim napisem: ZPH SABA Sp.z o.o.

Pod m o j ą firmę! Nazwaną moim imieniem, zbudowaną od podstaw i prowadzoną przeze mnie niemal od dwudziestu lat, w pocie i znoju!

Nie poczułam się z tym dobrze. Czyli jak to? – pytałam siebie. – To oni tu teraz pracują razem? Razem sypiają, razem się szarogęszą na mojej krwawicy, cieszą, bawią, używają życia? Beze mnie? A Jagoda? Co na to wszystko Jagoda?

W pierwszej chwili zamierzałam pobiec za nimi i już na górze, przy jak największej ilości świadków urządzić im taką zadymę, jakiej nie widywali nawet w filmach z Jackie Chanem. Już sięgałam ręką do klamki.

– Złość jest złym doradcą – mruknął po nosie taksówkarz. – Moim skromnym zdaniem.

– Taaak – przyznałam po chwili. – Ma pan rację. Wracamy do hotelu.
Wyjazd z W. do Ł. miał być o dziesiątej, postanowiłam więc wykorzystać pozostały czas i doprowadzić się do ładu. I niczego nie dać po sobie poznać.

••

VIII

Z szacunkiem do nieboszczki

– No i co? Pękłaś beze mnie? – to była pierwsza rzecz, o jaką zapytałam Szczelbę po powrocie.

Ona, jak było do przewidzenia, kręciła się już wcześniej koło mojego domu, by nie przegapić mojego przyjazdu.

– Pewnie, że pękłam. Pokazać ci? – roześmiała się szeroko.

– Nie, dziękuję, włącz – pchnęłam furtkę i puściłam ją przodem.

Przebrałam się szybko w szlafrok i kazałam Szczelbie kwadrans na siebie zaczekać. Wzięłam szybki prysznic i byłam gotowa na zdanie relacji z wyjazdu.

– Zrobiłam dla nas herbatkę w międzyczasie – oznajmiła, podsuwając mi jedną z dwóch filiżanek. Tradycyjnie, bo herbatka z malwy to był jedyny napój, którym Szczelba raczyła się u mnie.

– Dzięki. Ale wiesz co, niech trochę ostygnie, a tymczasem ja tu mam coś dla ciebie – położyłam na stole wielkie pudło czekoladek z likierem.

– Dla mnie? Całe dla mnie?

– Dla ciebie, częstuj się. Dla reszty też mam różne drobiazgi.

Szczelba, zanim znów się odezwała, wciąła chyba kilkanaście czekoladek, jedna po drugiej.

– No i jak było? Opowiadaj – przemówiła wreszcie. – Były brawa na stojąco? Koszyki z kwiatami i takie tam?

– Prawie – zaśmiałam się. – Nie było koszyków.

– A... jak się czujesz? – zatroskała się nagle. – Nic ci nie jest?

– Owszem, zmęczona jestem.

– Ale odpoczniesz i ci przejdzie, prawda?

– Prawda.

– Napij się herbatki, dobrze ci zrobi.

– Jasne – podniosłam filiżankę do ust. – Ale wiesz co? A holu położyłam taki biały rulon, podaj mi go, proszę.

Kiedy Szczelba wróciła z rulonem, rozwinęłam go i podstawiałam jej pod oczy.

– A oto afisz z naszego spektaklu. Ładny?

– O Boże, piękny! – zachwyciła się Szczelba. – Jakby nie miał być piękny, jeśli ty na nim jesteś? Ta sukienka jest taka... ognista!

Sukienka akurat poruszyła we mnie niemiłe skojarzenia. I w ogóle cały ten plakat ze mną, podpisaną cudzym nazwiskiem sprawił, że na chwilę znów mnie zmroziło.

– Źle się czujesz? Co ci jest? Helena! – przeraziła się Szczelba.

– A czemuż to miałabym się źle czuć? – spytałam, patrząc na nią przenikliwie.

– Sama mówisz, że jesteś zmęczona.

– Zmęczenie to nie choroba. Odeśpię i minie.

Pogadałyśmy jeszcze trochę, Szczelba wymogła na mnie obietnicę, że wpadnę jutro do nich do „apartamentowca”. Nie widziałam problemu, zwłaszcza, że miałam nazajutrz cały wolny dzień.

•

Po wyjściu Szczelby wzięłam się do roboty. Najpierw wyrzuciłam nienadający się już do niczego cukier z cukierniczki, a właściwie gęsty ulepek, który się wytworzył po wymieszaniu jej zawartości z herbatką z malwy. Dziś jeszcze nie byłam przygotowana na taki manewr, ale następnym razem postanowiłam wymyślić coś lepszego. Wiem, że moja podejrzliwość była dla Szczelby krzywdząca, ale postanowiłam od teraz być bardzo czujna, nie pić i nie jeść niczego, czego sama nie przygotuję bądź nie wyjmę z oryginalnego opakowania. Może to było i śmieszne, ale dopóki nie wiem, na skutek czego utraciłam świadomość, zamierzałam unikać wszystkiego, co mogło być tego ewentualną przyczyną. Bo to, że tę świadomość odzyskałam, było dziś dla mnie pewne jak amen w pacierzu. Teraz wiedziałam, kim naprawdę jestem, bez najmniejszych wątpliwości, bez wysiłku i bez zastanowienia. Tak jak każdy to wie, w sposób całkowicie spontaniczny i naturalny. Nurtowały mnie natomiast całkiem inne rzeczy, dlatego zabrałam się za przeszukiwanie domu. Ale nie części mieszkalnej, tylko wszystkich pozostałych pomieszczeń, czyli piwnic i strychu. Czego szukałam? Nie wiem. Czegokolwiek, co pomogłoby mi odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie i kiedy zapodziała się Helena P.?

Czy wiedziałam, kim ona była? Jasne, że wiedziałam. Była zgasłą gwiazdą, upadłą kobietą, pijaczką ostatniej kategorii. Kiedyś tylko bez uczuć, potem także bez godności. Ale Helena nie pokazywała się publicznie od ładnych paru lat, wielu ludzi całkiem o niej zapomniało. Nie pisano o niej, nie mówiono. Jeśli chodzi o mnie myślałam, że pewnie wyjechała za granicę i tam robi karierę, bo czas, w którym zniknęła z ekranów, zbiegł się z okresem, gdy przed Polakami otwarła się możliwość swobodnego przekraczania granic. A tu masz, rzeczywistość okazała się być całkiem inna... Liczyłam się z tym, że wiele może mnie zaskoczyć. Łącznie z tym, co stało się ze mną samą...

Być może przyjechałam do Ł. w interesach, tu doznałam jakiegoś wypadku, uznano mnie za zmarłą i pochowano jako Helenę? Moje podobieństwo do niej było w istocie uderzające, ale to nic dziwnego, skoro była moją siostrą...

•

W piwnicach nie znalazłam niczego. Dosłownie nie było tam nic. Na strychu

natomiast znajdowało się parę koślawych mebli, goły materac i jakieś pudła. Nie było tego dużo, uznałam, że ich przeszukanie nie zajmie mi więcej niż godzinę. Postanowiłam wyjaśnić wszystko dokładnie, bez pośpiechu. Być może to, co mi się przydarzyło, było dziełem splotu idiotycznych przypadków, ale to raczej mało prawdopodobne. Byłam przekonana, że jest sobie gdzieś taki ktoś, kto zna całą prawdę od początku do końca. Nieśpieszno było mi ujawniać moją nową tożsamość, bo pomyślałam, tak będzie mi łatwiej dotrzeć do prawdy.

Przeglądałam szafkę po szafce, przegródkę po przegródce, pudło po pudle. I nadal nic. W jednym z nich były uschłe cebulki tulipanów, jakieś martwe sadzonki i torebki z nasionami. W drugim był serwis do kawy z żółtego duralexu. W trzecim były książki, ale nic osobistego: poradniki i książki kucharskie. Meble były puste.

Zbliżał się wieczór. Obawiałam się, że nie będę mogła zasnąć. Ten, kto zna udrękę bezsennej nocy, wie, jak silne mogą być te obawy. Ogarnęłam się więc i poszłam w odwiedziny do staruszki z naprzeciwka. Dla niej też miałam czekoladki, ale nie z alkoholem.

– O, witaj, Heleno, co tam u ciebie? – ucieszyła się kobieta. – Ciekawa jestem bardzo, ale dziś jeszcze chciałam dać ci odpocząć po podróży.

– Dziękuję, dobrze. Nie jestem zmęczona, wzięłam się nawet za porządki na strychu.

– Co takiego?

– No tak, ale mniejsza z tym. Okazało się, że strych jest pusty. – Proszę – położyłam czekoladki na stole.

– Dziękuję! Z marcepanem... Pamiętałaś? Wejdz proszę, usiądź, zrobię nam czegoś do picia.

Czy pamiętałam? Ależ skąd, bo jakim cudem miałabym pamiętać, że ta obca kobieta takie właśnie lubi? Po prostu ja sama bardzo lubiłam marcepan. Uśmiechnęłam się skromnie i spuściłam wzrok.

– A tak naprawdę, czego szukałaś na tym strychu?

– Och, wie pani... takie mnie w tym mieście W., wspomnienia rozmaite dopadły. I... – zawałam się, licząc, że staruszka za mnie sensownie dokończy. I nie przeliczyłam się.

– Rozumiem. Szukałaś pamiątek z przeszłości, tak?

– Tak – przyznałam skwapliwie, licząc na to, że być może ona wie, co się stało z... czymkolwiek po Helenie.

– Zaczekaj momencik.

Kobieta wyszła z pokoju i po chwili wróciła z grubaśną, papierową teczką. Położyła ją przede mną na stole.

– Rzuć okiem na to, a ja w tym czasie pójdę do kuchni.

Teczka zawierała całą masę różnych papierów: artykułów prasowych, zdjęć,

listów. Przerzuciłam kilka z wierzchu i kilka ze spodu. To był cały najlepszy okres w życiu Heleny. Ktoś pracowicie zbierał to przez lata.

– Czy mogłabym pożyczyć to na kilka dni? – spytałam kobietę, gdy wróciła z kuchni niosąc na tacy dwie filiżanki.

– Oczywiście – odparła z uśmiechem. – Weź to sobie. Ja po prostu... zwracam ci depozyt.

– Depozyt?

– No tak, kiedy zaczęłaś wyrzucać wszystko z domu, wzięłam parę rzeczy. Między innymi tę teczkę, zegar, alabastrową figurę anioła i serwis do kawy.

– Serwis? Jest, na strychu...

– Widocznie inny. Ten, który wzięłam, jest niebieski. Rzadko się trafiają filiżanki w tym kolorze. Chcesz go z powrotem?

– Nie, dziękuję, proszę wszystko zatrzymać, wezmę tylko tę teczkę.

Staruszka brała najwyraźniej moje luki w pamięci za jakieś alkoholowe zamknięcia z tamtego czasu i z całą pewnością nie podejrzewała, że ja to nie Helena. I bardzo dobrze. Spełniłam więc swoje zadanie na dziś, jakiego ode mnie oczekiwała, czyli szczegółowo opowiedziałam jej swoje wrażenia z pobytu w W. Mimo iż bardzo mi się śpieszyło do przejrzania teczek, stłumiłam w sobie całą niecierpliwość i zasiedziałam się u sąsiadki do późna. W końcu miałam nazajutrz wolne, mogłam odespać.

W domu pazernie rzuciłam się na moją zdobycz. Nie wiem czy to Helena, czy już później sąsiadka, ułożyła wszystko z taką pieczołowitością – chronologicznie od góry do dołu. Czyli że na wierzchu był początek. Były więc artykuły prasowe opisujące pierwsze zmagania Heleny przed kamerą, były recenzje jej dwóch kinowych hitów z późnych lat osiemdziesiątych, były wywiady, fotografie z okładek kolorowych czasopism. Wszystko w tonie pochwalno-pochlebnym. Zdjęcia prywatne, jakie można było znaleźć między gazetami, pochodziły w większości z planów zdjęciowych i spotkań towarzyskich ludzi ze świata filmu, z Heleną na czele, rzecz jasna. Dość często pojawiał się koło niej facet, taki dość sporo starszy od niej, przystojny. Jakby skądś mi znany.

– No jasne! – Olśniło mnie wreszcie. – Andrzej P.! Aktor i reżyser, też swoista gwiazda sprzed lat. Że też nie skojarzyłam go do tej pory z nazwiskiem Heleny! A to pewnie musiał być jej mąż. Człowiek, który najpierw zrobił z niej gwiazdę, a potem całkowicie ją sobie podporządkował. Tak, moje domniemania potwierdził artykuł z lokalnej gazety, wspominający o ich ślubie...

Na szczęście dla Heleny w tamtych czasach nie było w Polsce paparazzich, plotkarskich gazet ani im podobnych portali internetowych. Dzięki temu nikt nie dokumentował na bieżąco jej upadku. Wtedy, jeśli się już coś pisało o osobie publicznej, to tylko dobrze albo wcale. I jeżeli czyjaś kariera zakończyła się naturalnym zejściem śmiertelnym, było o tym powszechnie wiadomo, ale jeśli ktoś prze-

padł nagle w innych okolicznościach, na przykład popadł w nałóg (jak Helena), oszalał (jak pewna wokalistka) lub trafił do więzienia (jak jeszcze ktoś inny) – o tym dowiadujemy się dopiero teraz. Zdarza się jednak, że niektórzy wracają do życia publicznego, a ich niechlubna luka w życiorysie wykorzystywana jest jako świetnie sprawdzająca się promocja. Takie czasy. Nie ma się więc co dziwić, że na mnie, jako na Helenę z „przeszłością” jest dziś większy popyt niż kiedyś na nią samą. Nie wspominałam o tym do tej pory, ale od „mojego” powrotu na scenę odmówiłam wywiadu niezliczonym dziennikarzom i odrzuciłam niezliczone zaproszenia do stacji radiowych i telewizyjnych. I szczerze mówiąc nie jestem pewna, czy uniknęłam w ten sposób spekulacji na „swój” temat, bo od bardzo dawna nie miałam dostępu do Internetu. Helenę ominęła bowiem znajomość paru nowinek technicznych jak komputer czy choćby telefon komórkowy. Ja miałam dziś służbową komórkę, dostałam ją od Alfreda, potrafiłam się nią posługiwać od początku, ale jakoś nikt w to nie wnikał (łącznie ze mną samą), jakim cudem.

Obejrzałam sobie kawałek, najlepszy kawałek życia Heleny. Nie naprowadziło mnie to jednak na żaden trop, gdzie też ona sama mogła się teraz podziewać. Rzecz jasna, nie mogłam o to nikogo podpytać, bo jak? Wychodziło na to, że tylko ja wiem o jej zniknięciu, ale dopóki ją zastępowałam, nie było tematu.

Pozostało mi więc wyłącznie zdać się na swoje śledcze zdolności, które być może objawią mi się w jakiś nadprzyrodzony sposób, podobnie jak talent aktorski?

•

Po południu poszłam do Tesco na zakupy, aby uzupełnić w domu to i owo, ale przede wszystkim, aby zobaczyć się z kumplami. Obiecałam w końcu. Ponadto przez cały czas towarzyszył mi mój śledczy plan. Zamierzałam się porządnie przyjrzeć i przysłuchać moim towarzyszom. Nie tak zwyczajnie, jak do tej pory, ale z czujnością i przenikliwością co najmniej detektywa Rutkowskiego. A nuż wyłowię coś, co doprowadzi mnie do rozwikłania zagadki mojej „śmierci”? Może żadne z nich (takie było moje pobożne życzenie) nie maczało w tej sprawie palców, ale niewykluczone, że wiedzieli coś... o czym sami nie wiedzą.

Przyznam, że trochę uwierała mnie ta podejrzliwość w stosunku do przyjaciół (tak, przyjaciół – i niech się w tym miejscu gorszy, kto chce), którzy przez cały czas pomagali mi i wspierali jak potrafili. Nigdy do tej pory nie zastanawiałam się nad życiem im podobnych, bezdomnych, żebraków, co tu dużo mówić: meneli. To nie były osoby, którymi chciałoby mi się zaprzętać głowę. Owszem, dałam czasem jednemu czy drugiemu parę groszy, ale raczej na odczepnego niż z potrzeby serca. Od jakiegoś czasu sama byłam częścią tej społeczności, co prawda od mojego „powrotu” na scenę już tylko w własnej woli, nie z konieczności. Czemu? Z poczucia jakiejś niepojętej dla mnie samej lojalności. I chyba... także sympatii. Pewnie przez tych parę miesięcy spędzonych z nimi, na dobre i na złe, zdążyłam przy-

swoić mimo woli ich swoisty kodeks moralny i niepisane zasady stadnego życia. I właściwie wcale mi taki układ nie przeszkadzał, koledzy z teatru wiedzieli, że nadal utrzymuję kontakty z moimi menelikami, widywano mnie też w ich towarzystwie publicznie. Nie, nie wstydziłam się ich. Absolutnie. Bo właściwie czego? Miałam do swoich aktualnych spraw spory dystans, a pomagało mi w tym przeświadczenie, że to przecież nie moje życie i nie mój wstyd. A z kolei patrząc na to wszystko z miejsca Heleny, ona też nie miałaby powodu do wstydu. Z całą pewnością nie teraz...

Tak sobie rozmyślając zmierzałam do Tesco. Skróciłam sobie drogę przez parking. Jako pierwszy wypatrzył mnie Potocki.

– Madam! Jakże nam miło, kopę jaj! – krzyknął z daleka i podążył w moją stronę.

– Chyba lat – roześmiałam się. – Nie sądzisz księciu?

– Nie sądz, a nie będziesz sądzony – odparł z lekką zadyszka, kiedy już do mnie dotarł. – I co tam? Miasto W. rzucone na kolana?

– Do dziś się nie podniosło – mrugnęłam do niego.

Spośród grupy moich byłych-niebyłych towarzyszy najlepiej rozmawiało mi się z Potockim. Owszem, ze Szczelbą byłam najbliżej, ale nikt tak jak on nie umiał żonglować słowami i nie miał tak wytrawnego poczucia humoru.

– Nie miał kto o ciebie dbać, nieboraku, co? Jesteś jeszcze chudszy niż byłeś.

– To dla ciebie, madam, dbam o linię.

Jedyne, o co naprawdę dbał Potocki, to o swój arystokratyczny image. Dziś miał na sobie prawdziwe, aczkolwiek nieco wyliniałe futro do kostek i wielką czapę z lisa.

– Nie musisz – mruknęłam zalotnie. – Powalasz mnie z nóg samą już elegancją. Zdradzisz mi, u kogo się ubierasz?

Potocki rozejrzał się w koło i pochylił się nade mną.

– W salonie na Brackiej 8. Nazwa jego, w wolnym tłumaczeniu: „druga dłoń”. Wulewu kapewu? Raz na jakiś czas odkładają dla mnie to i owo, gratis, rzecz jasna. Interesuje ich bowiem promocja marki, jakiej dostarcza im moja skromna osoba...

– No, to super! Wiedzą, co robią – pochwaliłam, a Potocki okręcił się dookoła jak modelka.

– Helena! – wyskoczyła nagle, nie wiadomo skąd Gangrena. – Lecę po gazetę, niech się już nie wygłupiają z tymi moniakami.

– Zaraz, zaraz! Liczysz na darmochę? – oburzył się księciu. – To chyba my powinniśmy ugościć koleżankę!

– Dajże spokój – skarciłam go. – Ale owszem, zbierzcie wszystkich a ja skoczę do sklepu i kupię co trzeba. Spotkamy się tam gdzie zwykle, za... pół godziny?

Gangrenie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, natychmiast pobiegła w głąb parkingu. A kiedy już miałam udać się w stronę sklepu, podszedł do mnie facet, którego już wcześniej tu widywałam.

– Witaj, Heleno! – ucieszył się na mój widok. – Jak się dziś miewamy?

– My miewamy się dobrze, a ty? – zapytał groźnie Potocki.

– Ej, ty, świń żeśmy razem nie paśli – odwarknął mu facet.

– My też nie – wtrąciłam ze śmiechem.

– No właśnie, z Heleną rozmawiam – nie załapał facet.

– Ma rację. Ucisz się księciu – zganiłam go łagodnie.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił facet i wyciągnął rękę w moją stronę. – Masz tu dyszkę za dobre sprawowanie. Całkiem niczego sobie wyglądasz. I wiesz co? Może się nawet kiedyś z tobą umówię...

Potocki aż zachłysnął się z oburzenia. Wyglądało to, jakby zaraz miał rzucić się na gościa ze swoimi chudymi piąstkami.

– Za dyszkę dziękuję uprzejmie – wzięłam od niego banknot. – A z propozycji randki nie skorzystam. Nie umawiam się z nieznajomymi.

– Che, che, che – zarechotał facet. – Ty mnie zawsze, kochanieńka, ubawisz!

Na to wszystko nadleciała Gangrena ze Szczelbą, Bykiem i Rajmundem. Szczelba była na tzw. średniej fazie.

– Szumi gostek? – spytała.

– Co nieco – odparł Potocki.

– Te! Przepróż panią, albo powąchaj to – warknęła groźnie i podstawiła mu pięść pod nos.

– Fuj! – wzdrygnął się facet. – A gdzieżeś ty tę łapę trzymała?

– Nie pasuje ci coś? – naindyczyła się Szczelba. – W takim razie powąchaj tę!!!

I podstawiła mu pod nos drugą pięść.

– Może teraz zgadniesz, gdzie ją trzymałam.

– O rany! Weź to ode mnie, ja już wolę przeprosić. – Przepraszam Heleno – zwrócił się do mnie.

– Pani Heleno! – poprawił go Potocki. – Jeszcze raz wuala, całym zdaniem.

– Przepraszam, pani Heleno – powtórzył facet, na którym widać wielkie wrażenie wywarły pięści mojej koleżanki. Co prawda niekoniecznie wielkość i siła wrażenia, a raczej... hm... ich naturalna flora bakteryjna.

– Schowaj grabki, Szczelba – zwrócił się do niej Rajmund. – Gdyż facet spokorniał już cuśkolwiek.

– Idziemy stąd – zarządziłam. – Zakupy zrobimy gdzie indziej.

– Tfy! – Szczelba splunęła jeszcze za oddalającym się mężczyzną. – Cham tragiczny, bez obycia i kultury!

– Po co wzięłaś od niego te pieniądze, madam? – spytał z wyrzutem Potocki.

Może, gdybym była Heleną, uniosłabym się honorem, obraziła, a może nawet strzeliła gościom w pysk. Ale ja potraktowałam ten incydent jak wiele innych spraw, które w rzeczywistości nie dotyczyły mnie.

– Zawsze mi dawał najmniej piątkę. – wyjaśniłam. – Nie chciałam robić mu przykrości.

– No to nie zrobiłaś – stwierdziła Gangrena.

– Szczelba go tylko cuśkolwiek na godności nadwyrężyła – dorzucił Rajmund.

– Będzie żył – zdiagnozował Byku, jej ślubny i znawca tematu.

– Ale co to kuźwa za życie – wzdrygnęła się Gangrena z obrzydzeniem. – Tak w koło Macieju o suchym ryju...

•

Długo w noc siedzieliśmy z kumplami przy zastawionym stole w „apartamentowcu” i sączyliśmy wino. Ja też. Z okazji premiery na wielkiej historycznej krajowej scenie oprócz ich ulubionego wina marki „Wino”, kupiłam dla odmiany dwie butelki białego wytrawnego Rieslinga. Dla siebie i dla każdego, kto zechciałby takiej odmiany. Nie powiem, żebym miała na nie jakąś szczególną ochotę, ale skoro wiedziałam już, że mogę sobie pozwolić na lampkę czy dwie, mój organizm też się już nie buntował. Poza tym moja degustacja miała mieć charakter badawczy: chciałam sprawdzić, jak zareagują na ten widok moi przyjaciele.

– Za mój powrót i za wasze zdrówko – wzniosłam pierwszy toast.

Gawieź spojrzała na mnie w pełnym powagi milczeniu. Pierwszy odezwał się Rajmund.

– Te, patrz, nawet ci po tym wyjeździe awers do płynów przeszedł! W takim razie za twój powrót do zdrowia też!

– No to chlup, w gardło moje zdrowie twoje! – ucieszyła się Gangrena.

– Ejże, bracia i siostry, za stare, dobre czasy! – dołączył się do toastów Byku.

– O nie, madam, ty już nie możesz pić. Ty teraz jesteś, że się tak wyrażę, nasze dobro narodowe, gwiazda sceny ojczystej – Potocki usiłował zabrać mi szklanekę.

Tylko on, jeden jedyny, zaprotestował przeciwko mojemu zamiarowi. Szczelba milczała, co można było w zasadzie tłumaczyć dwojako.

– Spokój, księciu – odsunęłam swój trunek na bezpieczną odległość. – Dwie szklaneczki krzywdy mi nie zrobią. Zdrowie!

Każdy oprócz mnie wypił, co miał, jednym haustem. Ja swoje wino sączyłam powoli. W czasie, kiedy moi kompani osuszyli wszystko co było, ja zgodnie z założeniem wypiałam swoje dwie szklaneczki.

– Boisz się, że znowu umrzesz, co? – przysunął się do mnie Rajmund i spytał

bełkotliwie.

– Jak każdy. Każdy kiedyś umrze – odparłam.

– Ale nie o to... Tyko że znowu ci się tak stanie... no wiesz, że golniesz baniaczka i fajt, kaput! Jak wtenczas.

– Byłeś przy tym? – zapaliłam się do rozmowy, choć właściwie, chcąc być w dobrej kondycji na jutrzejszym spektaklu, powinnam już wracać.

– Wszy... Wszy... Wszssscy byliśmy. Nie pamiętasz?

– No jak, przecież umarłam.

– Ano, fakt...

– Opowiedz mi o tym, co? – poprosiłam.

– E, tam. Pszzykro ci będzie...

– Bardziej jest mi przykro, że mam z tamtego czasu wielką dziurę w pamięci.

No więc? Jak to było? – nalegałam.

– Euuu... aaa... – wybełkotał Rajmund i przysnął.

Zamierzałam kuć żelazo, póki gorące, toteż trąciłam go solidnie z łokcia.

– A, tak! – wrócił mu wątek. – Bo... Bo.... A, już wiem. Ładnie wtenczas było, pszszszła wiosna! Poszliśmy sobieęc e... w plenerek. Szszelba skądś wyczasnęła kabanosy takie... Cały wór miała tych kabanosów. I takśmy siedzieli, popijali i żuli te kaba... kaba... kabanosy, bo twarde były jak świnię, aaaa.... aaa...

– Aaa???

– A! No bo żuł... liśmy, bo...

– Bo jak wiesz madam, tylko ty w naszym gronie posiadasz komplet uzębienia – wtrącił się Potocki, podsłuchujący widać naszą rozmowę.

– To przecież wiadomo – obruszył się Rajmund. – A ty się zawsze musisz wtrącić cuśkolwiek!

– Pomagam tylko, bo ci kiepsko idzie – obruszył się księciu. – Strzzz... srr... streszczaj się bardziej, bo zamierzam porozmawiać z Heleną o końcu świata!

– No dobra. No i wtedy golnęłaś szklaneczkę, na pszszepitkę po tych kabasach nosach... i... tego. I kopyrt z tej ławki do tyłu. Zimny trup.

– Wcale że nie zimny i wcale że nie trup – zaprotestował Potocki.

– No ale my wszyscy tak myśleli, razem z tym gliniarzem i z doktorem nawet.

– Właśnie – przejął się Potocki. – Tak niestety myśleliśmy...

– ...i się zrobił młyn jak cholera... Psz... szyjechała psiarnia i erka na sygnale, płakaliśmy strasznie... No nie, księciu, jak my płakali?

– No – potwierdził księciu z powagą. – Tak płakaliśmy, madam, jak jeszcze nigdy nikt po nikim nie płakał....

– Tylko Szczcz... Szszelba klęła jak szewc i się wściekała okropnie. Ożeż, jak ona się buldoczyła wtenczas, tom jeszcze czegoś takiego nie widział. Bić się chciała z tym doktorem.

– A nawet z policjantem.
– Nawet później z grabarzem też...
– ...i z księdzem...
– Z księdzem też? – pomyślałam, że teraz już przesadzili.
– Też – potwierdził Potocki. – Cały czas się wtrącała na pogrzebie do jego przemówienia, i wciąż dorzucała jakieś twoje cnoty. Przy cnotce czystości wikaremu puściło i ją skarcił. A wiesz, jak to jest się sprzeciwić Szczelbie na średniej fazie...

Wiedziałam. Ale ponadto nadal nie wiedziałam niczego więcej. Postanowiłam więc pożegnać się z tymi, którzy mieli jeszcze jako taką świadomość (ku niekłamanej rozpaczy Potockiego, który zamierzał zrobić mi wykład na temat kalendarza Majów) i wrócić jak najprędzej do domu.

– Pani Helena P.? – spytał mnie po drodze taksówkarz. – To pani?

– Tak, ja.

– Podziwiałem panią niedawno w teatrze. Wie pani, syn dał nam z żoną bilety z okazji rocznicy ślubu, więc poszliśmy. Zazwyczaj do teatru nie chodzimy, bo to wie pani... czasu nie ma i tego... e... nie po drodze. Ale teraz żeśmy poszli. I wie pani co?

– Co?

– Świetne było to przedstawienie. A pani, to już dosłownie... dla mnie bomba!

– Dziękuję.

– Ale tak patrzę na początku i patrzę, a potem raptem, bingo! No przecież, ożeż jego taka i owaka – mówię do żony – patrz się i podziwiał, bo ta w czerwonym to moja koleżanka jest. Pani wybaczy, ale tak jej wtenczas powiedziałem.

– Oczywiście, nie ma sprawy.

– No bo jakby nie było, z widzenia się znamy, co nie?

– Trudno zaprzeczyć.

– O Jezusieńku kochany, a pamięta pani, jak nas pani ostatnio nastraszyła na postojach? Jak bum cyk, na serio myśleliśmy z chłopakami, żeśmy ducha widzieli. Jeszcze ten nekrolog na tablicy... A niech mnie, ale z pani aktorzyca!

No tak – pomyślałam. – A jednak gdzieś jakiś powiesili...

– Ile płacę? – spytałam, gdy taksówkarz zatrzymał się pod moim domem.

– A tam, gratis dzisiaj, pani Helenko. Z ukłonami dla pani talentu.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się do faceta. – Pozdrowienia dla żony.

••

IX

Nie ma takiego numeru

Nazajutrz graliśmy klasykę. Lubiłam ten spektakl. Stroje z epoki, archaiczny język, przerysowane gesty, jaskrawy dowcip – dawały mi zupełnie nowe możliwości wyrazu. I – paradoksalnie, w roli dziewiętnastowiecznej mieszczyki, gdy ówczesne zaloty, podszyte były dwuznacznościami, niedopowiedzeniami, wyrażane grą twarzy, gestem, wymownym milczeniem – czułam się o wiele bardziej seksowna niż w granej równolegle współczesnej komedii romantycznej. W obu spektaklach była taka mała scenka z nogą. W pierwszym unosiłam nieco rąbek falbaniastej sukni, by, niby niechcący, ukazać adoratorowi atłasowy trzewiczek i ciut powyżej. W drugim zaś, też niby przypadkiem, w obecności zakochanego we mnie młodzieńca rozchyłał mi się jedwabny peniuar, odsłaniając nogę aż po biodro. W pierwszej scenie mój amant o mało nie zemdlał z emocji, w drugiej zaś... klepnął mnie w tyłek.

Wbrew moim obawom praca w teatrze pochłaniała mnie tak samo jak wówczas, gdy jeszcze myślałam, że jestem Heleną. Była jeszcze bardziej pasjonująca, bo grałam wiedząc, że nie mam do tego żadnego przygotowania, zdana na własną intuicję i wskazówki reżysera. Może, przyznam nieskromnie, miałam ku temu talent, bo każdego dnia okazywało się, że to mi w zupełności wystarcza, aby błyszczeć na scenie. Moi koledzy z teatru chwilowo odpuścili mi wszelkie aluzje widząc, że wróciłam z nimi grzecznie do Ł. i że w istocie nigdzie się nie wybieram.

– Podrzucić cię do domu? – spytał Piotr po spektaklu.

– Wezmę taksówkę – odparłam.

– Ale po co? Przecież mam po drodze.

– Taksówka też.

– A więc nie pozwolisz mi nic zrobić dla siebie? – uśmiechnął się Piotr.

– Czy ja wiem? Tak, jest coś, co mógłbyś. Jeśli zechcesz... – nagle strzeliło mi do głowy coś, co już od jakiegoś czasu mi po niej chodziło.

– Proś o co zechcesz – zaoferował się Piotr szarmancko.

Rzecz w tym, że sama nie miałam odwagi tego zrobić. A mianowicie... zadzwonić na swój własny numer komórki. To znaczy, mojej poprzedniej komórki...

– Masz – wręczyłam koledze telefon z wybranym już numerem. – Zadzwoń tam i twoja w tym głowa, żeby się dowiedzieć z kim rozmawiasz. Okej?

Piotr zdziwił się trochę, ale wziął ode mnie aparat i przystawił go sobie do ucha. Trwało to raptem chwilkę, a mnie się zdawało, że wieczność.

– Nie ma takiego numeru – powiedział Piotr i zwrócił mi telefon. – To miał być jakiś kawał, próba czy co?

Sprawdziłam, czy nie pomyliłam czegoś, ale nie, zgadzała się każda cyfra.

– Nie, Piotruś, to nie kawał. Mógłbyś... jeszcze raz? – podałam mu telefon, tym razem z wybranym numerem Jagody.

– Jeśli odezwie ci się taka młoda panienka, powiedz, że nie możesz się skontaktować z jej matką, a to bardzo pilne. Podpytaj, co się z nią w ogóle dzieje... Daj na głośny!

– Halo – w słuchawce rozległ się zaspany głos Jagody.

– Dobry wieczór – zagadał Piotr. – Nazywam się Roman Bury (posłużył się godnością naszego portiera) i mam taki mały kłopot: nie mogę się skontaktować z szanowną mamą pani, czy byłaby pani tak uprzejma i podała mi jej nowy numer?

– A o co chodzi?

– Wie pani, to dla mnie bardzo ważne...

– Ale w jakiej sprawie? – irytowała się Jagoda.

Nic dziwnego, dochodziła już dwudziesta trzecia.

– Bo e... ja jestem z firmy czyszczącej dywany i ktoś miał mi potwierdzić, czy mam przyjechać jutro, czy nie.

– No to z pewnością nie umawiała się z panem moja mama. Proszę zadzwonić jutro rano do firmy SABA, numer pan ma?

Skinęłam głową.

– Tak, mam – potwierdził Piotr.

– Myślę, że sekretarka będzie coś wiedziała.

– No ale... czy wobec tego jutro będę mógł porozmawiać z pani mamą?

W słuchawce na chwilę zapadło milczenie.

– Nie – odezwała się w końcu Jagoda. – Mama jest chora i nie zajmuje się chwilowo sprawami firmy. We wszelkich interesujących pana kwestiach proszę się kontaktować z jej zastępcą, panem Filipem O.

– Dziękuję pani bardzo i życzę dobrej nocy – tymi uprzejmościami Piotr zakończył rozmowę.

– I co? Wykonałam swoje zadanie jak trzeba? – zwrócił się do mnie. – Ejże, Heleno, puk, puk, z tej strony ja, Piotr!

– Tak, tak. Dzięki, spisałeś się na medal. A teraz, jeśli to nadal aktualne, możesz podzwać mnie do domu.

Dziś, jeden jedyny raz, pozwoliłam sobie na odstępstwo od zasady: żadnych przysług – żadnych zobowiązań. Ale byłam zbyt rozbita, żeby jeszcze dzwonić po taksówkę, a potem czekać na nią nie wiadomo ile. Chciałam już być w domu.

– Można wiedzieć, o co chodziło z tymi telefonami, czy to jakaś tajemnica? – spytał Piotr po drodze.

– Nie, nie tajemnica.... Po prostu... chciałam skontaktować się z... taką jedną. Ale chyba zmieniła numer telefonu.

– A nie mogłaś poprosić o niego sama? Może tobie by ta jej córka podała.

– Może, ale... musiałabym jej wiele tłumaczyć. Tak było prościej.

– Rozumiem. Z grubsza...

Na szczęście Piotr chyba nie liczył na to, że zaproszę go do siebie na kawę, bo odjechał bez zbędnego ociągania się. A nawet jeśli wcześniej liczył, zbiłam go z pantalątku tymi telefonami.

Wypiłam lampkę koniaku i weszłam pod prysznic. Przez cały czas myślałam o Jagodzie i o tym, co powiedziała. Mama jest chora? Nie zajmuje się sprawami firmy? Jej zastępcą jest pan Filip. O? Nie mogłam uwierzyć, że Jagoda dałaby się aż tak zmanipulować i wziąć udział w podobnym cyrku. A poza tym... czyżby była aż tak na mnie wściekła, że nie pozwoliłam jej na tygodniowy wyjazd do Zakopanego? Nie... to niemożliwe. Wszystko, co się działo między nami ostatnio, to były tylko chwilowe spięcia, ale o drobiazgi, jak o ten wyjazd na przykład. Przecież nikt rozsądny nie urządza sobie wczasów w środku sesji egzaminacyjnej, ona jednak nie widziała żadnego problemu. Tak więc nasze sprzeczki to nic nadzwyczajnego!

Fakt, nie aprobowała mojego związku z Filipem, zarzucała mi, iż nie mam dla niej czasu, ale czy Filip był, czy go nie było, czasu miałam tyle samo. Firma pochłaniała strasznie dużo mojej uwagi. Próbowalam jej to tłumaczyć, ale zawsze kończyło się tak samo: kłótniami i histerią. Gdy była młodsza, zaprowadziłam ją nawet do psychologa, ale ten również uznał, że jej zachowanie nie odbiega od typowych zachowań jej rówieśników. Ot, mieszczący się w normie bunt przeciw wszystkiemu i wszystkim. Zalecił szczerze rozmowy, dużo serdeczności i wyrozumienia, ale co z tego, kiedy Jagoda nie chciała szczerze rozmawiać, na serdeczność reagowała fochami, a wyrozumiałość uważała za brak zainteresowania. Doszłam w końcu do wniosku, że wyrośnie z tych fanaberii jak każdy. I postanowiłam je przeczekać. Z czasem Jagoda przestała płakać, a zaczęła wrzeszczeć. Myślałam, że kiedy podejmie studia, wciągnie ją to studenckie życie, znajdzie sobie grono przyjaciół, którzy skutecznie i przyjemnie wypełnią jej wolny czas. Ale nie, wyglądało na to, że ona nie potrzebuje kontaktów z rówieśnikami. Nudziarze i kujony – tak wyrażała się o większości z nich. Tłumaczyłam jej, że widocznie taka specyfika kierunku, zarządzanie i marketing w końcu wymaga pewnych cech, ale że z pewnością nie jest tak, że nie znajdą się między kolegami z roku jacyś fajni ludzie. Jagoda jednak nawet nie fatygowała się, aby ich bliżej poznać.

Tak naprawdę Jagoda nigdy nie miała powodu do narzekań: zawsze miała wszystko co chciała. Już od najmłodszych lat. Nie mówię tylko o rzeczach materialnych, ale o wszystkim innym, czego było jej do szczęścia potrzeba. Jako mała dziewczynka chciała chodzić na balet – opłacałam jej lekcje, woziłam dwa razy w tygodniu na drugi koniec miasta. Chciała jeździć konno – jeździła. Zażyczyła sobie lekcji japońskiego – zaangażowałam dochodzącego nauczyciela. Chciała malować – zapisałam ją na prywatne warsztaty plastyczne. Że już nie wspomnę o wakacjach, rok w rok spędzanych na zagranicznych obozach i koloniach we wszystkich możliwych krajach, jakie jej się tylko zamarzyły. Nie, nie mogłam sobie zarzucić,

że nie dbałam o jej rozwój duchowy. W żadnym wypadku. Jagoda nie miała powodów do narzekań, ponieważ robiłam dla niej wszystko, co każda matka robi dla swojej córki. Zwłaszcza... że Jagoda nie była moją córką. Była córką Heleny...

Pamiętam ten dzień, kiedy Helena oznajmiła naszej mamie, że jest w ciąży. Nie była już co prawda nastolatką, ale nie miała też ani warunków, ani serca do bycia matką. Ani męża, rzecz jasna. Skończyła właśnie zdjęcia do jednego filmu i miała zaczynać kolejne. To była już dość zaawansowana ciąża, ale po chudej Helenie prawie niczego nie było widać. Umyśliła sobie, że urodzi u nas, w miasteczku, tu zostawi dziecko „na jakiś czas”, by zaraz po porodzie wrócić na plan filmowy. Mama się zgodziła, jak zwykle zresztą, kiedy chodziło o „naszą Helenkę”. Moja siostra bliźniaczka była jej oczkiem w głowie. Helena była zawsze ode mnie przebieglejsza, bardziej zachłanna i uparta, dlatego pewnie w którymś momencie nasze potrzeby, cele i plany zaczęły różnić się od siebie, by w pewnym momencie całkowicie nas ze sobą rozdzielić. Jako małe dziewczynki uczęszczałyśmy na kółko teatralne, które dla mnie z czasem stało się wyłącznie odskocznią od nauki i innych obowiązków, dla niej zaś – było sensem życia. I kiedy ja już dawno przestałam bawić się w teatrzyk, kierując swoje pasje na przedmioty ścisłe, ona zaczęła pobierać lekcje dykcji i uczęszczać na coraz bardziej profesjonalne warsztaty. Rodzice kibicowali jej w tym jak mogli, od czasu do czasu pęczniąc z dumy na przedstawieniach w miejscowym domu kultury.

Gdy Helena dostała się do szkoły teatralnej w Ł., tata już nie żył. Zmarł na raka płuc po dość krótkiej, ale wyczerpującej chorobie. Może dlatego mama wówczas zaczęła kibicować Heli za dwoje, wspierać ją z całych sił, a często nawet ponad. Dla niej zawsze znalazły się jakieś pieniądze na nowy ciuch, kosmetyk czy inny niezbędny do życia przedmiot. Miała być przecież gwiazdą, więc była to tylko krótkoterminowa inwestycja... A kiedy przyjeżdżała czasem na parę dni do miasteczka, obdarowywała mnie ciuchami, które już jej się znudziły, dorzucała jeszcze pół flakonika perfum i kilka na wpół zużytych szminek. Kiedy Helena obroniła dyplom, myślałam, że coś się zmieni. Ale nie, zawsze zdarzało się coś takiego, że to jej trzeba było pomóc, ją wesprzeć, ją pocieszyć. Siłą rzeczy to ja byłam tą silną, zaradną i przedsiębiorczą, która wspierała coraz starszą matkę, aby ta mogła być wsparciem dla Heleny.

Zaraz po liceum poszłam do pracy. Matki nie było stać na studia dla obu córek, więc zahaczyłam się na chwilę w biurze, w fabryce fajansu. I tak już zostało na lata. Kiedy Helena urodziła Jagodę, mama była jeszcze w miarę sprawna, chowała więc wnuczkę i nie narzekała. Jak było do przewidzenia, owo „na chwilę” zostało już na zawsze. Ale mamie to nie przeszkadzało, Jagoda była jej oczkiem w głowie, ukochanym dzieckiem ukochanej córki. Kiedy mama zmarła, Jagoda miała trzy latka. Wówczas Helena wzięła ją do siebie... na miesiąc. Okazało się, że jej aktualny narzeczony, (późniejszy mąż Heleny, Andrzej P.) nie chce jej z dziec-

kiem. Moja siostra niewiele myśląc spakowała córkę i przywiozła do mnie. To był ostatni raz, kiedy ją widziałam.

Nie chcę się teraz rozwodzić, jak się z tym czułam czy też czym się kierowałam przy podjęciu decyzji i nie zamierzam robić z siebie bohaterki. Powiem krótko: Helena zrzekła się praw do Jagody, a ja ją adoptowałam. Kierowało mną wyłącznie poczucie odpowiedzialności. Tak mnie niechcący wychowano.

Nigdy nie wzbudziłam w sobie uczuć macierzyńskich, nie umiałam. Nie byłam tkliwa, czuła ani szczególnie wylewna. Ale jestem przekonana, że zajmowałam się Jagodą tak dobrze, jak tylko potrafiłam. I nigdy nie dałam jej odczuć, że nie jestem jej prawdziwą matką. Bo Jagoda o tym nie wiedziała. Nie miała prawa wiedzieć, była za mała. Zastanawiało mnie więc teraz, jak to możliwe, że tak łatwo pogodziła się z moim zniknięciem? Ba! I tak swobodnie kłamie, że jestem chora i dlatego nie zajmuję się firmą. Przecież Jagoda (poza tymi swoimi fochami) w żadnym wypadku nie była złym dzieckiem, była uczuciowa, pomocna, wrażliwa. Co tam się stało, że dała się Filipowi przekonać do tej gry? Bo teraz byłam już pewna, że to on stoi za tym wszystkim. Tak! Niedługo przed wydarzeniami w Ł. odkryłam, że miał kochankę. Tę właśnie, długonogą i długowłosą eteryczną brunetkę, z którą wcześniej kilka razy go widziałam. No jasne. Facet niemal dwukrotnie młodszy ode mnie, przystojny, mój podwładny rzecz jasna – i ja, właścicielka ogromnej, dochodowej firmy, elegancka, zadbana – ale po czterdziestce. Klasyka! Takich historii pełno jest w kobiecych pismach, w artykułach internetowych i telewizyjnych talk-show. I zawsze kończą się jednakowo, nie wyłączając mojej: koleś znajduje sobie młodszą. Dlaczego więc weszłam w taki układ? Dlaczego sądziłam, że ze mną będzie inaczej? Bo... uważałam chyba, że on mi się po prostu należy. Że ten czarujący, śliczny mężczyzna w garniturze (i bez), jest mi przypisany niejako z urzędu.

•

Kiedy Jagoda zamieszkała ze mną w charakterze mojej córki, coś we mnie, jak się to popularnie mówi, pękło. Uznałam, że pora zająć się sobą, zadbać o siebie i przestać w końcu zbierać wszystko po Helenie, łącznie z dziećmi. Zapisalam dzieciaka do przedszkola, a siebie na zaoczne studia, zarządzanie i marketing, co wówczas było kierunkiem oryginalnym i pożądanym. Radziłam sobie jak mogłam: i z dzieckiem, i z pracą, i nauką. Na weekendy zatrudniałam opiekunkę, w czasie sesji egzaminacyjnych również korzystałam z jej usług. Doświadczenia nabyte w pracy i wiedza ze studiów pozwoliły mi otworzyć własny, niewielki zakład produkcyjno-handlowy. Tak się złożyło, że branża, w której zaczęłam działać była w owych czasach pożądana na rynku, a ja, na bieżąco odpowiadając na popyt, rozbudowywałam firmę i kształtowałam markę. W międzyczasie przeprowadziłam się do W., i tam przenieśliśmy cały swój biznes.

Dziś... a raczej „wczoraj”, byłam przykładem kobiety sukcesu, niezależnej, bogatej, z której wielu pragnęło czerpać wzory, ale i wielu zazdrościło do bólu. Te niemal dwie dekady powodzenia i dostatku utwierdziły mnie w przekonaniu, że Filip jest częścią tego dobrobytu, na który sobie zapracowałam i który bezsprzecznie mi się należy. On widać był podobnego zdania, a w każdym razie jego pierwszej części. I tak też się czułam. Kochanki wypierał się oczywiście do żywego mięsa, a kiedy podstawiłam mu pod oczy dowód w postaci SMSa o treści: „kocham, kocham, kocham, weekend w Wiśle był cudowny, Arleta” (miało być spotkanie biznesowe w Poznaniu), zaproponował mi układ. Miał polegać na tym, że on, Filip, nadal ze mną będzie jak do tej pory, będzie mnie wielbił, zasypywał komplementami i prezentami (za moje pieniądze) i sypiał ze mną (!), jakby nigdy nic, a ja w zamian za to... przymknę oko na jego romans. Dosłownie, zabrakło mi słów. Ale kiedy już je odzyskałam, oznajmiłam mu, że nie jestem aż tak złałkioną jego towarzystwa i że uprzejmie dziękuję, ale nie korzystam z używanych przedmiotów osobistego użytku, w tym facetów. Zdaje się, że Filip nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Nie pamiętam zbyt dokładnie ostatnich chwil z nim spędzonych, ale w istocie, tak jak w moim śnie, coś mi dolegało. Bolała mnie klatka piersiowa i brzuch.

Mniejsza z tym, z pewnością jeszcze sobie wszystko przypomnę, a nawet jeśli nie, przynajmniej wiem, kto maczał w tym wszystkim paluchy. Tylko przykre było, że posunął się aż do próby zabójstwa. To kładło się głębokim cieniem na szczerości jego uczuć do mnie. A jeszcze nie dalej jak na dzień przed tym feralnym SMS-em byłam całkowicie przekonana, że on naprawdę mnie kocha...

A co z Heleną? Czy ją również postanowił zabić? Czy w jej przypadku mu się to udało? Nie chciałam teraz się nad tym zastanawiać. Postanowiłam działać przemyślanie.

No cóż... Wszystkie swoje osiągnięcia zawdzięczam głównie umiejętnościom przewidywania i planowania. Dlatego najpierw postanowiłam sporządzić solidny plan, a potem, kroczonek po kroczoneku, wykonać jego poszczególne elementy. Precyzyjnie i bez pośpiechu. Bo zemsta podobno najlepiej smakuje na zimno...

••

Demony przeszłości dalekiej i bliskiej

Zaczęłam pracę nad trzecim scenariuszem. Tym razem reżyser postanowił dla odmiany obsadzić mnie w ponurym dramacie. Teatr w Ł. raczej rzadko wystawiał takie rzeczy, bo po prostu nie było na nie popytu. Pomyślałam nieskromnie, że tym razem podjęto taką próbę ze względu na mnie. Przyjęłam tę rolę chętnie, zwłaszcza że miałam się wcielić w samotną, porzuconą przez męża, matkę nieuleczalnie chorego dziecka. Temat był więc dla mnie prawie aktualny. Chciałam się poczuć jak matka, pojąć specyfikę tych uczuć, które każą wyrzec się wszystkiego, zaprzecić się samej siebie i bez najmniejszego wahania i żalu poświęcić się w całości. Jak moja matka dla Heleny. Ciekawa byłam, czy i we mnie drzemią gdzieś załązki tych uczuć, które mogłyby się rozwinąć, gdybym miała własne dziecko w odpowiednim czasie i z odpowiednim mężczyzną? W tej roli oraz najgłębszych pokładach mojej duszy zamierzałam znaleźć na te pytania odpowiedź.

Coraz częściej dochodziłam do wniosku, że zawód aktorki może być rzeczywiście niezwykle pasjonujący, ale to zależy od tego, jaką się przyjmie hierarchię wartości. Bo jeśli dla kogoś priorytetem będzie sława, kasa i tłumy fanów, wówczas sedno tego zawodu, czyli talent i warsztat, nie mają wielkiego znaczenia. Zresztą w dzisiejszych czasach można dojść do tego wszystkiego nie będąc aktorem. Ba, nie będąc nikim szczególnym... Jeśli zaś istotą rzeczy jest prawdziwa pasja, pragnienie przyglądania się człowieczeństwu od wewnątrz, we wszystkich jego aspektach, kontakt z widzem na zasadzie prawdziwego, wewnętrznego porozumienia, nie zaś płytkiej fascynacji – wówczas aktor naprawdę jest aktorem.

Być może nieszczęście Heleny polegało na tym, że stała się gwiazdą, zanim dojrzała do prawdziwego aktorstwa? Ja nigdy nie miałam zapędów gwiazdorskich, a w aktorstwie zaczęłam rozsmakowywać się dopiero wówczas, gdy osiągnęłam wystarczające poczucie własnej wartości na całkiem innym polu. Mogłam więc do woli żyć sobie teatrem, bo naprawdę nie miałam typowych aktorskich aspiracji.

Miałam dużo pracy. Ale nie narzekałam. Kiedy prowadziłam firmę, mój czas również wypełniony był maksymalnie, byłam więc przyzwyczajona. Zresztą powoli wpadałam w rutynę: próby – występy – dom – ubogie życie towarzyskie, czyli dość rzadkie spotkania z ziomkami lub staruszką-

-sąsiadką. A między tym wszystkim próby ułożenia strategii dla rozwiązania kilku zagadek i wyprostowania moich spraw. I ukarania winnych...

•

Zima powoli miała się ku końcowi, minęła szybko zarówno dla mnie, jak i dla moich kumpli. Dla mnie – bo w natłoku zajęć nie przywiązywałam wagi

do upływu czasu, dla nich – bo się nie dłużyła z powodu dotkliwego zimna i związanych z nim niewygód. Jesienią, jak tylko temperatura opadła poniżej dziesięciu stopni, zaopatrzyłam moich znajomków w cztery grzejniki na butle gazowe i ciepłe śpiwory, przeżyli więc ten okres wyjątkowo spokojnie. Wigilię chciałam urządzić dla nich u mnie w domu, ale nie chcieli z wiadomego powodu. Wpadłam więc do nich do „apartamentowca” z opłatkiem i drobnym upominkami, a wieczerzę zjadłam u sąsiadki, gorąco przez nią zapraszana już od początku grudnia. Było miło. W czasie łamania się opłatkiem życzyła mi stabilizacji życiowej i płynącego z niej szczęścia. Ja zaś życzyłam jej długiego życia w zdrowiu i dobrej kondycji. Zapytałam przy tej okazji, jakim cudem czuje dziś do mnie choć trochę sympatii, skoro ja z pewnością napsułam jej niegdyś wiele krwi. Odparła, że dla niej zawsze byłam miła, nawet w najgorszych okresach. Bo – jak podsumowała swoją wypowiedź – dobre ze mnie dziecko było, tylko zagubione. I że bardziej czuła dla mnie litość niż gniew.

Moje śledztwo posuwało się w tym okresie raczej mozolnie, ale mimo to dowiadywałam się czasem czegoś o Helenie. Nie były to co prawda żadne istotne dla sprawy rewelacje, a raczej cegiełki służące budowie jej psychologicznego portretu. Bo z dzisiejszej perspektywy coś, co niegdyś było dla mnie całkiem oczywiste: czarne albo białe – nabierało zupełnie nowych znaczeń i odcieni. Dziś zamiast ferowania jednoznacznych osądów częściej zadawałam sobie pytanie: dlaczego? A wówczas sprawy traciły na oczywistości, a kryteria moich ocen stawały się o wiele bardziej skomplikowane.

•

Próby mojego dramatu odbywały się pełną parą, a nawet miały się już ku końcowi. Jego premiera miała mniej więcej zbiec się z urodzinami Jagody. Byłam coraz bardziej podniecona zarówno jednym jak i drugim, wcześniej jednak zdarzyło się coś, co zaburzyło moje perfekcyjnie poukładane zamierzenia. Nadal graliśmy dwa poprzednie spektakle ze mną w roli głównej, choć komedia romantyczna po premierze nowej sztuki miała zejść z afisza. Tymczasem był na nią nadal dość spory popyt. I w trakcie tego właśnie spektaklu, bliżej początku, gdy rozkręcałam się w monologu na temat pozytywów i negatywów życia we dwoje, na widowni dostrzegłam... Filipa! Ten moment wymagał ode mnie znacznie więcej zdolności aktorskich niż obie moje role razem wzięte. Na ten jeden ułamek sekundy zatrzymało się wszystko, tak jak czasem pokazują to w filmach. Jestem przekonana, że w ekstremalnych sytuacjach naprawdę czas staje w miejscu, by pozwolić człowiekowi na ocenę sytuacji i podjęcie decyzji. Doświadczyłam już kiedyś czegoś podobnego, gdy wypadła mi z rąk ulubiona filizanka Heleny, którą przywiozła sobie z Japonii. Od momentu, gdy ją upuściłam, do chwili gdy dotknęła podłogi, zobaczyłam przed oczami obie możliwe ewentualności wraz ze wszelkimi odmianami

konsekwencji. Filizanka jakimś cudem pozostała w całości do dziś, jest u mnie w mieszkaniu, w W.

Filip na szczęście był sam, bo nie wiem, czy w innym przypadku byłoby mnie stać na takie opanowanie. Wiedziałam jedno: ani przez moment nie mogę dopuścić do kontaktu wzrokowego. I wytrzymałam, do końca nie dając niczego po sobie poznać. Ale czekał mnie jeszcze jeden sprawdzian: w czasie braw Filip podszedł pod samą scenę i wrzucił na nią bukiet kwiatów, kierowany ewidentnie do mnie. Podniosłam go i wróciłam do szeregu, by wraz z kolegami kontynuować ukłony i rozplływać się w uśmiechach. Dopiero w garderobie, nie mogąc odkleić kostiumu od spoconego ciała, przekonałam się, ile wysiłku kosztowało mnie to wszystko. Drżały mi dłonie i kolana, czułam silne mdłości i wszechogarniającą słabość. Nie, nie z wściekłości na byłego gacha, ale ze strachu... Bo nie umiałam sobie wytłumaczyć zbiegiem okoliczności faktu, że znalazł się na widowni. Jeśli targnął się na moje życie, musiał później jakoś śledzić dalszy rozwój wypadków, ale z chwilą, gdy złożono mnie do grobu, pewnie dał sobie spokój. A teraz musiał się jakoś dowiedzieć, że jednak żyję. Nie sądziłam, że do tego dojdzie, nie udzielałam się w mediach, a Filip nigdy nie był miłośnikiem teatru, rozrywkę lubił lekką, przyjemną i niewymagającą żadnej fatygi, a mianowicie na ekranie telewizora. Nawet do kina trudno go było wyciągnąć. Aż tu nagle zadał sobie trud przybycia do Ł.! Przypuszczam, że chciał mnie zobaczyć na własne oczy. A potem pewnie, podchodząc tak blisko, chciał wy badać, czy go nie rozpoznam. Niestety, nie mógł mieć takiej pewności. To znaczy mógł, ale tylko wówczas, jeśli się dziś upewnił, że naprawdę straciłam pamięć. Ale... czy się upewnił? Na pewno bał się prawie tak samo jak ja. Już mogło mu nawet nie chodzić o moje pieniądze, ale o ryzyko, że zdemaskuję go jako mordercę...

Ciarki przeszły mi po plecach. Tak jak stałam, w szlafroku, z na wpół zmytym makijażem pobiegłam do garderoby Piotra.

– Czy ja mam jakieś dejavu? – spytał. – Bo już mi się chyba coś takiego zdarzyło. O Boże, co ci jest? Heleno?

Widać teraz dopiero przyjrzał mi się uważnie. Przestraszony moją upiorną bladością podbiegł do mnie i złapał mnie za rękę.

– Co się stało? Chcesz koniak?

Nie czekając na odpowiedź wcisnął mi w rękę niemal pełną lampkę. Wypiłam jednym haustem. Po chwili krew zaczęła mi krążyć od nowa, a oddech odzyskał tempo.

– Coś się stało? – Piotr powtórzył pytanie.

– Nie, to... tylko emocje.

– Za bardzo się spalasz. Tak się nie gra! Musisz sobie wyznaczyć granicę, do której pozwolisz roli zawładnąć sobą. Inaczej się wykończysz albo zwariujesz.

– Nie szkodzi. I tak nie mam nic lepszego do roboty. Nie mam dla kogo się

oszczędzać.

– Mogłabyś mieć... gdybyś tylko chciała – Piotr popatrzył na mnie przeciągle.

Wyciągnęłam rękę z pustym kieliszkiem, skinieniem głowy domagając się powtórki. Piotr podał nalał mi kolejną lampkę bez protestu.

– Ale nie chcę. To... spała znacznie bardziej.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Czy to... Andrzej tak cię zraził do życia i ludzi?

Domyśliłam się, że chodzi mu o męża Heleny. Czyżby oni się znali? – zaniepokoiłam się. – A może znali się i z Heleną? Kiedy zobaczyłam Piotra po raz pierwszy, przedstawił mi się, co znacznie mnie uspokoiło. Ale może uznał, podobnie jak babcia sąsiadka, że powinnam mieć jakąś zaćmę poalkoholową i zwyczajnie mogę go nie pamiętać?

– No cóż... Myślę, że ktoś jest dla kogoś bardzo ważny, może przewartościować całe jego życie – odparłam wymijająco.

– Nadal go kochasz?

– Nie. Mogłabym go nienawidzić, ale nie mam na to sił. Mogłabym mieć do niego żal, ale to ja jestem sobie winna. Raczej... się go boję.

Piotr mówił o Andrzeju P., a ja o Filipie. Myślę jednak, że odpowiedź Heleny mogłaby być podobna.

– Ten temat sprawia ci przykrość?

– Nie. To już przeszłość. Dzięki za koniak – podniosłam się z miejsca, licząc na to, że Piotr zaproponuje mi podwiezienie do domu.

– Podwieźć cię do domu? – spytał, jakby czytając w moich myślach.

– Będę wdzięczna, daj mi kwadrans, okej?

Przyszło mi do głowy, że jeśli Filip pofatygował się aż tutaj, to pewnie nie po to, by zaraz po spektaklu wracać do domu. Być może czai się więc gdzieś w pobliżu, żeby... No, nie, niekoniecznie od razu mnie zabić, ale na początek pospieszować. Towarzystwo Piotra przyda mi się zatem: doda mi odwagi, a poza tym, jeśli Filip uzna, że kogoś tutaj mam, może to go uspokoi?

Tymczasem udało mu się skutecznie wybić mnie z rytmu. A to nie tak miało być. To ja miałam go dręczyć i deptać mu po piętach, a nie on mnie...

•

– Wejdiesz na herbatkę? I na pogaduchy? – spytałam, gdy Piotr zatrzymał się pod moim domem.

– Mogę? – zdziwił się radośnie.

– Jeśli nie uważasz, że jest za późno, zapraszam.

Miałam wielką nadzieję, że nie zrozumie opacznie mojego zaproszenia. Nie

chciałabym bowiem popsuć dobrze rokujących stosunków między nami. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, dostrzegłam jakiś cień przemykający koło mojej furgonki. Poprosiłam Piotra, aby szedł pierwszy.

– To ty? – coś nagle wyskoczyło z ciemności, łapiąc Piotra za rękaw.

– Nie, to Piotr. Ja jestem tu – odparłam głośno, rozpoznając w tajemniczej postaci Szczelbę.

Piotr wzdygnął się zaskoczony, ale na nie mniej zaskoczoną wyglądała także Szczelba.

– No co ty, czaisz się na mnie w krzakach, zamiast usiąść jak zwykle na werandzie i uczciwie poczekać?

– A... nie! Nie czaję się, tylko... mnie zaskoczyłaś.

– Ja? – roześmiałam się ubawiona sytuacją. – To ty mnie straszysz, a ściślej mówiąc, mojego gościa.

– Masz gościa?

– A nie widzisz?

– No to już pójdę sobie...

– Ej, Szczelba, stało się coś? A może potrzebujesz czegoś?

– Nie, tak tylko... przyszłam zobaczyć, jak się czujesz... – mruknęła i poszła.

Poczęstowałam Piotra herbatą i sernikiem sąsiadki. Delektował się wypiekiem z widoczną przyjemnością i ciekawie rozglądał się dookoła.

– Ładnie tu u ciebie. Tak stylowo – zagaił. – Ale jakbym ten wystrój już skądś znał.

– Bo to zasługa naszych scenografów. I dyrektora – roześmiałam się z jego miny. – W tym domu niestety nie było niczego, prócz smutku i beznadziei... – dodałam poetycko.

– A teraz są i meble, i radość, i nadzieja? – spytał Piotr przekornie.

– Z całą pewnością są meble. Szkoda że prowadzisz, mogłabym się zrewanżować lampką koniaku – spróbowałam dać mu do zrozumienia, że moje zaproszenie nie miało w ofercie śniadania.

– Nic nie szkodzi – odparł Piotr bez cienia rozczarowania. – Ale jeśli chodzi o ciebie, nie krępuj się. Tylko... e.... czy ci nie zaszkodzi?

– Zdaje się, że już ostatnio poruszyliśmy tę kwestię. I chyba ci to jakoś wyjaśniłam? Czy nie?

– Nie, właśnie...

– No więc odpowiem ci, że mi nie zaszkodzi. Gdybyś spytał jaśniej, odpowiedziałabym ci jaśniej.

– Przepraszam, nie chciałem być niedelikatny – zmieszał się Piotr.

– Jeśli już masz za coś przepraszać, to za to właśnie. Że chciałeś być delikatny. Czasem naprawdę mam już powyżej uszu tej obłudy i zakłamania. Przecież

wszyscy doskonale wiemy, że ledwie co wygramoliłam się z rynsztoka. Nie możesz zapytać wprost?

Piotr spojrzął na mnie i spuścił głowę.

– Jakoś nie...

– Aha. Wobec tego wypiję ostatnią już dziś lampkę, za twoje zdrowie.

– Jak to zrobiłaś? – spytał po chwili Piotr.

– Co?

– No, że teraz potrafisz to kontrolować. Znaczący picie.

– Samo mi się zrobiło – wzruszyłam ramionami. – Ja to tylko odkryłam. Może to jakiś cud, a może jakieś nieznanne dotąd biologiczny mechanizm. Nie wiem. Ale cieszę się z tego.

– I ja się z tobą cieszę – szepnął Piotr. – Co zamierzasz?

– Tak w ogóle?

– No.

– Nic. Będę żyć tym, co mam. Nie potrzebuję niczego więcej – odparłam jako Helena.

Zauważyłam, że oprócz wcielania się w role na scenie – gram także czasem prywatnie Helenę. I nie chodzi mi o udawanie jej przed kompanami czy kolegami z teatru. Mam na myśli autentyczne wchodzenie w jej postać, jak teraz. Zazwyczaj zdarzało mi się to w bardziej osobistych rozmowach, jak dziś z Piotrem czy czasem z sąsiadką. Sięgałam wówczas w głąb siebie, prowokowałam wzbudzenie uczuć adekwatnych do sytuacji, a dopiero potem wyrażałam je przy pomocy słów i emocji. I to nie było wyobrażenie tych uczuć, to były one same, w najczystszej postaci. Tak samo postępowałam na scenie, co przed chwilą tak wyraźnie potępił Piotr. Może to był talent, a może jakaś psychiczna anomalia, nieważne. Ważne, że dzięki niej udawało mi się żyć i funkcjonować.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz niczego więcej? A może niczego więcej nie chcesz potrzebować? – ciągnął temat Piotr.

– A co to za różnica? – wzruszyłam ramionami.

– Kolosalna. Bo jeśli naprawdę niczego nie potrzebujesz, to znaczy, że jesteś spełniona. A jeśli tylko udajesz, to oznacza, że tłumisz swoje potrzeby, pragnienia. A to zawsze jakoś w końcu z człowieka wylezie.

– Z ciebie wylazło? – próbowałam zażartować.

– Owszem. Z ciebie też wylezie, zobaczysz.

– Nie, nie wylezie! – ucięłam krótko. – Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Może moje pytanie nie zabrzmiało zbyt grzecznie, ale czułam już od jakiegoś czasu, że Piotr próbuje się do mnie zbliżyć. I chciałam wiedzieć, dlaczego. Piotr nie obraził się, widać zrozumiał je właściwie.

– Jakby ci tu powiedzieć... – zawahał się. – Sam nie wiem. Wiem, czego mógłbym chcieć, ale staram się nie dopuszczać do siebie tej myśli. A tak na dziś?

Chciałbym cię chronić, wspierać, służyć ci pomocą, gdy tylko będziesz jej potrzebowała. To tyle...

– Dlaczego?

– Bo... kiedyś cię kochałem. Nie wiesz o tym, nigdy nie dałem tego po sobie poznać, bo wybrałaś Andrzeja.

A więc jednak znaleźliśmy się w przeszłości – rzuciłam mu szybkie, lękliwe spojrzenie.

– No widzisz? Nawet mnie nie kojarzysz. Ale nie miej wyrzutów sumienia, grywałem wówczas ogony tam, gdzie ty byłaś gwiazdą.

Ulżyło mi. Skoro tak, miałam prawo go nie pamiętać.

– Nie mogłem patrzeć, jak Andrzej cię traktuje, słuchać o tym, jak cię osacza, izoluje, ubezwłasnowolnia. I jak ty się z czasem temu poddajesz. W końcu nasze środowisko jest dość niewielkie, tu niczego nie da się ukryć. Wyjechałem z Ł. na parę ładnych lat. I powiem ci, że bardzo tego żałuję. Niedługo po moim wyjeździe dowiedziałem się, że już nie jesteście razem, ale nie chciałem wracać. Nie chciałem rzucać wszystkiego po raz drugi, wyłącznie dla mrzonek, które mogły się nie ziścić. Kiedy cię zobaczyłem ponownie, wszystko powróciło. To znaczy... nie tak, jak myślisz. Wbiłem sobie po prostu do głowy, że gdybym wówczas nie wyjechał, może zdołałbym cię uratować... Oszczędzić ci tych paru lat samotności, upokorzeń, cierpienia... i...

– ... włączenia się po melinach – dokończyłam za niego.

– Tak – przyznał Piotr. – I dlatego chciałbym ci to jakoś dziś wynagrodzić... Nie wiem jak. Nawet jeśli nie pozwolisz mi się bardziej do siebie zbliżyć, chcę być gdzieś obok i pilnować, żeby już nikt nigdy się nie skrzywdził. Rozumiesz?

Rozumiałam. Bo... powoli zaczynałam czuć to samo. Kiedy opowiadał mi o Helenie, o jej toksycznej miłości do niewłaściwego faceta, wyobraziłam sobie jej bezradność, lęk, rozpacz... A potem tę samotność i pustkę, którą w końcu wypełnili jej kumple z „apartamentowca”. Bo nie było już mamy, do której zawsze biegła z każdym najmniejszym problemem... Do mnie nie przyszła. Nie miała odwagi...

Poczułam wilgoć pod powiekami. – Gdzie ona jest teraz? – zadałam sobie po raz któryś to pytanie. Wiele bym dała, by móc ją zobaczyć, całą i zdrową. Miałam nadzieję, że Filip nie pozbył się jej, aby zrobić miejsce dla mnie. Nie, zdecydowanie nie chciałam w tej chwili o tym myśleć.

– Co jest? Wszystko w porządku? – Piotr dotknął mojej ręki.

– Tak, jak najbardziej – uśmiechnęłam się mizernie.

– Mam już iść?

– Tak, chyba tak będzie lepiej. Muszę... zostać teraz sama.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłem ani nie powiedziałem niczego złego?

– Nie, no jasne że nie. Tylko... To wszystko to już przeszłość i tak ją potrak-

tuj. Zamierzchła i nieodwracalna. Nie wyrzucaj sobie niczego, proszę. To nie ma najmniejszego sensu, sama sobie jestem winna i tyle.

– Zmanipulował cię, omotał, a teraz żyje sobie w stolicy, jakby nigdy nic!

– Mogłam się nie dać. I ja też sobie żyję, jakby nigdy nic. Tylko że nie w stolicy, bo to za małe miasto dla nas obojga – próbowałam żartować. – Nie obwiniaj nikogo za moją głupotę. Ani siebie, ani jego.

– Wiesz, Heleno? – Piotr zatrzymał się jeszcze na schodach. – Podziwiam cię. Dziś podziwiam cię jeszcze bardziej niż kiedyś.

– Nie masz ku temu najmniejszych powodów – mruknęłam do siebie, gdy już zamknęłam za nim drzwi.

••

Siedem trąb Apokalipsy

Wizyta Filipa w teatrze sprawiła, że postanowiłam przyśpieszyć realizację moich planów. Nie mogłam biernie czekać, aż to on przejmie inicjatywę. Doszłam również do wniosku, aczkolwiek bardzo niechętnie, że nie poradzę sobie sama i że pora wyjawić komuś mój sekret. Komuś zaufanemu, pomocnemu i na tyle mi oddanemu, aby trwał przy mnie w czasie tych rozrachunków na dobre i na złe, a także na tyle odważnemu (bądź zdesperowanemu), żeby nie wymiękł w trakcie, choćby nie wiem co się działo. Na początek pomyślałam o Piotrze. Jestem pewna, że mogłabym na niego liczyć, ale brakowało mu dwóch rzeczy: spontaniczności i fantazji. Zostali mi już zatem tylko moi kołesie, a przynajmniej któryś z nich. Ci zaś fantazji mieli od groma, liczyć też pewnie na nich mogłam, w każdym razie Helena mogła...

Bałam się, jak zareagują na moją opowieść, ale byłam zdecydowana. Najlepiej wszystkie te kryteria spełniał Potocki, poza tym lubił mnie chyba w jakiś szczególny sposób. To znaczy... lubił Helenę. Korzystając z wolnego popołudnia wybrałam się do Tesco, by zastać moje bractwo w miarę dobrym stanie. Szłam na piechotę, lubiłam te pierwsze symptomy wiosny, kiedy wszystko budzi się dookoła, a w powietrzu czuć zapach ogrzewającej się w promieniach słońca ziemi. – Jeszcze trochę i zakwitną jaśminy – pomyślałam, niemal czując woń kwiatów mojego ulubionego krzewu. Ulubionego Heleny również... Jedyną rzeczą, w której zgadzałyśmy się z sobą w zupełności, były gusta. Zawsze podobało nam się to samo: ciuchy, kolory, chłopcy, muzyka, zapachy. Pewnie stąd tyle krzewów jaśminu w jej ogrodzie...

– Witaj, madam – Potocki zaskoczył mnie, wyłaniając się nagle zza wiaty na wózki.

– Uszanowanie, księciu! – uradowałam się na jego widok. – Co tam u was?

– Wszystko w normie. Je się i pije, to się żyje. A poza tym... nie widziałem cię już z tydzień.

– No tak, trochę zabiegana jestem ostatnio, ale już śpieszę wszystko nadrobić. Gdzie reszta?

– Pracują. A ja... – Potocki rozejrzał się wkoło i ściszył głos – troszkę się objam.

– Ejże, nic ci nie dolega? – dopiero teraz zauważyłam, że Potocki jeszcze bardziej zmizerniał.

– No co ty! Po prostu oszczędzam czasem swoją szlachetną osobę. Dla dobra narodu, rzecz jasna.

– Rzecz jasna.

– Szczelba marudzi, że mało się ostatnio dorzucam do kasy, ale taki od zawsze był porządek na świecie: jedni pracowali, a drudzy błyszczeli aparycją i mądrością. Czyż nie?

– Jasne – zgodziłam się z entuzjazmem. – I doprawdy, aparycja twoja dziś powala mnie z nóg!

Potocki tym razem miał na sobie zieloną aksamitną marynarkę, srebrne spodnie, raczej damskie, z brokatowego materiału, włosy zaś upiął z tyłu czarną kokardą. To nasunęło mi pewną myśl. Postanowiłam wydebić z teatru jakiś osiemnastowieczny strój szlachecki i ofiarować go kumpłowi.

– Dzięki, wiem – odparł księciu nieskromnie i wsadził mi w rękę cztery złote. – Tyle mam – dodał zmieszany.

– Daj spokój, dziś ja stawiam. I wiesz co? Masz tutaj – wyłuskałam z portfela wszystkie drobne i wręczyłam mu razem z jego czterema złotymi. – Stawiamy razem, okej?

Potocki otarł usta szerokim gestem, a następnie ucałował mnie w dłoń.

– Mersi, madam. A co u ciebie?

– No właśnie... Chciałabym o tym z tobą pogadać, na osobności.

W tej chwili niby z podziemi wyrosły Szczelba i Gangrena.

– No to fajrant na dziś, dobrze rozumię? W takim razie lecę po chłopców – spytała Gangrena i nie czekając na odpowiedź ruszyła w głąb parkingu. Szczelba w tym czasie przyglądała mi się spode łba.

– Co jest, koleżanko, czemu się tak boczysz? Gniewasz się za wczoraj? – spytałam. – Ale to przecież ty nie chciałaś wejść na herbatkę!

– Nie gniewam się... tylko się gorszę. Że kobieta, panienka prawie, chłopów obcych po nocy do domu ściąga – zarechotała, mrugając do Potockiego.

– Nie obcych, tylko kolegę z pracy – sprostowałam. – Miałam z nim do gadania.

– To też nie chciałam zawadzać w tym gadaniu i poszłam.

– Ale co mnie nastraszyłaś, to moje – powiedziałam z wyrzutem. – A w ogóle, to lampy świeciły i nie było aż tak ciemno, żeby mnie pomylić z roslym facetem. Głupio ci teraz?

Szczelba zmieszala się autentycznie.

– E, tam. Zawiana byłam odrobinę. I dajmy już spokój tym rozgaworom, bo się przeciąg w gębie robi i migdały obsychają.

– Słusznie – poparł ją Byku, który właśnie się pojawił z całą resztą kompanii.

– W takim razie lećcie i zróbcie zakupy – wręczyłam mu banknot o niepoślednim nominale.

– O czym chciałaś pogadać? – spytał Potocki, kiedy zostaliśmy znacząco w tyle.

– Wiesz co? – zawahałam się. – Chyba już o niczym.

Mój kumpel ledwo za mną nadażał, chociaż szłam zupełnie powoli. Ewidentnie coś mu dolegało.

– No jak? Tak nagle zmieniłaś zdanie?

– Powiedz lepiej, co ci dolega. Nie jesteś w najlepszej formie i to widać.

– Aaaa... w takim razie już wiem. Zamierzałaś mnie prosić o rękę, ale się rozmyśliłaś, sądząc że ci nie sprostam, czy tak?

– I tak, i nie – odparłam ze śmiechem. – Bo nadal życzę sobie wyjść za ciebie, choćby ze względu na tytuł i nazwisko. Reszta jest nieważna.

– No to staraj się, staraj się dziewczyno, a kto wie?

– Trzymam za słowo. A tak na serio? Co ci jest?

– Nic. Przeziębłem się trochę jesienią i tak mnie trzyma. Na oskrzela mi siedło. Ale to nie choroba, nie dla takich harcerzy jak my.

– Skoczę wobec tego do apteki i kupię ci coś. Jakieś syropy, tabletki...

– Ani mi się waź! Nie tknę niczego z tych świństw. Ja lecę się homeo... homeopatycznie!

– Oszalałaś? To znaczy... nie mam nic przeciwko homeopatii, ale wiem, że łącesz. Czemu nie chcesz się leczyć? Gadaj!

Potocki spuścił głowę i milczał.

– No? Mów!

– Przecież wiesz...

– Nie, nie wiem.

– Musiałbym dokonać wyboru. Oszczędź mi tego!

Spojrzałam na niego uważnie. Naprawdę nie wyglądał dobrze. Chudy, żółty na twarzy, z podsinionymi oczami. I taki przejmująco smutny. Widać choroba rzeczywiście mu dokuczała, a co do wyboru... z pewnością już go dokonał. Postanowiłam to uszanować. Postanowiłam też nie obarczać go moimi problemami. I tak nie byłby w stanie mi pomóc, a po co obciążać mu dodatkowo mózgowicę?

– Okej, a zatem, na bankiet! – rzuciłam komendę, widząc naszych ziomków objuczonych zakupami.

– Tak jest, madam. Na bankiet – ucieszył się Potocki.

•

Jedyne, co się zmieniło w relacjach z kumplami od czasu „mojego” powrotu na scenę to to, że nie pozwalałam sobie już na towarzyskie plenery. Owszem, od czasu do czasu brałam udział w imprezach w „apartamentowcu”, ale już nie pod gołym niebem. W ten sposób, uważam, zachowana została równowaga pomiędzy mną i moimi przyjaciółmi, mną i resztą społeczeństwa Ł., a także mną i mną. I nikt nie miał mi tego za złe. Dziś miałam wielką ochotę na lampkę mojego ulubionego koniaku, ale nie wypadało mi raczyć się czymś tak bardzo innym niż reszta grupy. Kiedyś podjęłam próbę i przyszłam z wizytą zaopatrzona w sporą butelkę tego cud-

nego trunku, a moi kompani od razu przeliczyli ten wydatek na ilość flaszek ich tradycyjnego napoju. Od tej pory raczyłam się na „bankietach” również winem, ale nieco innego gatunku. Dziś było podobnie. Kombinowałam jednocześnie, kogo by teraz wytypować na mojego pomocnika i padło mi na Szczelbę. Brałam też pod uwagę zaangażowanie wszystkich, gdyby była taka konieczność, ale na to zawsze był czas.

– Bo wiele za tym przemawia, bracia i siostry! – mamroczący coś do tej pory Potocki podniósł głos i przybrał ton patetyczno-kaznodziejski. – Siedem trąb, siedem smoków, i... siedem...

– ...grzechów głównych – podrzucił mu uczynnie Rajmund.

– Nie, nie grzechów... Tylko tych... no... – Potocki dumiał i skrobał się po skąym zaroście.

– Plag egipskich! – wyrwała się Szczelba.

– Tak! Plag! – ucieszył się Potocki. – Ale że nie egipskich.

– Ino jakich? – zdziwiła się Szczelba.

– Ogólno... światowych. Trąb i plag. I one wszystkie po kolei właśnie się wypełniają.

– A mówił ci o kalendarzu Majów? – spytała Gangrena.

– Nie, ale sama o tym gdzieś czytałam.

– Bo według Potockiego – uniosła w górę palec Gangrena – tenże kalendarz miał skończyć się w maju.

– I wtenczas miał nastąpić koniec. Srrrru!!! I po ptokach – dodał Rajmund.

– Nie w maju, tylko Majów! – sprostował Potocki. – A skończyć się miał w grudniu, ale się okazało, że był błąd w obliczeniach. Nie bój nic, co się odwlecze, nie utonie! Grudniów ci u nas dostatek.

– No jak? Nasz kalendarz też się kończy w grudniu i jeszcze ani razu na tom okoliczność końca nie było. Owszem, był Sylwester. A potem apiać wszystko od nowa – zauważył rzeczowo Byku.

– Ale... czk! Teraz nie będzie... czk! Apiać i od nowa – oznajmił Potocki czkając. – Mówią też o tym... czk! Różne prze... e... czk!...powiednie.

– Taki Paternoster na przykład – błysnął wiedzą Rajmund. – On już ze sto lat temu nazad wszystko wiedział, co będzie. Nawet to, że ty tu teraz będziesz siedziała i wódkę piła!

– To gównie wiedział – zauważyła Szczelba. – Bo ona wino pije właśnie. No nie, Helka?

– To przykładowo było tylko, kretonie – obruszył się Rajmund.

– To ja wypraszam sobie – teraz urażona poczuła się Szczelba. – Kretyńko chyba się mówi, a nie kretonie, do kobiety! I nie Paternoster, tylko Majordomus, dupku.

– Pragnę zauważyć, że obaj nie macie racji – zwrócił się do Rajmunda

i Szczelby Potocki.

– Ów wieszcz nazywał się azaliż Nosterdomus.

– Co to za imię... Azaliż! – parsknęła śmiechem Gangrena. – Azaliż, do nogi! Do nogi? A, to zaliżę! – rżała, klaszcząc w ręce z uciechy.

– Cicho bądź, płytka kobieto – skarcił ją Potocki.

– Ja, płytka?! Jaaa... aaa??? – Gangrenę aż zatchnęło. – Chcesz się przekonać, szlachcicu herbu Kozia Piczka?

– Spokój ferajna – wbił się między nich Rajmund. – A słyszeliście o takiej wróżce co się nazywała Saba?

Rajmund chciał najwyraźniej załagodzić spór. Ja jednak na dźwięk tego imienia wzdrygnęłam się mimo woli.

– Zamknij się – warknęła na niego Szczelba.

– No co, przecież była taka. Saba. A może... Sabina?

– Głupi jesteś! – wściekła się Szczelba i spojrzała na mnie.

Nasze oczy się spotkały. – Ona wie – powiedziałam sobie. I byłam tego prawie pewna. W jej wzroku zawierał się ewidentny strach, a jednocześnie złość. Postanowiłam to wykorzystać.

– O, tak! Masz rację! – Potocki porzucił swój spór z Gangreną i przyłączył się do Rajmunda. – Ona też mówiła o plagach i trąbach. I o papieżach zdaje się. Że ostatni będzie Murzynem.

– Ale nie jest – zaprotestował Byku. – Argentyńcem jest ponoć.

– Bo jeszcze ma do tego Murzyna kawał czasu, no nie, Potocki? – spuuntowała zaczepnie Gangrena.

– Czyli że co... – Rajmund aż rozdziawił paszczę. – Że jak przyjdzie pora, to się z Argentyńca Murzyn zrobi?

Miałam wielką ochotę wywołać Szczelbę na bok, ale na razie nie mogłam oderwać się od tej pasjonującej dysputy.

– Nie, durniu jeden! Jak Argentyńczyk się skończy, wtenczas Murzyn się zacznie – wytłumaczyła mu po łebkach Gangrena.

– Ale... W którym miejscu... – szepnął zszokowany Rajmund.

– Potocki!!! Ty widzisz i nie grzmisz?!?! – wrzasnęła Gangrena.

– Posłuchaj mnie pustułko, mastodencie z głupoty wymarły! I patrz mi na usta – zażądał od Rajmunda Potocki. – Mu-rzyn-bę-dzie-po-nim. Po! Kapujesz? Jeden skończy papieżować, a drugi po nim zacznie.

– A, to dobrze – ucieszył się Rajmund. – Papieże długo żyją, to jeszcze końca świata tak prędko nie będzie.

– Właśnie że będzie! – obstawał przy swoim Potocki. – Bo wszystkie znaki... na niebie i na ziemi... eee... – i tu jego wywód się zakończył. Potocki zasnął.

– A ja... – Szczelba wstał i uniosła wskazujący palec w górę.

Wszyscy umilkli w oczekiwaniu kolejnej rewelacji.

– ...idę się wyszczać – oznajmiła i poszła.

Pobiegłam za nią.

•

– Możemy chwilę pogadać? – spytałam, gdy Szczelba wracała na górę.

– E... ale że o czym? Lepiej wracajmy, bo nam wszystko wychleją – koleżanka ewidentnie nie miała ochoty na pogawędkę ze mną.

– Proszę cię, tylko chwilę – przysiadłam na schodach i pociągnęłam ją za sobą.

– Nie... mogę. Źle się czuję – próbowała mi się wyrwać i uciec.

Moja determinacja stała się tym większa.

– Ale musisz. Siadaj tu! – zażądałam.

– Pyyyyyjana jestem ochropnie – oznajmiła.

– Nic nie szkodzi – odparłam. – Bo ja jestem trzeźwa i to ja będę mówić, a ty słuchać.

Po jeszcze jednej nieudanej próbie ucieczki Szczelba usiadła sobie wreszcie na tyłku.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęłam.

Szczelba spojrzała na mnie spode łba.

– Ostatnio miałam trochę koszmarów sennych, mówiłam ci już kiedyś. Śniło mi się, że nie jestem Heleną, tylko całkiem kimś innym...

– Znaczy kim? – Helena zainteresowała się wreszcie tym, co do niej mówię.

Nie chciałam na razie dawać jej do zrozumienia, iż domyślałam się, że ona wie. Chciałam, żeby to zabrzmiało jak zwyczajne zwierzenie.

– No właśnie... Przed chwilą tu padło takie imię: Sabina. I ja myślę, że jestem Sabiną. Że tak mam naprawdę na imię.

– Tą wróżką? No co ty, Helena? Powaliło cię? – Szczelba nagle odzyskała swój normalny rezon. – Przecież chyba ktoś z nas by się kapnął, że ty to nie ty, nie? Po wyglądzie chociażby. Ale jak widzisz, wszyscy cię uważają za Helenę. Aktorkę. I aktorką jesteś, nie?

– Właśnie. Wszyscy mnie uważają za Helenę. I nikt się nie kapnął. A wiesz, czemu?

– Nie wiem i w ogóle głupoty gadasz.

– To ja ci powiem: bo ja wyglądam jak ta Helena. Jak Helena-aktorka.

– Jak możesz wyglądać jak ktoś inny? Pomyśl logicznie!

– Bo jestem do niej podobna?

– Chodźmy na górę, szkoda wieczoru na te twoje bzdury – irytowała się wyraźnie Szczelba.

– Poczekaj! Daj mi skończyć – powstrzymałam ją, łapiąc za sweter.

– Nie.

– Poczekasz i posłuchasz mnie właśnie – tym razem ja zaczęłam tracić cierpliwość. – Nie jestem Heleną i wiem to na pewno. Przypomniało mi się. Nazywam się Sabina D., mieszkam w W. i prowadzę dużą firmę produkcyjno-handlową. Mam faceta, Filipa i adoptowaną córkę, Jagodę. To on, ten Filip musiał to wszystko uknuć, żeby przejąć moją fortunę, firmę, dom i wszystko co mam!

Wyrzuciłam to z siebie jednym tchem, zanim Szczelba znów spróbowała mi zwać.

– Potrzebuję twojej pomocy – dodałam.

– Tak? Jakiej? – nagle Szczelba przestała mi niedowierzać i wyraźnie się uspokoiła.

– Muszę... zemścić się na tym chamie. Ale sama nie dam rady. Pomożesz mi?

– A... co ja bym niby miała robić?

– Wszystko ci wyjaśnię w swoim czasie. A na razie mam tylko jedną prośbę: nie mów o tym nikomu, okej?

– Jasne, przysięgam!

Teraz już byłam pewna, że Szczelba wiedziała. Gdyby było inaczej, musiałabym ją najmniej godzinę przekonywać, opowiadać jak do tego doszłam, a ona mężczyłaby o każdy szczegół i kazała sobie setki razy powtarzać w koło Maciejowi to samo. Szczelba była wyjątkowo uparta i upierdliwa. Taki przebieg sprawy był do niej absolutnie niepodobny.

Tylko... od kiedy wiedziała? I skąd? Na ten temat nie miałam bladego pojęcia.

– Okej, chodźmy więc. Innym razem o tym pogadamy – zaproponowałam. Szczelba wstała ze schodów z wyraźną ulgą.

•

No i miałam kolejnego zgryza. Mało tego, byłam nim porządnie wstrząśnięta. Nie podejrzewałam bowiem, że ktokolwiek z moich kompanów może znać tę prawdę, do której ja dochodziłam taki szmat czasu! I... czy wiedziała tylko Szczelba? Czy oni wszyscy?

Owszem, z założenia miałam być i byłam czujna oraz nieufna, ale jak przyszło co do czego, po prostu nie chciało mi się to pomieścić w głowie. No bo... jak to tak? Szczelba sama się zorientowała? Kiedy? I czemu mi nie powiedziała? A może ktoś ją o tym poinformował, a wówczas rodziło się pytanie, kto? Kto jeszcze wiedział? Najinteligentniejszy z grupy był Potocki, ale jednocześnie był najbardziej szczerzy i prostolinijny, więc to nie mógł być on. Nie, nie chciałabym, żeby to był on. Nieważne zresztą. Cierpliwość była moją nowo nabytą i świetnie opanowaną cechą, a więc i na rozwiązanie tej zagadki mogłam poczekać. Nie chciałam płoszyć Szczelby, więc na razie nie mogłam z nią gadać całkiem otwarcie.

Było wczesne popołudnie. Siedziałam w domu nad kolejną filiżanką kawy i rozmyślałam o tym wszystkim. Próbowałam też ułożyć jakiś konkretny plan, by najdalej od przyszłego tygodnia móc zacząć działać. Zanim ubiegłby mnie Filip ze swoimi niewątpliwie niecnymi zamiarami.

Właśnie wstałam, żeby nałożyć sobie na talerzyk kawałek szarlotki (dzieło sąsiadki, oczywiście), kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Wyrzałam przez okno, to była Szczelba. Widać nie wytrzymała i przyszła. Zbiegam na dół i otworzyłam jej drzwi.

– Właż – zachęciłam. – Akurat kroję ciasto.

Szczelba weszła bez słowa i powlokła się za mną na górę.

– Co słyhać? – spytałam, kładąc przed nią dorodny kawałek.

– A, tam. Nic takiego... Przyszłam, bo mówiłaś, że mam ci pomóc zemścić się na jakimś świrze.

– No właśnie – ucieszyłam się demonstracyjnie. – Mam nadzieję, że się nie rozmyśliłaś?

– Nie, tylko nie wiem, co miałabym robić.

– Wiesz... Chcąc wszystko załatwić z głową, muszę mieć kogoś, kogo on nie zna. Ani on, ani nikt z moich tamtejszych znajomych. Ty jesteś sprytna dziewczyna, Szczelba. Pomyślałam więc, że trochę... eee... się ciebie ogarnie i załatwisz w W. parę spraw.

– Jakich spraw? – spytała przestraszona.

– Nic się nie bój, dasz radę. Na początek wyniuchasz, jaka jest oficjalna wersja mojego zaginięcia. Od tego będzie zależał dalszy rozwój wypadków.

– To znaczy? Jak... wyniucham?

– Normalnie, pójdziesz do mojej firmy w charakterze interesantki. Tam cię skierują do Filipa, bo on teraz wszystkim rządzi.

– Jezus Maria! – wrzasnęła Szczelba.

– No, niestety – westchnęłam.

– Ale nie o to mi się rozchodzi. Ja nie mogę tam iść!

– Owszem, możesz, to całkiem łatwe. Wyuczę cię, co masz mówić.

– Nie chcę! Boję się go!

– Nie zje cię...

Zacząłam coraz uważniej przyglądać się Szczelbie, która nagle zaczęła widać się jak piskorz.

– Nie, nie, nie! Mogę iść gdzie indziej, od kogo innego się dowiedzieć! Od bab jakichś. Masz chyba jakieś baby w tym biurze? Najlepiej sprzątaczkę.

– Owszem. Jest taka Gośka, siedzi na portierni. Ona zawsze wie wszystko.

– Na... portierni?

– Tak.

– A nie ma kogoś... pomiędzy?

– To chcesz mi pomóc, czy nie? – zirytowałam się w końcu.
– Chcę, ale.... Boję się. Ty na pewno jesteś tą... Sabiną?
– A ty na pewno jesteś tą Szczelbą?
Szczelba podniosła na mnie załzawione oczy.
– Ale ja chcę ci pomóc, tylko... po swojemu!
– Dobra. Wobec tego wyniuchasz po swojemu.
– A potem?
– Jeśli ci powiedzą, że leżę w domu chora, pójdziesz do mnie do domu. Jeśli w domu ci powiedzą, że leżę w szpitalu, dowiesz się w którym i pójdziesz do tego szpitala. Jednym słowem udowodnisz im, że łżą.
– A jeśli... nie powiedzą, że jesteś chora, tylko na przykład... że wyjechałaś zagranicę?
– Wtedy zgłosisz na policji moje zaginięcie. Zresztą w jednym i drugim przypadku zgłosisz.
– Ale po co? Przecież ty wiesz, gdzie jesteś! Nie lepiej, żebyś się sama zgłosiła? Po co mają cię szukać?
– Po to, żeby go nachodzili, przepytывali, dręczyli. I napędzali mu stracha.
– Sama nie możesz mu napędzić?
– Jak?
– Normalnie, wskoczyć do tego biura, pokazać się ze wszystkich stron i ukrócić draństwo! I podać na policję, że ci się rządzi na twoim.
– Nie, Szczelba, nie o to mi chodzi. Ja cierpiałam, niech i on pocierpi. A poza tym, skoro już raz próbował mnie zabić, może spróbować jeszcze raz. Dopóki mu się nie pokażę, będzie myślał, że nie żyję. To chyba logiczne.
Już miałam wypalić: będzie myślał, że nadal nic nie pamiętam. Wolałam jednak, żeby Szczelba nie wiedziała, że on tu był i że mnie widział.
– Myślisz, że on chciał cię zabić??? – Szczelba aż zerwała się z krzesła.
– A co chciał? Jak myślisz, czemu znalazłam się w grobie i w ogóle, czemu tu, w Ł.? Ja ci powiem: to był bardzo, bardzo chytry plan!
Szczelba zwiesiła głowę i umilkła. Nie poprosiła o wyjaśnienie, dlaczego.
– Nie uważasz, że takiego faceta należałoby ukarać? – judziłam. – Udawał, że mnie kocha, mieszkał ze mną, żył ponad stan, bo przecież nie z tego, co zarabiał u mnie w firmie. Na koniec okazało się, że niewdzięcznik ma kochankę!
– Stażystkę? – spytała i wzdrygnęła się na to słowo.
– Nie wiem kim ona jest...
– A to zwyrodnialec! To się miałaś nieboraczko, dokładnie tak jak ja! Ja zasuwałałam, ondulowałam, strzygłam, a Byku się huśtał za moje! A potem jeszcze za stażystkę się chwycił, cham tragiczny!
W Szczelbie odżyły wspomnienia z jej własnego życia i wówczas, niejako przez analogię, zaczęła mi współczuć.

- Tak, ale on cię nie zabił! A mnie Filip tak.
- Ożeż, podła jego istota!
- Żeby już do końca odebrać mi wszystko, co mam.
- Mało mu było, ciulu jednemu... – zamyśliła się Szczelba. – Ale jak on ci to wszystko odbierze?
- Pewnie sfałszuje akt darowizny czy coś w tym rodzaju, upoważnienie do kont, pełnomocnictwa do zarządzania firmą...
- No, ale jak sfałszuje? A ta twoja przybrana córka? Chyba ma coś do powiedzenia, nie?
- A skąd ja mam wiedzieć, czy i jej czegoś nie zrobił? Albo nie naćpał czymś i nie posługuje się nią w swoich bezecnych szwindlach?
- Rany boskie! – wrzasnęła Szczelba. – No jasne, że się posługuje! Posługuje się jak cholera! Jadę tam! – oznajmiła na koniec.
- Ej, nie tak prędko! – powstrzymałam jej zapał. – Najpierw trzeba wszystko przygotować i działać z głową. Na zimno.
- A... co by było, jakby on się dowiedział, że przeżyłaś?
- Zabiłby mnie znowu. Tym razem na śmierć.
- Boże, o mój Boże jedyny! – wrzasnęła Szczelba. – Tak nie może być!
- Też tak uważam.
- To... kiedy mam jechać do W.?
- Kiedy m a m y jechać.
- Ale przecież ty się nie możesz tam kręcić!
- I nie będę. Zasyjemy się w jakimś hotelu, ale wszystkie moje sprawy będziesz załatwiała ty. Ja będę pod ręką, żeby tobą kierować.
- No to kiedy?
- Po premierze mojego nowego spektaklu. Za trzy tygodnie. Do tego czasu jakoś przeżyję...
- Biedna – Szczelba spojrzała na mnie z niekłamaną czułością. – mojaś ty biedna nieboraczko! Pomogę ci. Jasne, że ci pomogę.

••

XII

Dzieci wcale nie są takie głupie

Zgodnie z założeniem przeżyłam do premiery. Jak zwykle w takim okresie czas miałam maksymalnie zajęty, a myśli skupione na scenariuszu. I dobrze, bo zależało mi na tej roli, jak na żadnej poprzedniej. Ale i pochłaniała mnie ona o wiele bardziej niż poprzednie. Teraz już nie byłam zmysłową kusicielką, byłam zwyczajną kobietą, na którą spadł cały ogrom problemów. Grał z nami w tej sztuce dwunastoletni chłopiec, który wcielał się w mojego chorego syna. Maciek, bo tak miał na imię, był bardzo sympatycznym dzieckiem, utalentowanym, miłym i pracowitym. I dojrzałym, jak na swój wiek. Dlaczego o tym piszę? Bo, jak już wcześniej wspomniałam, dzieci mnie onieśmiały. Nie potrafiłam z nimi rozmawiać, wydawało mi się, że trzeba to robić w jakiś szczególny sposób, poruszać szczególne tematy, bo dziecko albo nie zrozumie, albo się nie zainteresuje.

Na początku zamierzałam potraktować Maćka, jak każdego innego kolegę z pracy, czyli rozmawiać z nim wyłącznie tekstem ze scenariusza, a jeśli już musiała wchodzić w grę jakaś pozasłużbowa rozmowa, była to krótka i rzeczowa wymiana informacji. Maciek jednak nie umiał albo nie chciał przyjąć takiej konwencji.

– Czy pani tak bardzo przejmuje się rolą, czy jest pani smutna prywatnie? – zagadał do mnie już pierwszego dnia prób.

– Nie wiem... – odparłam zaskoczona.

– Zjemy razem deser w bufecie? W końcu jest pani moją mamą, może powinniśmy się troszkę lepiej poznać?

Maciek zdumiał mnie do tego stopnia, że przytaknęłam całkiem bezmyślnie. Byłam zła na siebie, zwłaszcza, że gdy w czasie przerwy zeszliśmy do bufetu, zebrała się tam niemal cała nasza ekipa. Zazwyczaj nie korzystałam z tego punktu gastronomicznego, dlatego właśnie, by nie musieć się do kogoś dosiąść, a potem silić się na niezobowiązującą rozmowę. Zobowiązującą tym bardziej. A tu proszę bardzo: czego nie udało się do tej pory żadnemu z moich kolegów i koleżanek, w trzy minuty dokonał zwykły dzieciak...

– No więc? Czego sobie życzysz? Lody? Ciastko? – pytałam, starając się ukryć irytację. – Ja stawiam. W końcu jestem... twoją matką.

– Proszę wybrać, ja wezmę to samo. I sam sobie stawiam – odparł Maciek.

– Sernik?

– Dwa serniki poproszę – zwrócił się do bufetowej. – I kolę. I... dwie szklanki.

Gdy usiedliśmy przy stoliku, byłam już całkiem zła. Na siebie, że nie potrafiłam odmówić i na tego dzieciaka, że jakby nie było, on to sprawił. Jadłam powoli, korzystając z tego, że póki jem, nie muszę nic mówić.

– Ummm... Pycha – stwierdził Maciek. – Moja babcia taki piecze. Bo mama nie piecze i nie gotuje. A pani?

– Ja też nie – odparłam krótko.

– No tak, pani też jest aktorką – roześmiał się.

– Twoja mama jest aktorką? – spytałam, choć obiecałam sobie, że nie pytam się do niego nie odezwę.

– Filmową. A tata jest operatorem.

– No to fajnie masz.

– Podobno... A pani ma dzieci?

– Córkę. Dorosłą, skończyła w tym roku dwadzieścia dwa lata.

– Jest pani z niej dumna?

Maciek coraz bardziej mnie zadziwił i coraz bardziej, wbrew mojej woli, wciągał mnie w rozmowę.

– Dumna? – zamyśliłam się. – Myślę, że mam na to jeszcze czas, ona jest jeszcze bardzo młoda. A w ogóle, czy rodzic koniecznie musi być ze swojego dziecka dumny? Nie wystarczy, że je kocha?

– Moi rodzice lubią być ze mnie dumni.

– Moi też lubili – pomyślałam o swoich rodzicach i... o Helenie.

– No więc widzi pani, jak to jest – roześmiał się Maciek. – I dlatego ja też, tak jak pani, swoje dziecko będę tylko kochał...

Zjedliśmy swoje ciastka i pora było wracać na próbę. Maciek miał rację, teraz było łatwiej, przynajmniej dla mnie. Ta krótka rozmowa sprawiła, że nagle pozbyłam się potrzeby udawania, jaka zawsze towarzyszyła mi w kontaktach z dziećmi. Ale też sprowokowała mnie do dalszych rozmyślań o relacjach rodziców z dziećmi: moich z moimi rodzicami i moich z Jagodą. Maciek uświadomił mi, że rodzice mają potrzebę bycia dumnymi ze swoich latorośli. Moja mama i tata, dopóki żyli, karmili się sukcesami Heleny. To na niej skupiała się cała ich uwaga, dlatego ja chyba... nie musiałam wymagać od siebie zbyt wiele. Byłam dzieckiem, które po prostu było. Nie sprawiało co prawda w zachwyty, ale i nie sprawiało kłopotów. A czy ja miałam potrzebę bycia dumną z Jagody? Nawet mi to nie przyszło do głowy. Czy ją Kocham? To dziwne, ale nigdy nie zastanawiałam się nad tym. Owszem, była mi z pewnością bliska, dbałam o nią, opiekowałam się, troszczyłam się o jej dobro, chroniałam.

Po rozmowie z Maćkiem zaczęłam dostrzegać, jak ważne są nabyte wzorce wychowawcze, które albo się nieświadomie powieliła, albo świadomie neguje. Chłopak był chyba przekonany, że mnie, podobnie jak i jemu, ciążyło niegdyś parcie rodziców na „mój” rozwój artystyczny, dlatego postanowił czegoś takiego nie powtarzać w stosunku do własnych dzieci. Myślał, że to co mówiłam o Jagodzie, również było moim nieprzypadkowym wyborem. Ale nie było. Ja raczej całkiem nieświadomie chowałam Jagodę tak, jak moi rodzice Helenę: dawałam jej wszystko, czego

pragnęła, nie wymagając w zamian niczego. A jeśli... ona była podobna do mnie, a nie do Heleny?

Pomyślałam o tym z lękiem. Bo ja miałam całkiem inne potrzeby niż ona. Niezaspakajane przez nikogo i skutecznie tłumione przeze mnie samą. Ale z drugiej strony – pocieszyłam się zaraz – przecież wyrosłam na ludzi. Ba, na dumną, elegancką i samowystarczalną kobietę sukcesu. Ja, a nie Helena... I tego samego życzyłam sobie dla Jagody.

•

Premiera była dla mnie bardzo udana. Zagrałam moją bohaterkę dokładnie tak, jak chciałam, a licznie zgromadzona na widowni publiczność stanowiła dla mnie wyzwanie, któremu musiałam sprostać. Jak zwykle zresztą. Moi koledzy różnie odbierali oglądających ich ludzi: jednych zżerała trema i starali się wyprzeć ze świadomości ich obecność, innych widownia mobilizowała do jak najlepszej gry, dla mnie, jak już wspomniałam, byli wyzwaniem, na które zawsze starałam się odpowiadać zgodnie z ich oczekiwaniami. Trudno mi to dokładnie wyjaśnić, ale to chyba jest tak, że na samym początku spektaklu nastawiam się na odbiór jak najczulsza antena, jakoś, nie mam pojęcia jak, wyłapuję te wszystkie niewerbalne i niewidoczne sygnały, by natychmiast dostroić się do nich i na tych falach „nadawać” już do końca. Kiedyś opowiedziałam o tym Piotrowi, ale ten tylko uśmieł się ze mnie serdecznie. Stwierdził, że nie ma ani takich aktorów, ani takiej publiki. Ale że chwala mi za to, iż tak to widzę, bo to świadczy o moim szacunku do zawodu i do odbiorcy.

– Przypomnij sobie szkołę – zaproponował. – Ne pamiętasz już, co wpajał ci szanowny profesor i zasłużony aktor, J.Z.? – Aktorstwo to rzemiosło, nie misja. To warsztat, a nie sztuka empatii. Masz się sprzedawać, im drożej, tym lepiej – a nie poświęcać.

– Profesor J.Z. był starym cynikiem i karierowiczem – wykrzyknęłam, zła na siebie, że dałam ponieść się zwierzeniom.

Co prawda nie miałam pojęcia, o czym mówi Piotr, bo przecież nie ukończyłam, ba, nie zaczęłam nawet szkoły teatralnej, ale moja wściekłość podrzuciła mi taką właśnie odpowiedź.

– Hola, hola, panienko – odparł jeszcze bardziej ubawiony Piotr. – W ten sposób o autorytetach?

– Nie moich.

– No to zdaje się, że ci się mocno poglądy pozmieniały.

– Bo teraz jestem zupełnie innym człowiekiem – odparłam bardziej zgodnie z prawdą niż Piotr mógł sobie to wyobrazić.

W tym momencie uświadomiłam sobie jeszcze jedno: a co będzie, jeśli już wrócę na swoje miejsce, do W.? Czy nie będzie mi brakowało tej rozbudzonej

w sobie niedawno pasji? Do tego również trudno było mi się przyznać, ale granie stawało się dla mnie coraz ważniejsze...

A takie chwile, jak ta, tuż po (z drzeniem serca oczekiwanej przeze mnie) premierze, w zasadzie wystarczały mi do życia. I gdyby nie fakt, że muszę jeść i płacić rachunki, wystarczałyby mi również za całą gratyfikację mojej pracy...

Kiedy w końcu umilkły brawa i objuczona naręczem kwiatów szłam do garderoby, podbiegł do mnie Maciek.

– Byłaś świetna, wiesz? Taka prawdziwa... Dzięki temu ja też mogłem być bardziej prawdziwy.

Maciek od jakiegoś czasu zaczął zwracać się do mnie per ty i było to dla niego całkiem naturalne, skoro przez większość czasu w trakcie prób musiał mówić do mnie w ten sposób.

– Dzięki – odparłam ze śmiechem, bo okazało się, że ten dzieciak bardziej docenia i lepiej rozumie mój sposób gry niż dorośli koledzy. – Ale wiesz, takie rzeczy to tylko między nami, naturszczykami.

– Co to jest naturszczyk?

– Taki... naturalny aktor. Jak my.

– A ja myślałem, że to coś obraźliwego – zdziwił się Maciek. – Moja mama czasem się tak wyraża o kolegach z planu.

– To zależy. Właż! – puściłam go przodem, gdy już doszliśmy do mojej garderoby. – Pogadamy chwilę, chyba, że ktoś na ciebie czeka?

– Nie, mam wziąć taksówkę.

– Twoich rodziców nie było na premierze?!

– Oczywiście że byli, ale się śpieszyli do domu. Muszą zadbać o ostatni szczegół przyjęcia – niespodzianki na moją cześć.

– Co to za niespodzianka, która... nie jest niespodzianką?

– Ich zdaniem jest, bo przygotowywali wszystko w tajemnicy.

– Więc skąd wiesz, że będzie przyjęcie?

– Bo zawsze jest. Gram już od czwartego roku życia. W filmach, reklamach, w czym się da. I zawsze po premierach jest ogromny tort, a na nim tyle świeczek, ile ról mam już za sobą. I bezalkoholowy szampan dla mnie, a dla dorosłych zwykły. Nie jakiś ruski, tylko prawdziwy.

– Dla dorosłych? – jakoś tak byłam przekonana, że to przyjęcie będzie dla Maćka i jego kolegów. – A... dla dorosłych członków rodziny?

– Nie. Dla znajomych rodziców. Aktorów, reżyserów, producentów, i... takich tam. Różnie. A wracając do tematu, od czego zależy, czy słowo naturszczyk jest obraźliwe?

– To tak jak... na przykład z określeniem „szalony” – wpadło mi do głowy takie porównanie. – Czasem jest obraźliwe, ale czasem ma wymowę pozytywną, jak: twórczy, swobodny, odważny...

– Rozumiem – odparł Maciek. – A ty? Nie śpieszysz się do domu? Do córki?

– Moja córka mieszka w W. Tam studiuje – wyjaśniłam mu, właściwie zgodnie z prawdą.

– I nie brakuje ci jej?

No właśnie... Szczerze mówiąc, nie chciałam dopuścić do siebie takiej myśli. Że mi jej brakuje. Bo kiedy usłyszałam przez telefon, że „mama jest chora”, podczas gdy tak naprawdę nie widziała mnie już od jakiegoś czasu, serce mi jakoś tak... zdrętwiało. Brakowało mi jej, oczywiście, były chwile, gdy bardzo mi jej brakowało, ale wówczas uświadamiałam sobie, jak niewiele musiałam dla niej znaczyć, skoro tak łatwo pogodziła się z moim brakiem. I jak łatwo dała się omamić Filipowi, którego przecież tak nie cierpiała... Czułam do niej żal i dlatego starałam się o tym nie myśleć.

– Brakuje mi, jasne, że brakuje – musiałam przyznać chcąc nie chcąc.

– Dlaczego więc nie sprowadzisz jej tu i tu nie zapiszesz do szkoły?

Maciek zadawał pytania tak proste, że często stawiał mnie w paskudnej sytuacji.

– Bo to już duża dziewczyna, nie mogę decydować za nią. A zresztą... umiesz dochować tajemnicy?

– Umiem – odparł Maciek z powagą. – Dochowuję już niejednej.

– To powiem ci, że to ja niedługo się do niej wprowadzę.

– Rozumiem. Chcesz wyjechać z Ł. i zrobić lepszą karierę?

– Nie. Zajmę się czymś zupełnie innym. Prowadzeniem firmy.

Maciek roześmiał się głośno. Śmiał się i nie mógł przestać.

– Jeśli nie okłamujesz w tej chwili mnie, to znaczy, że okłamujesz siebie – powiedział wreszcie.

– Bo? – spytałam niemal urażona.

– Za bardzo to lubisz. Lubisz grać.

– Owszem, ale czasem przychodzi w życiu pora na zmiany. Z powodów... wyższych, że tak powiem.

Maciek roześmiał się znowu.

– Nie ma takich powodów.

– Co masz na myśli?

– No... że jak już ktoś stał się aktorem z własnego wyboru, jak ty, albo z cudzego, jak ja, nie przestanie nim być. To już taki... przymus.

– Ale gadasz, jak jakiś mały-stary – zniesmaczyłam się.

– Bo taki właśnie jestem.

Spojrzałam na niego uważniej, żeby się przekonać, czy nie żartuje. Ale nie, Maciek był całkowicie poważny.

– Przerażasz mnie, wiesz?

– Sorry. Mimo to cię lubię, wiesz?

Roześmialiśmy się oboje.

•

– Ej, to kiedy jedziemy się mścić? – spytała Szczelba, kiedy wpadłam na nią pod Tesco. – Miało być po premierze?

– Niebawem. A co cię tak pili? – spytałam, rozglądając się za resztą bandy.

– No jak, co? Przecież sama mówiłaś, że ten twój może czyhnąć na twoje życie.

– Mówi się targnąć – poprawiłam ją odruchowo.

– A mówi się: czyha?

– Tak.

– No to jak czyha, to w końcu czyhnie. I o to mi się rozchodzi.

– Ale może on nie wie, że ja żyję?

– A jeśli wie? – wyrwało się jej. – Bo... takie gnidy wszystko wiedzą. Cwane są!

Może Szczelba miała rację i Filip rzeczywiście mógł się pojawić lada chwila. Ja tymczasem jakoś przestałam o tym myśleć. Owszem, byłam ostrożna i czujna, ale moje bieżące sprawy zaabsorbowały mnie na tyle, że chwilowo odłożyłam swój zamiar. Bo żeby móc wyjechać do W. z konkretnymi zamiarami, potrzebowałam co najmniej trzech dni roboczych.

– Pojedziemy w przyszłym tygodniu. Zaraz w poniedziałek, a wrócimy w środę. O, albo jeszcze lepiej, pojedziemy w niedzielę, nocą – olśniło mnie nagle.

– W tym czasie tylko przeniuchasz co i jak, a działać będziemy później, jak się zrobi więcej czasu.

– Czyli?

– Niedługo kończy się sezon w teatrze, będę miała trochę wakacji.

– A do tej pory co?

– Nic. Damy radę, zobaczysz.

– Czekaj tatka latka, aż on ci tam cały majątek ogołoci. Z tą swoją zdziurą! Szczelba wiedziała, jak mnie zmobilizować.

– Nie mogę teraz ot tak wszystkiego rzucić – zirytowałam się porządnie. – Spektakle są rozplanowane do połowy czerwca.

– No to co, uwiniemy się przecież w trzy dni, nie uważasz?

– Jak? Oszalałaś?

– Normalnie, wyczyścisz tylko swoje konta z kasy i tyle. Na to chyba nie potrzeba dużo czasu.

– Też o tym myślałam, ale tego nie da się zrobić. Nie mam ani kart bankomatowych, ani własnego dowodu osobistego. Na dobre słowo nikt mi pieniędzy nie wypłaci.

– Co ty... Przecież jak pójdziesz do banku i powiesz, że ty to ty, to... co?

Chyba nikt nie będzie miał nic naprzeciw?

– Owszem, będzie. W ten sposób pod każdego można by się podszyć i go okraść. Dlatego jest potrzebny dokument.

Szczelba poskrobała się w głowę.

– Zaraz, ale przecież sama mówiłaś, że jesteś do tej... Sabiny bardzo podobna!

– Bo to ja jestem Sabina, ciotku! I jestem podobna do Heleny, kapujesz?

– Tylko mi tu bez nazewnictwa, okej? – naburmuszyła się Szczelba.

– A tak w ogóle, nie zastanawiałaś się nad tym, gdzie jest w tej chwili twoja kumpela?

– No jak, gdzie... – zdziwiła się Szczelba.

– No właśnie, gdzie?! Bo skoro ja jestem tu, to gdzie się podziała Helena?

Szczelba rozdziawiła paszczę tak dokładnie, że można było policzyć jej wszystkie zęby. Naliczyłam siedem, z granicą błędu plus-minus dwa.

– O Jezu Nazarejski... – wyszeptwała. – No właśnie, gdzie ona jest?

Trochę mnie zadziwiła ta ostatnia wymiana zdań, bo Szczelba taka znowu tępą nie była. Przeciwnie, była na swój sposób całkiem sprytna i cwana.

– No? Jak myślisz? – ponagliłam.

– Pewnie ją ta gadzina... gdzieś...

Ciarki przeszły mi po plecach, bo wyglądało na to, że Szczelba zaraz powie to, czego się najbardziej obawiałam.

–...wywiozła! – dokończyła wreszcie. – Do jakiegoś zakładu może, czy coś...

– Wiesz coś o tym? – ochoczo podjęłam temat.

– Nie, no coś ty. Tylko myślę, że... nie brałby sobie na garba dwóch trupów, skoro chciał się pozbyć tylko jednego. To znaczy... musiałby się pozbyć dwóch trupów, nie? A skoro ciebie podrzucił w Ł., to ją musiałby stąd wywieźć. A to daje dwa razy większe ryzyko, że się sprawa rypnie. No nie? Komu by się chciało tak wozić z nieboszczkami w te i nazad...

Moja koleżanka zaczęła nagle używać logiki.

– Więc co sugerujesz? – spytałam, bo to, co mówiła zdawało się być całkiem przekonujące.

– Może ją gdzieś oddał? Do jakiegoś ośrodka, czy co?

Niewykluczone, że bardziej chciałam w to wierzyć niż wierzyłam, ale prawie mnie przekonała. Zwłaszcza, że znałam poglądy Filipa na rozwiązanie problemu alkoholików, bezdomnych, żebraków i każdej innej patologii: zamknąć ich w specjalnych ośrodkach. A nuż załatwił gdzieś Helenie taki pobyt?

– No tak, to brzmi nawet do sensu – mruknęłam. – Tylko jak on ją tu wypatrzył, żeby wpaść na ten misterny i, jakby nie było, mocno fantastyczny plan?

– A co wy tu knujecie, hę? – nagle, jak z pod ziemi wyrosli Rajmund i Byku.

– Helena, kopsniesz coś do puli? Trochę nam nie idzie, bo my dziś w niepełnym składzie...

– O, a czemu? – rozejrzałam się odruchowo.

– Potocki trochę zaniemógł i Gangrena z nim została. On by trochę uzbierał na te swoje książęce historie, ale ona z tym swoim uśmiechem... – nie dokończył Byku, rażony spojrzeniem Szczelby.

– Myślałby kto! Uzębiony się znalazł! – ujęła się za koleżanką.

– Ale co jest Potockiemu? – zaniepokoiłam się.

– Przeziębiony jest cuśkolwiek, ale to nic takiego. Przejdzie mu – odparł Rajmund.

– A jeśli to coś poważnego?

– Od ankoholu by go odrzuciło – stwierdził ze znanstwem. – Ale księciu ma normalny apetyt.

– Na jedzenie też? – dociekałam.

– Nie, chyba... – zmieszał się Rajmund. – Nie przyglądałem się za bardzo.

– Okej, macie pieniądze, kupcie co tam sobie chcecie, a ja lecę przodem. Muszę sama zobaczyć, co z nim...

Wcisnęłam Szczelbie w rękę pięćdziesiątkę i rozejrzałam się za taksówką. Zważywszy na stan, w jakim ostatnio go spotkałam, chciałam jak najszybciej być w „apartamentowcu”. Niestety, postoju w okolicy nie było, a żadnej przypadkowej taryfy nie wypatrzyłam.

Zobaczyłam za to faceta, którego kiedyś Szczelba zmusiła do przeprosin. Ruszyłam w jego stronę. On, dostrzegłszy mnie, sprawił wrażenie, jakby chciał zwać. Przyśpieszyłam kroku.

– Hej, facet, zaczekaj! – krzyknęłam na wszelki wypadek.

Gość prawie miał zamiar zamykać bagażnik, ale kiedy mnie ujrzał, pędzącą w swoją stronę, został tak z uniesionymi w górę rękami.

– Przepraszam – wydukał, gdy podbiegłam bliżej. – Strasznie mi głupio, że pani ubliżyłem. Naprawdę, przykro mi bardzo...

– Opuść te ręce, bo jeszcze ktoś pomyśli, że mam zamiar do ciebie strzelać – zaproponowałam. – A ja nic do ciebie nie mam, potrzebuję tylko środka transportu.

Facet jedną ręką sięgnął do kieszeni i podał mi kluczyki, drugą zaś nadal trzymał w górze.

– Na miłość Boską, chłopie! – wrzasnęłam w końcu. – Potrzebuję dokądś podjechać, ale nie ma w pobliżu taksówki. Mógłbyś mnie podwieźć? To niedaleko.

– Jasne, nie ma sprawy – mężczyzna wyraźnie odetchnął z ulgą. – Dla pani wszystko.

– Jeszcze niedawno byliśmy na ty – mruknęłam, pakując się na przednie siedzenie.

– Tak... Przepraszam bardzo – znów zaczął swoje.

– Niechże pan wreszcie przestanie! – i ja teraz zmieniam sposób zwracania się do niego.

– Ale ja... Gdzie mam jechać? – spytał, gdy już wyjechał z parkingu. – Na B... – podałam mu nazwę dzielnicy, która nie cieszyła się dobrą sławą.

– Aha – zdziwił się jakby.

– O co chodzi?

– Ależ... o nic oczywiście.

– Nie bójże się tak, człowiecze, nie ma tu ze mną mojej koleżanki bokserki.

– Ja się nie boję – odparł nieco śmieje. – Mnie jest naprawdę strasznie głupio. Nie wiedziałem, że pani znowu jest aktorką... A ja do pani jak... do koleżanki wtedy.

– Nie znowu, tylko w dalszym ciągu – roześmiałam się.

– No tak, jasne, że tak – przyznał skwapliwie. – Widziałem niedawno plakaty z teatru. Aż mnie normalnie zatkało! Dlatego...

– Jezu, jeśli pan zamierza mnie nadal przeproszać, to chyba zaraz osobiście pana zastrzelę. A tak w ogóle, to żeby się panu ulżyło, Helena jestem – wyciągnęłam do niego dłoń. – Od teraz jestem pana koleżanką.

– A... Aaaaaa... Aaa aaa...

Brzmiało to tak, jakby zamierzał mi zaśpiewać kołysankę o kotkach dwóch.

– Artur – wydusił z siebie w końcu. – Baaa...rdzo mi przyjemnie!

••

XIII

Ostatni arystokrata PRL-u

Potocki leżał błądy i spocony w swoim barłogu. Przy nim siedziała podchmielona Gangrena i śpiewała mu pewną sprośną piosenkę.

– Co jest, bracie? – spytałam bez wstępów. – Gadaj, tylko jak na spowiedzi!

– Jakiej spowiedzi? – uśmiechnął się sztucznie. – Na ostateczny rozrachunek mam jeszcze kupę czasu.

– Nawet nie biorę pod uwagę, że może być inaczej. No? Mów, co ci jest?

– Letko się przeziębiał ostatnio – powiedziała za niego Gangrena.

– Jak? Przy tych temperaturach? Zresztą sam mi mówił, że ma to jeszcze od jesieni.

– Nie, tamto mi już przeszło, madam. Teraz mam nowe – zełgał w żywe oczy i rozkaszał się na całego.

– Zbierasz się, chłopie – zarządziłam. – Ale już! Nie zostawię cię tak.

– Nie... Nie, mowy nie ma, madam... Mówię całkiem serio, nie pójdę do żadnego szpitala! Umarłbym, zanim bym próg przekroczył... Nie rob mi tego...

– Wiem, dlatego jedziemy do mnie. Bez dyskusji! – ochrzaniłam go awansem. – Gangrena, odplącz go jakoś z tych piernatów, zaraz wracam.

Zbiegłam na dół, pełna niepokoju, czy aby mój nowy kolega nie zwiął, korzystając z okazji. Ale nie, był tam, gdzie go zostawiłam.

– Chodź, pomożesz mi – wysapałam zdyszana. – A potem zapomnisz o tym miejscu na zawsze, okej?

Artur skinął głową i podążył za mną. Z widoczną niechęcią wziął Potockiego pod ramię i pomógł mi sprowadzić go do samochodu. Nie wymagało to zbyt dużej siły, bardziej zręczności.

– Ej, ale gdzie ty go bierzesz? – krzyknęła za nami Gangrena.

– Nie martw się o niego. Już ja się nim zajmę – odkrzyknęłam.

Usiadłam razem z kumplem na tylnym siedzeniu i objęłam go ramieniem. Artur jechał prędko pod wskazany adres, walcząc po drodze z odruchem wymiotnym. Gdy zatrzymał się na miejscu, wyskoczył z auta i nabrał łapczywie powietrza.

– Dzięki – mruknęłam, gdy pomógł mi wprowadzić go do salonu. – Ale to jeszcze nie wszystko!

Facet spojrział na mnie przerażony.

– Należę wody do wanny, a ty go wykąpiesz.

– Nie... eee dam rady. O rany! Naprawdę, choćbym chciał!

– Jakbyś potrzebował rzucić pawia, obok wanny jest muszla – oznajmiłam i pobiegłam lać wodę.

Nie wiem, co powodowało Arturem: skrucha, chęć pomocy, strach czy zwy-

czajne zaskoczenie – w każdym razie robił, co mu kazałam.

– W to go ubierzesz – wrzuciłam do łazienki przez uchylone drzwi moją nową, różową piżamę.

Albo Artur robił sobie przerwy na czyszczenie żołądka, albo bardzo solidnie wziął się do rzeczy, nie wychodził bowiem dość długo.

– Gotowe – oznajmił w końcu, pojawiając się w drzwiach. Potocki wystrojony w hafty i koronki siedział na klozecie oparty o rezerwuar. – A co z tym? – mój nowy kolega wskazał głową na kłęb brudnych ciuchów leżących na podłodze.

– Okej, zaraz wyniosę do kubła. Pomóż mi najpierw przenieść go do łóżka.

– Jasne. Ja to wyniosę, jak będę wychodził – zaproponował nieoczekiwanie.

Zaprowadziliśmy księcia do mojej sypialni. Chciałam mu oddać swoje łóżko, ale tak żywiołowo protestował, że w obawie aby coś mu się nie stało, ustąpiłam. Pościeliliśmy mu zatem na materacu, który niegdyś odkryłam na strychu.

– Dzięki, dzięki serdeczne – poklepałam Artura z wdzięcznością po plecach.

– Nie ma sprawy – uśmiechnął się. – W końcu przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi... Czy jakoś tak. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń – Artur wsunął mi w rękę wizytówkę.

Wyruszył mnie... Po jego wyjściu rzuciłam okiem na wizytówkę. „Artur B. elektryk” – informował fantazyjny napis. Poniżej był adres i telefon.

•

Potocki zasnął kamiennym snem i obudził się tuż przed moim wyjściem do teatru. Kiedy spał, odwiedziłam sąsiadkę. Przedstawiłam jej z grubsza sprawę Potockiego i poprosiłam, żeby go doglądała w czasie mojej nieobecności. Staruszka nie lubiła moich kumpli, ale była dobrą, współczującą kobietą. Obiecała, że posiedzi przy nim, mało tego, oznajmiła, że zaraz ugotuje mu rosół.

Kiedy wróciłam, a było już dobrze po dwudziestej trzeciej, staruszka nadal przy nim była. On sam, jakby w nieco lepszej kondycji, siedział w swoich piernaczkach i o czymś zawzięcie rozprawiał. Oboje tak zajęci byli sobą, że nie usłyszeli mojego wejścia.

– O! Helenka! – odkryła po chwili staruszka. – A my tu sobie tak... gadu-gadu i czas zleciał!

– Masz wspaniałą przyjaciółkę, madam – stwierdził Potocki. – Doprawdy, cuuudowna niewiasta. A jaki wspaniały rosółek sporządza! Powiadam ci, że nie spotkałam takiego na najlepszych stołach w Europie!

– Nic dziwnego, bo rosół to wyłącznie nasz polski specjał – mruknęłam pod nosem.

– To ja panu jutro zrobię króliczka w śmietanie i buraczkach – zaoferowała ochoczo sąsiadka. – Helenko, czy można u nas na osiedlu dostać króliczka?

– Można w Tesco, łaskawa pani – odezwał się znawca i wielbiciel tej marki.

– Aczkolwiek nie chciałbym robić kłopotu.

– Żaden kłopot, proszę pana! Jutro rano przejdę sobie spacerkiem i kupię co trzeba.

– Mowy nie ma. Ja pójdę i kupię – zaprotestowałam.

– Ależ ja szczęściarz jestem – westchnął Potocki przymykając oczy. – Żeby taaaakie dwie kobiety zabiegały o mnie... No, proszę, proszę!

Odprowadziłam sąsiadkę do furtki.

– Bardzo dziękuję za opiekę nad kolegą. On nieborak...

– Wiem, wiem – przerwała mi. – Naprawdę, nie miałam pojęcia, że wśród tych twoich... kolegów są tak fascynujące osobistości. Apolinary opowiedział mi z grubsza historię swojej rodziny, jej przed- i powojenne losy... Aż się łza w oku kręci...

– Apolinary?

– No, tak...

– Jasne – roześmiałam się. – Rzadko zwracamy się do niego tym imieniem i mi jakoś umknęło.

Szczerze mówiąc ani ja, ani moi kolesie nie zwracaliśmy się do Potockiego żadnym imieniem. Nie jestem pewna, czy ktoś z nas sobie w ogóle uświadamiał, że on ma jakieś imię. A swoją drogą, księciu musiał nieźle popuścić wodze fantazji! Akurat trafiła mu się idealna słuchaczka. Sąsiadka nieraz już zdradzała swoje fascynacje losami polskiej arystokracji, jako że sama podobno była potomkinią jednego z zacniejszych szlacheckich rodów. Widać znaleźli z Potockim wspólny temat. Bardzo mnie to ucieszyło i ze względu na niego, i na nią: on jakby odżył niby ryba wrzucona na powrót do wody, ona zaś przekonała się, że upaść może w zasadzie każdy, bez względu na wykształcenie, pozycję społeczną czy osiągnięcia zawodowe i prywatne. To tylko kwestia paru sprzyjających zbiegów okoliczności. Bo nikt nie zagląda do kieliszka z zamiarem stoczenia się w przepaść. Jednego to dopada przy okazji obowiązków zawodowych, inny próbuje topić smutki, jeszcze inny oswoić lęk czy ukoić samotność.

Teraz i ja to wiedziałam, i daleko mi było do płytkiego krytykanctwa z pułpu „tej lepszej”, bo trzeźwej. Myślę, że w tym miejscu znajdzie się parę krytycznych głosów, twierdzących, że oto staję w obronie pijaństwa i pijaków. Nie, absolutnie! Ale rozumiem i jedno, i drugie, bo jeszcze do niedawna sama nie miałam krztyny wyrozumienia dla brudnych, chwiejących się na nogach lumpów, płaczących się w większych skupiskach ludzkich i żebrzących o parę groszy. Dziś, gdy miałam możliwość spojrzenia na problem niejako „od środka”, wiedziałam, że za każdym takim przypadkiem stoi ogromna ludzka tragedia. Naprawdę. Alkoholizm zaś to już sprawa wtórna.

Wracając do Potockiego i jego łzawych historii: miałam tylko nadzieję, że sąsiadka nie pokusi się o liczenie na bieżąco tych wszystkich dat, lat i przestrzeni

czasowych, w których miały miejsce podawane przez niego wydarzenia. Był w tym bowiem niezwykle niekonsekwentny. Ba, w niektórych zdarzeniach musiałby brać udział jeszcze w łonie matki, a nawet wcześniej. Na inne zaś był zdecydowanie za stary (na przykład pierwsza klasa jego podstawowej edukacji miała przypadać na lata, w których księciu był już naprawdę dorodnym młodzieńcem). Dla Potockiego jednak takie szczegóły nie miały zupełnie znaczenia, ponieważ dla niego podstawowymi zagadnieniami było: kto, gdzie i z kim – a nie kiedy.

– No to masz kolejną wielbicielek – zagaiłam do niego po odprowadzeniu sąsiadki.

– Tak, tylko piżamę mam głupią, z całym szacunkiem – jęknął.

– No co ty! Wglądasz w tych różowych kryzach, jak sam Ludwik Słońce.

– Może i tak... Ale gdybym chciał zaprosić nową koleżankę na spacer, to jak? Zabrałaś mi frak i paradne portki...

– Zwróć. Obiecuję, że jak już będziesz gotowy na spacer, zdobędę dla ciebie strój naprawdę godny szlachcica.

– Mówisz serio? – zapalił się Potocki. – Kontusz może?

– E, tam. Kontusz to by już była przesada. Ale taki tam... fikuśny komplecik...

– W takim razie... – Potocki zmieszał się nieco.

– No?

– Ale obiecaj, że potraktujesz poważnie to co powiem!

– Obiecuję.

– Pochowasz mnie w nim. Obiecałaś i nic już nie mów! Cisza!

Zaasekurował się na wypadek moich protestów.

– A teraz daj się napić, bo mnie mdli od tych wegetariańskich napojów.

– Mam tylko koniak...

– No cóż. Nie będę wybrzydzał. Daj lampeczkę tego świństwa.

•

Byłam dobrej myśli. Potocki był pod doskonałą opieką, spektakl cieszył się ogromnym powodzeniem (podobno jako aktorka dramatyczna sprawdziłam się lepiej niż komediowa), sezon miał się ku końcowi. Mniej więcej raz na dwa dni wpadali do mnie koledzy i koleżanki, aby zobaczyć co słychać u Potockiego, a także (dość jawnym ukradkiem) wypić z nim jego zdrówko. Sąsiadka gotowała mu zawzięcie różne wyszukane potrawy, a ja zaopatrywałam ją w produkty. Pani Małgosia – bo i ja zaczęłam teraz tak się do niej zwracać – o dziwo nie złościła się, gdy poczuła od Potockiego woń alkoholu. Mało tego; przyniosła mu kiedyś flaszkę wina z jeżyn własnej roboty. To znaczy nie własnej, tylko jakiejś koleżanki, ale w każdym razie swojskiego.

Właściwie można by pomyśleć: sielanka... gdyby nie fakt, że Potocki

od czasu do czasu porządnie niedomagał, kasłał, słabł – ale potem jakoś trochę dochodził do siebie. O wizycie lekarza nie chciał nawet słyszeć, a ja szanowałam ten jego upór. Szczerze mówiąc przypuszczałam, co mu jest. Mój tata zmarł na raka płuc, a tu wszystko przebiegało analogicznie. I tu pewnie wzbudzę kolejne kontrowersje, że nie starałam się za wszelką cenę ratować kumplowi życia, ale... Chciałam mu po prostu oszczędzić cierpień. Tego włączenia po szpitalach, licznych badań, potem operacji, chemii...

Potocki zmagał się z chorobą już od blisko roku, w paskudnych warunkach, nieleczony, więc tak czy inaczej nie było najmniejszych przesłanek, że ta droga przez mękę zostanie zwieńczona sukcesem. Musiałby nastąpić cud, a nawet, gdyby nastąpił to... po co właściwie?

Zresztą leczenie łączyłoby się przede wszystkim z natychmiastowym odstawieniem alkoholu, czego jego wycieńczony organizm mógłby już nie znieść. Miałam okazję widzieć, co się z nim działo w pierwszych dwóch dniach jego pobytu u mnie, kiedy nie miał okazji wypić ani grama... Nie, nie mogłam mu tego zrobić w imię własnego, egoistycznego poczucia, że „tak należy”. Postanowiłam za to sprawić, że będzie szczęśliwy i na tym skupiałam się każdego dnia.

•

Opowiedziałam o Potockim Maćkowi. Nie wiem po co, ale tak chyba jakoś mi wyszło z kontekstu. Boże mój, jeszcze jakiś czas temu nawet przez myśl by mi nie przeszło, że będę rozmawiała z jakimś dzieciakiem o nałogu alkoholowym i jego konsekwencjach.

– No to faktycznie, przykra sprawa – zasępił się Maciek.

Od czasu, gdy wstąpiłam z nim po raz pierwszy do bufetu, wpadaliśmy tam razem coraz częściej. Towarzystwo Maćka było dla mnie gwarancją, że żadna z koleżanek nie zasypie mnie tam plotkami ze środowiska oraz że żaden z kolegów nie będzie się do mnie umizgiwał.

– Przykra – przytaknęłam.

– A wiesz, że w naszym zawodzie istnieje dużo większe ryzyko uzależnień niż w innych?

– Wiem – odparłam z wahaniem i przyjrzałam mu się uważniej, czy aby nie jest to przytyk do mnie.

Maciek jednak patrzył na mnie dokładnie tak samo jak zazwyczaj. Być może nikt nie opowiadał dzieciom plotek tego rodzaju. A poza tym on był zbyt szczery, by bawić się w dwuznaczności.

– W moim wieku szczególnie – ciągnął. – To znaczy, nie tak to chciałem powiedzieć. Chodzi mi o te wszystkie dziecięce gwiazdy, które nagle poznikały z ekranów. Mało która nadal jest gwiazdą w dorosłym życiu. Nie sądzisz, że taki nagły brak zainteresowania dla kogoś, kto przez kilka lat był w centrum uwagi, mu-

si się tak właśnie skończyć?

– Czy ja wiem? – zastanowiłam się przez moment. – Może nie musi, ale zdarza się. Są na przykład tacy byli aktorzy dziecięcy, którzy zostali w dorosłym życiu prawnikami, biznesmenami, architektami... I mają się całkiem nieźle.

– Owszem – zgodził się Maciek. – Ale to był ich wybór, to oni w którymś momencie zrezygnowali z kariery, a nie ona z nich. Myślę, że na tym polega różnica.

– No tak, masz całkowitą rację, mądralo – uśmiechnęłam się do niego. – A... jak to będzie z tobą? Nie masz już teraz jakichś obaw?

– Czy ja wiem... Lubię grać i szczerze mówiąc nie wiem, co mógłbym robić innego. To znaczy, jaką mieć inną pasję: sport? Czytanie? Oglądanie filmów? Gry komputerowe? Nie wiem i wszystko jedno, co robię teraz. Ważne, że jakoś zajmuję sobie czas, bo to na razie... jest zabawa. Wiesz?

– Ale kiedyś będziesz musiał zdecydować, co dalej.

– No właśnie, taką mam nadzieję. Że to ja będę decydował, a wówczas wszystko będzie okej.

Chyba na chwilę mnie od tych jego wywodów zatkało.

– Boże mój, Maciek, jaki ty jesteś mądry! Wszystkie dzieci dziś są takie, czy tylko ty, bo jakoś tak... nie na bieżąco jestem?

– Wszystkie – potwierdził z powagą. – Tylko nie wszystkie mają okazję ze swojej mądrości korzystać. A w ogóle nie zachwycaj się mną tak ostentacyjnie, bo mnie zepsujesz.

W tym momencie jego poważna mina zmieniła się w radosny grymas i Maciek wybuchnął śmiechem.

•

Zgodnie z obietnicą zdobyłam w teatrze dla Potockiego kompletny strój szlachecki: spodnie, zakiet, koszulę i buty. Nieborak był tak szczęśliwy, że o mało mi się nie rozpląkał. Włożył go na siebie od razu i zaczął przechadzać się od lustra do lustra. Kosztowało go to trochę energii, bo usiadł w końcu przy stole, a oddech miał głęboki i przyśpieszony.

– Muszę się tak pokazać Małgosi – oznajmił. – Poprosisz ją tu, madam?

– No przecież przyjdzie sama, obiecała ci gołąbki na obiad.

– To na obiad, a ja bym chciał się jej pokazać teraz.

– Ależ jesteś niecierpliwy! Ona pewnie w tej chwili pracowicie zawija te... wszystkie bebechy w liście kapusty. Nie wypada jej przerywać.

– W takim razie ja się rozbieram. Nie będę paradował w najlepszej kapocie bez sensu, jeszcze się zniszczy...

– E, tam, jak ci się zniszczy? Tu, w domu?

– Może – odparł smętnie i zaczął niezdarnie rozpinać guziki.

– Oj, rany, Potocki! – zniecierpliwiłam się wreszcie. – Czekaj, jak już tak bardzo chcesz, to pobiegnę po tę sąsiadkę.

– Albo nie... nie trzeba... – rozmyślił się nagle, zdjął z siebie pomału sztuka po sztuce i rozwiesił starannie na krześle. – Pójdę się położyć.

Otulony moim wiśniowym atłasowym szlafrokiem, chudy i nieziemsko blade, faktycznie miał coś w sobie z kruchego, subtelnego arystokraty. Położył się na swoim materacu i uśmiechnął się łobuzersko.

– Wiesz? Muszę ci się przyznać, że ja właściwie nie lubię gołąbków. I to jest jedyna potrawa, jakiej nie lubię. Ale lubię Małgosię, więc nie mów jej o tym, proszę.

– Sam nie mogłeś jej o tym powiedzieć, zanim się napracowała jak sierota jakaś?

– Nie... Miała tyle entuzjazmu do tych gołąbków, że nie miałem serca.

– No to teraz będziesz jadł i się zachwycał.

– Niestety... No bo wiesz co?

– No? – przycupnęłam obok niego, na brzeżku materaca.

– Bo jak byłem mały, moja niania strasznie mnie zmuszała do jedzenia gołąbków. I w ogóle do wszystkiego, co było z kapusty, aż mi zbrzydła w każdej postaci.

– Niania... cię zmuszała do jedzenia kapusty?

– Och, no bo wiesz... Ukrywaliśmy się wtenczas na wsi przed bolszewikami. I tam było mnóstwo tej kapuchy, mówię ci, jak okiem sięgnąć, kapucha i kapucha!

– Z nianią się ukrywałaś?

– Taaak! – potwierdził Potocki. – Była bardzo oddana mojej rodzinie i gdy w pałacu zaczęła się rzeź niewiniątek, złapała mnie, takiego maleńkiego, w pieluszkach i ukryła się ze mną u swojej rodziny na wsi.

– O... Niesamowite. To ty już jako oserek musiałeś tę kapuchę wcinać?

W chwilach, kiedy Potockiego ponosiła nadmierna fantazja, lubiłam się z nim podroczyć.

– No właśnie, wyobrażasz to sobie? – księciu skrzywił się boleśnie. – A ja nawet nie miałem wówczas ząbków...

– To ja się nie dziwię, że masz uraz. A co z tą nianią?

– Nic takiego. Dobra kobieta z niej była. Zaraz potem wyszła za mąż w tej wsi, za kowala. A we mnie odezwał się patriotyzm, więc uciekłem i zaciągnąłem się do wojska.

– I... taki bez ząbków się zaciągnąłeś?

– To było później – prychnął urażony. – Dzwonek do drzwi. Nie słyszysz?

Zbiegłam na dół, ale pod drzwiami nikogo nie było. Bo to był stary, sprawdzony wybieg Potockiego, gdy sam się w swoich opowieściach zapędził w kozioróg. Wówczas odwracał uwagę słuchacza w najbardziej nieoczekiwany sposób.

Kiedy wróciłam, księciu leżał z zamkniętymi oczami.

– Nie śpię – szepnęła, gdy usłyszała, że zamierzam wyjść cicho z pokoju.

Wróciłam i usiadłam przy nim, jak przedtem.

– Wiesz, Helena, bardzo cię lubię. Fajna z ciebie babka, taka... lojalna i odważna.

– Odważna? A z czegoż to wnioskujesz? – zdziwiłam się.

– Bo jak zaczęłaś na nowo zdobywać sławę, myślałem, że przestaniesz się do nas przyznawać. A ty... jesteś dla nas taka, jaka byłaś. To wymaga odwagi, no nie?

– Czy ja wiem?

Zrobiło mi się głupio, bo dla mnie nie był to żaden akt odwagi. Mnie po prostu było wszystko jedno, czy ludzie widują mnie w ich towarzystwie i co sobie myślą.

– A poza tym... Jesteś dobra kobieta, Helena – kontynuował Potocki peany na moją cześć. – I dałaś mi taki piękny strój...

– Przestań, księciu, bo mnie to krępuje! – zażądałam.

– Dzwonek do drzwi, słyszysz?

Tym razem rzeczywiście ktoś dzwonił. Na dole zastałam sąsiadkę z owiniętym w ścierkę rondlem.

– Wyszły mi naprawdę doskonale – oznajmiła na wstępie. – Mam nadzieję, że Apolinary będzie podobnego zdania.

– Z pewnością – przytaknęłam pewna, że fantasta Potocki świetnie wybrnie z tej sytuacji.

– Ojej, ale on śpi – sąsiadka zajrzała do pokoju, po czym wycofała się dyskretnie.

– Faktycznie – spojrzałam jej przez ramię.

Coś jednak mi tu nie grało. Podeszłam do niego ostrożnie. Księciu miał na twarzy nikły uśmiezek, taki... na poły łobuzerski, na poły tajemniczy. Jego dłoń wskazywała na drzwi.

– Boże mój, pani Małgosiu, ja się obawiam, że... on już tych gołąbków nie skosztuje! – szepnęłam do sąsiadki.

– Co... co takiego? Apolinary! – sąsiadka wróciła do sypialni i pochyliła się nad jego twarzą. Przez chwilę nasłuchiwała.

– Faktycznie... Dokładnie jak mój Antoni, bez tchu i taki blady...

Poczułam, jak zbierają mi się łzy pod powiekami. Księciu leżał teraz taki spokojny i ładny, jak nigdy: ogolony, czyściutki, uczesany. Wyglądał na szczęśliwego.

– Ileś ty dróg musiał zdeptać, nieboraku, kamienistych, śliskich i wyłącznie pod górę, zanim tu doszedłeś – westchnęłam, ściskając tę jego wyciągniętą dłoń. – Ale teraz już jest dobrze, mój przyjacielu. Teraz... już nigdy nie będziesz zmarz-

nięty, głodny, zagubiony... Mój ty... arystokrato.

Pani Małgosia spojrzała na mnie i zapłakałyśmy razem nad tym biednym, smutnym człowieczym losem...

••

XIV

Teściowa, i wszystko jasne.

Zadzwoiłam po pogotowie, przyjechało dość prędko, a z nim sam doktor Jarczyński, specjalista od wypisywania kart zgonów. Osłuchał Potockiego, ostukał i uznał go za nieżyjącego.

– Proszę o dowód zmarłego, żebym mógł oświadczyć, co następuje.

– Nie mam – przeraziłam się. – Nie wystarczy imię i nazwisko? Tyle mogę podać.

– No co pani – obruszył się doktor. – Stwierdzenie zgonu to poważna sprawa!

– Serio? – spytałam z przekąsem. – Raz może się nie zgodzić stan delikwenta, drugim razem personalia. Co za różnica?

Doktor spojrział na mnie spod wysoko uniesionych brwi.

– A... to pani? – spytał wyraźnie zmieszany.

– Ja. Może zmylił pana fakt, że jestem żywa, ale to ja.

– Proszę się zgłosić do mnie jak najszybciej z dowodem tożsamości denata – zostawił mi swoją wizytówkę, oraz... wizytówkę zakładu pogrzebowego.

– Firma „szybko, tanio i bez formalności”? – spytałam z przekąsem. – Przynajmniej płyty nie zacementowali za mocno...

Doktor spojrział na mnie spode łba i wyszedł. Jak tylko zabrano ciało mojego kumpla, pobiegłam pod Tesco, żeby złapać resztę swoich w czasie „pracy” i raczej po trzeźwemu.

– Cześć Helena, kopsniesz jakiegoś papiera, bo cienko trochę, jak na tą porę – zagadał Rajmund, którego spotkałam jako pierwszego.

– Później. Zbierz teraz wszystkich, ale tak... na jednej nodze.

– Stało się coś? – zaniepokoił się.

– Tak.

– Coś... z Potockim?

Skinęłam głową. Czekałam raptem kilka minut.

– Gadaj – zażądała Szczelba.

– Niestety, nasz kolega Potocki zmarł dzisiaj po południu... – wydusiłam z siebie.

Koleżanki spuściły głowy i chlipały cicho, jakby ukradkiem.

– Porządny był z niego gość – podsumował Byku, a Rajmund zastygł w bezruchu.

– Słuchajcie, potrzebne nam jego dokumenty, inaczej go nie pochowamy – przerwałam to pełne żalości milczenie.

– E... w apartamentowcu coś się znajdzie. Miał tam taką saszetkę, czy coś...

– przypomniała sobie Gangrena. – Ostatnio, jak przy nim czuwałam, trzymał ją cały czas w śpiworze.

Rzeczywiście, w pościeli Potockiego znalazłam czarną damską torebkę bez uszu. Zajrzałam do środka: były tam jakieś papiery, pocztówki, zdjęcia i dowód osobisty. To mi wystarczyło.

– Okej, ja to zabieram – oznajmiłam. – Skoczę jeszcze do doktora po tę kartę zgonu i więcej dziś nic już nie zrobię, bo gram o osiemnastej. Ale jutro z samego rana wszystko się załatwi.

– Dobrze – zgodziła się w imieniu wszystkich Szczelba. To widzimy się rano?

– Jasne.

– Przyjdziemy do ciebie o... dziewiątej? Nie za wcześnie? – zaproponował Byku, wiedząc, że zazwyczaj do jedenastej odsypiam spektakle.

– Nie, może być.

Doktora zastałam jeszcze w pogotowiu. Podałam mu dowód osobisty Potockiego i usiadłam.

– Leon Pitka, urodzony w...

– Zaraz, chwila, jak? – wyrwałam mu z ręki dowód, którego do tej pory porządnie nie obejrzałam.

– No... coś nie tak? – spytał lekarz. – Pani znała w ogóle... tego denata?

– Oczywiście, że znałam! – zaperzyłam się, oglądając dowód po raz trzeci.

Na zdjęciu niewątpliwie był Potocki, ale...

– Leon Pitka, urodziny w Zgierzu, 23 kwietnia 1952 roku – przeczytałam na głos.

– Zgadza się? – spytał doktor, choć właściwie nic się nie zgadzało.

Nic się nie zgadzało. Ani nazwisko, ani miejsce urodzenia z rodowym pałacem, ani data, która pozwoliłaby mu wziąć udział choćby w prześladowaniach za czasów Stalina. Spośród wszystkich znaczniejszych patriotycznych zrywów został mu jedynie stan wojenny...

•

Po powrocie z teatru, zamiast jak zwykle wziąć szybki prysznic i paść do łóżka, najpierw zadzwoniłam do Artura, mojego nowego kolegi i wyjaśniając z grubsza co i jak, poprosiłam o pomoc w załatwieniu spraw związanych z pogrzebem. Nie znałam przecież dobrze miasta, a potrzebowałam kogoś, kto by mnie podwiózł tu czy tam. Oczywiście, mogłam wziąć taksówkę, ale miałam swoje powody, aby tego nie robić. Głównie dlatego, że prawie wszyscy taryfciarze w Ł. mnie znali (to znaczy, znali Helenę), a teraz bardzo nie chciało mi się gadać z nimi na... oczywiście, że tak powiem, tematy.

Artur przejął się wiadomością o śmierci Potockiego o wiele bardziej niż mo-

głam przypuszczać. Żeby mi pomóc, musiał zmienić kilka swoich planów, ale chętnie się zgodził. Gdy już ustaliłam z nim co i jak, zajrzałam do saszetki Potockiego.

– Nie martw się stary – szepnęłam. – Wszystko zostanie między nami...

Miałam naprawdę duże opory przed szperaniem w jego rzeczach, ale być może miał tam coś, co było przeznaczone do zrealizowania po jego śmierci właśnie? Coś w rodzaju testamentu czy ostatniego życzenia?

W saszetce był cały plik różnych papierów, jakichś rachunków, dowodów wpłat, odpis aktu urodzenia, akt chrztu, zdjęcie rentgenowskie szczęki, stary dowód osobisty i stare prawo jazdy oraz obrazek z Matką Boską Szkaplerzną. Było też kilka zdjęć i pocztówki, te jednak nic mi nie mówiły: kartki były wysłane do Potockiego (a raczej Pitki) przez osoby, o których nigdy nie słyszałam.

Na jednym ze zdjęć była grupa uczniów w mundurkach szkolnych, było też zdjęcie chłopczyka, chyba z przedszkola, siedzącego na kolanach Dziadka Mroza. Było zdjęcie staruszki siedzącej na schodach jakiegoś domu, było też drugie zdjęcie grupowe z czasów szkolnych, ale znacznie nowsze, kolorowe. Tym razem byli na nim licealiści. O ile na pierwszym z nich mógł figurować Potocki, na drugim zdecydowanie nie. Może... jego syn lub córka? Ostatnie zdjęcie, a raczej portrecik wielkości pocztówki, przedstawiał młodą, dość ładną blondynkę o uroczym uśmiechu, z dołeczkami w policzkach. Tę samą dziewczynę odnalazłam na poprzedniej fotografii. – A więc Potocki miał córkę? – pomyślałam. – A skoro tak, to gdzie ona jest teraz?

Wzięłam do ręki jego stary dowód osobisty i odszukałam adres, pod którym był zameldowany od 1988 roku. W Zgierzu, tam, gdzie się urodził. Pomyślałam, że może należałoby poinformować tę córkę o jego śmierci... o ile mieszka pod tym adresem.

•

Rano, jeszcze przed ósmą pobiegłam do pani Małgosi, żeby przekazała moim kumplom kiedy się zjawia, że pojechałam sama i że wszystko im później wyjaśnię. Artur był u mnie punkt ósma, jak obiecał.

– Nie wie pani... nie wiesz, jak się za to zabrać, co? – spytał.

– Właśnie.

– Rok temu chowałem ojca i ja akurat wiem, niestety...

– Bardzo mi przykro – bąknęłam zdawkowo.

– No cóż... Takie rzeczy się zdarzają – odparł. – Jeśli chcesz, możesz skorzystać z tego samego zakładu pogrzebowego, ja w każdym razie polecam.

– Dobrze.

– Trzeba będzie załatwić akt zgonu w Urzędzie Stanu Cywilnego, bo bez tego nie wypłacą ci zasiłku pogrzebowego...

– Nie będziemy sobie zwracać głowy zasiłkiem. Zapłacę za wszystko.

- A... facet nie był ubezpieczony?
- No, raczej nie był. I dajmy temu spokój.
- Ale najpierw muszę wiedzieć, czy to ma być kościelny pogrzeb?
- Jasne, że kościelny!

Na szczęście miałam akt chrztu Potockiego,

– To może... w... eeee... tej sytuacji jedźmy do mojej parafii – zaproponował Artur. – Dobrze?

Ksiądz z parafii Artura, o dziwo, nie robił jakichś szczególnych ceregieli. Artur wyjaśnił mu, że chodzi o zagubioną owieczkę, ochrzczoneą i wierzącą, ale z powodu swojej... dolegliwości niepraktykującą od jakiegoś czasu. Ksiądz westchnął i rozłożył ręce.

– Wobec tego obrzęd pogrzebowy odbędzie się w kaplicy – zdecydował.

Potem podjechaliśmy pod firmę pogrzebową o nazwie zaczerpniętej z mitologii greckiej. Tam formalności również załatwiliśmy szybko i sprawnie. Pogrzeb miał się odbyć za dwa dni. Spojrzałam na zegarek, dochodziła jedenasta. Zapytałam Artura, czy mógłby jeszcze podjechać ze mną do Zgierza, bo chciałabym spróbować powiadomić o pogrzebie córkę Potockiego. Zgodził się bez najmniejszego sprzeciwu.

– Zna pa... znasz może adres? – spytał, wciąż nie potrafiąc swobodnie zwracać się do mnie w drugiej osobie. – Czy trzeba będzie szukać przez urząd?

– Znam, o ile jest aktualny.

Artur okazał się nie tylko bardzo pomocny, ale także niezwykle obrotny. Pogratulowałam sobie w duchu pomysłu zaangażowania go w sprawę.

– Gra p... eee... grasz dziś wieczorem? – spytał po dłuższej jeździe w milczeniu.

– Tak, dziś o dziewiętnastej.

– Chyba męczące to musi być, nie? Takie granie... Trema, obawa, że się coś zapomni, tłum ludzi... A na drugi dzień od nowa to samo.

– Nie, nie to samo, bo wystawiamy różne rzeczy, na zmianę – uśmiechnęłam się do niego. – No i nie gram codziennie, tylko trzy razy w tygodniu.

– Ale pomimo to...

– A tremy nie miewam. Nie myślę też o tym, że mogłabym zapomnieć kwestii. To bez sensu. Widziałeś mnie kiedykolwiek na scenie?

– Nie. W teatrze nie, ale dawniej jeszcze, w kinie.

No, toś się naoglądał – pomyślałam, mając na uwadze skłonności Heleny do grania scen rozbieranych.

– Wobec tego zapraszam dziś wieczorem, razem z małżonką. Będziecie moimi gośćmi.

– Jasne! Jasne, że przyjdę. Ale bez małżonki, bo... nie mam.

•

Pod adres, który znalazłam w dowodzie Potockiego, trafiliśmy bez większego problemu. Mieścił się tam dom prywatny, co moim zdaniem dawało większe szanse, że właściciel przez cały czas będzie ten sam. Przy furtce nie było niestety dzwonka, był za to pies. Postanowiłam trochę go rozeźlić, żeby dał głos. Sposób nie był zły, bo po chwili z domu wyszła starsza, tęga kobieta.

– Dzień dobry, nazywam się Helena P. – przedstawiłam się na początek. – Czy pani jest może krewną Leona Pitki?

– Niech mnie ręka boska broni! – warknęła.

– No ale... on tutaj mieszkał, czy tak?

– A o co się rozchodzi? Niech pani mówi prędko i da mi święty spokój.

– Bo ja... szukam jego krewnych. Żeby powiadomić o pogrzebie.

Kobieta wyraźnie się ożywiła.

– Zdechł?

– Pan Leon... zmarł wczoraj. Chciałabym, żeby ta wiadomość jakoś dotarła do jego córki.

– On nie ma córki. Zabił ją, proszę pani, z zimną krwią! Oby się w piekle smażył, morderca! Niechby go Belzebuby w smole rozpalonej taplały do skończenia świata! Ażeby mu...

Nie słuchałam dalej. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę Artura, który przechadzał się wzdłuż sąsiednich posesji. Nie chciałam, żeby towarzyszył mi przy tej rozmowie i jak się okazało, była to dobra decyzja. Gdy kobieta przestała pomstować i weszła do domu, Artur skinął na mnie ręką. Stał naprzeciw niewielkiego domu przy końcu ulicy i najwyraźniej sobie z kimś gawędził. Podeszłam do niego. Jego rozmówczynią była kobieta w podobnym wieku do tej, z którą ja usiłowałam pogadać.

– Posłuchaj, ta pani ma ci coś do powiedzenia – oznajmił półgłosem.

– Podobno szuka pani krewnych Leona Pitki? Nikogo pani nie znajdzie – spytała i odpowiedziała od razu.

– To znaczy... ta... – wskazałam na dom, przy którym chwilę temu stałam.

– Ona nie jest nikim z jego rodziny. To była teściowa. Nienawidzi go do dziś.

– Znaczy się... Potoc... pan Leon kogoś zabił?! Swoją córkę, o ile dobrze rozumiałam?

– Nie wiadomo, czy córkę czy syna. Ona była w ciąży.

– Ona?

– No... córka tej... – kobieta wskazała na dom, jak ja poprzednio.

– Nie rozumiem... Ale jak zabił... Z zimną krwią? – powtórzyłam, czego się dowiedziałam przed momentem.

– Skąd! Ale wejdźcie państwo na podwórko, bo nie chcę, żeby nas widziała.

Usiedliśmy wszyscy troje na ławeczce.

– To może ja od początku opowiem?

– Bardzo proszę, tak będzie najprościej – przytaknęłam.

– Leon, znaczy się pan Pitka uczył w liceum historii. Młody był, no... koło trzydziestki w każdym razie. I tam mu wpadła w oko Urszulka, taka szczebiotka, świetna dziewczyna, miła, uczynna, grzeczna... Aż dziw, że to córka tej... – kobieta wskazała ruchem głowy w tym samym kierunku co przedtem.

– A więc to była j e j córka... – szepnęłam.

– No tak. Ona też się w nim zakochała. Na początku kryli się z tym bardzo, bo Usia jeszcze nie miała całkiem osiemnastu lat, ale kiedy matka się dowiedziała....

– O mój Boże – jęknęłam bezwiednie. – Ależ musiała być awantura!

– Ale skąd! – zaprzeczyła kobieta. – Ona była z tego całkiem zadowolona. W końcu Leon był nauczycielem, profesor na niego mówili. Poważny, wykształcony, z własnym mieszkaniem, z małym fiatem. A skoro matka nie miała nic naprzeciw, przestali się ukrywać i jak tylko Usia skończyła osiemnaście lat, wyprawiła im wesele. Takie, wie pani, zastaw się, a postaw się. Chciała się pokazać, bo oni z ojcem Urszuli z handlu jarzynami na straganie żyli, a tu masz, taki zięć!

Kobieta aż się zasapała w trakcie tej opowieści. Widać nie przepadała za sąsiadką.

– No ale co się potem stało? – ponagliłam.

– Leon był tak wpatrzony w żonę, że robił co chciała, a ona robiła to, co chciała jej matka. Jeszcze tego samego roku sprzedał mieszkanie i wprowadzili się tutaj. Że niby córka jedynaczka, piętro puste stoi i takie tam. Za pieniądze z mieszkania mieli sobie urządzić całą górę. Ale że Usia zaszła w ciążę, matka zaczęła ponaglać, żeby zdążyli przed urodzeniem dziecka. Czasy były ciężkie wtedy dla młodych, za wszystkim się stało w kolejkach, nieraz całą noc. No i wybrali się na takie nocne stanie pod meblowym, do Ł. Usia podobno koniecznie chciałajechać, żeby te meble wybrać i choć Leon nie chciał jej fatygować w takim stanie, uparła się i pojechała. W drodze powrotnej Leon chyba przysnął za kierownicą, albo coś mu się stało i uderzył w drzewo, a w nich rąbnęła bagażówka z ich meblami. Urszulka zginęła na miejscu.

– O mój Boże – zakryłam rękami twarz. – I co?

– No... – zamyśliła się kobieta. – Można się domyślić. Leon nie mógł tu żyć, ale i nie miał dokąd pójść. A ta stara pijawka co dzień zatruwała mu życie. Chciał w końcu zabrać resztę pieniędzy, które miał za mieszkanie i wynając coś na początek, ale się okazało, że matka Urszuli trzyma je na swojej książeczce. I nie da. Wkrótce zaczęła opowiadać ludziom, jak to Leon uwiódł jej niepełnoletnią córkę, że ożenił się tylko dlatego, że oni, rodzice Usi, to na nim wymogli, a że teraz nie chce się wyprowadzić i domaga się od nich spłaty z połowy ich własnego domu.

To zrobiło swoje...

– To znaczy? – teraz już się zaczęłam domyślać, ale wolałam poznać fakty.

– Leon przed powrotem z pracy gołnął coś zazwyczaj po drodze. W ten sposób łatwiej znosił żal po stracie żony, wyrzuty sumienia i awantury teściowej. Po jakimś czasie nie mógł się już obejść bez wódki i chodził nawet do pracy podchmielony. Aż go wyrzucili. Na początku dorabiał, jak mógł za parę groszy, potem za jedzenie, a na picie zarabiał zbieraniem złomu. Wtenczas teściowa zrobiła mu eksmisję. Nawet więzienie Leonowi groziło, za rzekome pobicie tej baby. Ale nagle zniknął. Jak kamień w wodę, przepadł! A teraz... mówicie państwo, że zmarł?

– Niestety – westchnęłam.

– Pojechałabym na pogrzeb, ale niedomagam trochę ostatnio. Zapalcie biedakowi ode mnie świeczkę, dobrze? Proszę zaczekać.

Kobieta weszła na chwilę do domu, skąd przyniosła pokaźnych rozmiarów znicz.

– Mam zawsze kilka – wyjaśniła – Często chodzę na grób mojego męża.

Po powrocie do Ł. chciałam zwrócić Arturowi pieniądze za benzynę, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Podziękowałam mu więc serdecznie i przypomniałam o zaproszeniu na wieczorny spektakl.

– Przyjdę, na pewno przyjdę – zapewnił i odjechał.

Zaraz po powrocie do domu Pani Małgosia poinformowała mnie, że moi koledzy byli tu już kilka razy i że znów się zapowiedzieli. I rzeczywiście, wpadli tuż przed moim wyjściem do pracy. Opowiedziałam im z grubsza, co załatwiłam, o wizycie w Zgierzu nie wspominając. W końcu Potocki miał pochodzić z całkiem innych rejonów kraju, więc tak niech już dla nich zostanie. Zaoferowałam im pieniądze na wieniec czy kwiaty, ale odparli, że chcą pożegnać kumpla własnoręcznie i od siebie.

– A macie w czym pójść? – zatroskałam się na koniec.

– Pewnie – odparł Rajmund. – Żałobna odzież nam została jeszcze od twojego pogrzebu...

•

Artur, jak obiecał, do teatru przyszedł. Dostrzegłam go kątem oka, siedział w pierwszym rzędzie z bukietem kwiatów. – Niedobrze – przemknęło mi przez myśl. Bo gdyby on jakoś opacznie odebrał nasze ostatnie kontakty, czułabym się fatalnie. Jakbym go wykorzystana i porzuciła. Pożałowałam, że nie upierałam się bardziej przy zapłacie za paliwo. Na wszelki wypadek postanowiłam po zakończeniu spektaklu trzymać się Maćka. Ostatnio zresztą i tak wracaliśmy do domów jedną taksówką, co prawda jadąc najpierw pod dom Maćka taksówka trochę nadrabiała drogi, ale było nam w ten sposób różniej. A poza tym... byłam spokojna, że nie trafi na jakiegoś taryfiarza-pedofila.

– Coś mi się zdaje, że będziesz miała gościa – poinformował mnie Maciek po występie. – Widziałaś tego faceta z wiechciem?

– No co ty nie powiesz? – udałam zaskoczoną. – A jeśli już, to z kwiatami, mody cyniku.

– Okej. Zwiechciem kwiatów, niech ci będzie.

– I dlaczego akurat ja?

– Bo tylko ty w tym teatrze dostajesz kwiaty. Nie zauważyłaś?

– A ty bombonierki!

– Rozumiem, że i ty wolałabyś czekoladki, zazdrośnico?

– A ty wiechcie... kozo?

Roześmialiśmy się oboje i rozeszliśmy się do swoich garderób. Przez chwilę zapomniałam o pogrzebie Potockiego...

– Bierzymy razem taksówkę, czy dziś wracasz... uhm... sama? – chrząknął Maciek, wchodząc po jakimś czasie do mojej garderoby.

– Czy ty wiesz, młodociany aktorze, że jako jeden jedyny spośród jedynych masz wstęp do mojej garderoby? Mógłbyś to docenić i pukać przynajmniej.

– Już nadrabiam – odparł i zastukał w futrynę od wewnątrz.

– Łobuz – mruknęłam pod nosem.

– Więc jak będzie?

– Wracamy razem. To znaczy, razem z tobą.

Tak jak przypuszczałam (Maciek też zresztą), przy wyjściu z teatru czekał na mnie Artur. Podszedł do mnie dość niepewnie, popatrując z ukosa na Maćka.

– Proszę – wręczył mi kwiaty. – Byłaś wspaniała. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się czegoś takiego... Wzruszyłaś mnie. Oboje mnie wzruszyliście. A to... dla ciebie – Maćkowi podał pudełko czekoladek. – Byliście świetni. Teatr... to naprawdę wielka rzecz! – rzucił odchodząc.

– Nie było tak źle, co? – spytał Maciek. – Już myślałem, że będzie chciał cię wyrwać, a tu proszę, normalny wielbiciel!

– Sądzisz, że nie chciał?

– Nie chciał – odparł Maciek. – Nie oddałby mi przecież twoich czekoladek.

•

Na pogrzebie Potockiego nie było zbyt wielu żałobników. Oprócz nas, jego kumpli, przysłała pani Małgosia, Artur i... Maciek.

– Helena, czemu ksiądz mówił na Potockiego Leon? – spytał mnie Rajmund w drodze z kaplicy na cmentarz.

– Bo on tak miał na imię. Miał kilka imion, jak każdy szlachcic, ale przecież ksiądz nie mógł wymieniać ich wszystkich.

– I musiał wybrać najgłupsze? – spytała Gangrena.

– Cicho, skupcie się lepiej na modlitwie – zganiałam ich.

Nazajutrz rano pojechałam do kamieniarza, którego polecił mi Artur i zamówiłam nagrobek. Na płycie miało być wyryte: „Apolinary Leon Potocki”. Data i miejsce urodzenia także została przeze mnie dostosowana do jego legendy. Zamówiłam też tymczasowy, drewniany krzyż z tabliczką o takiej samej treści.

– Nie wiem, kogo mam przepraszać za tę machlojkę, Panie Boże – szepnęłam po wyjściu z zakładu. – Albo... dlaczego właściwie ja? – zmieniłam zdanie. – Już ty sobie sam przepraszaaj, Leonie, krętaczu.

••

Włam

W piątek zagraliśmy ostatni w tym sezonie spektakl, nie miałam więc już w Ł. nic do roboty. Teraz mogłam się zająć rozrachunkami z Filipem. Widać poczuł się już chyba w miarę pewnie, bo więcej się nie pokazał. Wziął pewnie sprawy na najprostszą, aczkolwiek złudną logikę: że skoro go nie nachodzę, to oznacza, że wszystko w porządku. Fakt, że się tak dobrze poczuł na moich włosciach, mógł być mi tylko na rękę.

Zarezerwowałam więc pokój dla dwóch osób w hotelu w W., na nazwisko Szczelby (ta to miała nazwisko: Zofia Orłowska) i jeszcze w niedzielę wieczorem postanowiłam z nią tam pojechać. Najtrudniejsze w tym wszystkim wydawało mi się wytłumaczenie naszym kumplom, dokąd to tak nieoczekiwanie wybieramy się w duecie. Szczelba zrobiła to za mnie całkiem prosto. Przypomniała im, jak bardzo chciała pojechać ze mną kiedyś na gościnne występy i wyjaśniła, że teraz zabieram ją na obiecaną wówczas wycieczkę.

– A my? – spytała Gangrena z zawodem w głosie, czego się zresztą też obawiałam.

I tu Szczelba poradziła sobie doskonale.

– Możesz jechać, nie ma sprawy, tylko że tam... nie będzie co pić – odparła chytrze.

– No jak to? W całym mieście nie będzie? – zdziwiła się Gangrena.

– Dla ciebie nie. I będziesz musiała codziennie umyta, uczesana i wyperfumowana zwiedzać zabytki.

– Ale czemu???

– Bo ja tam po to właśnie jadę – odparła z dumą Szczelba.

– Oszalałaś? – oburzyła się Gangrena.

– Oszalała – przytaknął Byku. – Ale co ja jej na to mogę, jak się uparła? Zresztą z Heleną jedzie, nie zginie.

Od rana w niedzielę, a w zasadzie już od soboty wieczorem zabrałam się do pakowania. Wcześniej kupiłam parę ciuchów, które maksymalnie odbiegały od mojego stylu ubierania, czyli džinsy, koszulki bawełniane i płaskie sportowe obuwie. W teatrze pożyczyłam sobie perukę z fryzurką z krótkich czarnych loczków. Zaopatrzyłam również Szczelbę w kilka rzeczy, więc kiedy przyszła do mnie w niedzielne popołudnie „zapropnowałam” jej kąpiel, a później zaczęłyśmy swoją maskaradę. Nawiasem mówiąc koleżanka moja zjawiała się na niezłym rauszu, bardzo czule oraz dokładnie pożegnana przez męża i resztę. Może dzięki temu nie protestowała za bardzo przeciw moim zabiegom. Jej stan był mi w zasadzie obojętny, byłam przyzwyczajona do jej nieustającej „fazy”. Całkiem trzeźwej natomiast nie

widziałam jej nigdy. Skoro jednak od dwudziestu lat żyła i funkcjonowała w stanie permanentnego podchmielenia, musiała mi się przydać taka, jaka była. Kiedy przed wyjściem stanęliśmy obok siebie przy lustrze, Szczelba spytała:

- A... kto to som?
- My. Nie poznajesz?
- Ta chudsza to ja?
- Nie. Ta mniejsza to ty. Chodź, idziemy.
- Idź pierwsza – zaproponowała Szczelba.
- Bo?
- Bo ta co tu zostanie, to będę na pewno ja.

Wzruszyłam ramionami, zarzuciłam torbę na ramię i zeszłam na dół. Szczelba dołączyła do mnie dopiero po kilku minutach.

- I co? Napatrzyłaś się?
- E tam – machnęła ręką. – Zanim poszłaś, łudziłam się jeszcze, że ja to ta druga...

•

W hotelu po obejrzeniu pokoju, (dwuosobowego, z jednym ogromnym łóżem) zmieniłam go natychmiast na apartament, czyli dwa połączone z sobą pokoje z osobnymi łazienkami i małym salonikiem pośrodku. Jasne, że wolałabym wziąć całkiem osobne pokoje, ale musiałam mieć moją koleżankę na oku.

Jak tylko rozlokowałyśmy się z grubsza, usadziłam Szczelbę w saloniku przed telewizorem, a sama zabrałam się za obmyślanie planu na jutro. Jednak już po godzinie moją koleżankę zaczęło nosić. Łaziła po wszystkich pomieszczeniach i narzekała. A to filmy były nudne, a to materac twardy, to zaś podłoga w łazience zbyt śliska. Po chwili stwierdziła że boli ją głowa i ma gorączkę.

- Co chcesz? – zapytałam w końcu poirytowana.
- Że jak... że co ja chcę?
- No, jakie chcesz wino: słodkie, półsłodkie, wytrawne? Kupię ci, a ty wypijesz i pójdziesz spać. Okej?
- A... mogę? – spytała radośnie.
- Nie sądzisz chyba, że byłam tak naiwna i liczyłam na twoją abstynencję?
- W takim razie... półsłodkie – odparła skwapliwie. – A wiesz? Te kafelki nie są nawet takie śliskie.

•

Rano doszłam do wniosku, że jednak powinnam towarzyszyć Szczelbie wszędzie, dokądkolwiek ją posłę. To znaczy nie dosłownie i nie krok w krok, ale po prostu przebywać w pobliżu, najlepiej w taksówce. Pobłogosławiłam zatem swój pomysł zabrania peruki. Najpierw, bo takie od początku było moje założenie,

podjechałyśmy pod firmę SABA, wciąż jeszcze moją własną. Zrobiłyśmy to jeszcze przed ósmą, żeby poobserwować przychodzących do pracy ludzi. Poprosiłam taksówkarza o zaparkowanie auta w najbliższej rozsądnej odległości od drzwi.

– Popatrz – szepnęłam do Szczelby, wskazując na przechodzącą obok kobietę. – Ta tęga blondynka to księgowa. Ta wysoka, ruda, to Gabi, moja asystentka. Tu masz faceta od marketingu, a ten łysy za nim to informatyk. O, a te dwie młode laski pracują w promocji. Teraz patrz! – zapałam ją w emocjach za ramię. – To jest Filip ze swoją flamą.

W tym momencie przestałam się skupiać na pozostałych pracownikach. Szczelba aż podskoczyła na siedzeniu i zasłoniła się gazetą.

– No co ty, głupia. Przecież on cię nie zna – zabrałam jej gazetę. – Siedź normalnie i obserwuj.

Czekałyśmy może jeszcze kwadrans, aby dać im czas na zaparzenie kawy i zajęcie miejsc przy biurkach.

– A teraz ruszaj! – poleciłam Szczelbie. – Po drodze przypomnij sobie wszystko, czego cię nauczyłam.

– Nie mogę – jęknęła płaczliwie. – Boję się!

– Masz, łyknij sobie – podałam jej piersiówkę z koniakiem.

– Fuj, jakie świństwo – otrząsnęła się Szczelba, ale pociągnęła jeszcze raz i poszła.

– Panie długo tak zamierzają? – spytał taksówkarz.

– Do skutku, proszę pana – odparłam.

– A kiedy... ten skutek, tak szacunkowo, może nastąpić?

– Nie wiem. Ale jeśli panu się gdzieś śpieszy, zapłacę i może pan jechać. Taksówek w tym mieście jest od groma – odpowiedziałam w nerwach, bo facet nie pozwalał mi się skupić na mojej misji.

– Ja... przepraszam, ale chciałbym tylko wiedzieć, na czym stoję – zmitygował się prędko.

– W porządku. No więc... mamy z koleżanką coś do załatwienia w W. i potrzebujemy do tego środka transportu. Niewykluczone, że na dłużej nawet. Powiedzmy... na kilka dni. Możemy za każdą potrzebą brać kolejną taryfę, ale jeśli zechce pan być do naszej dyspozycji, będzie łatwiej.

– Oczywiście – zgodził się taksówkarz.

– Teraz dam panu zaliczkę, a resztę ureguluję na końcu. Może być?

Podałam facetowi żadaną przez niego kwotę i troszkę mnie ciarki po plecach przeleciały. Uświadomiłam sobie, że oto pozbyłam się oszczędności. Sam pogrzeb Potockiego i zaliczka za nagrobek pochłonęła trzy czwarte moich pieniędzy, potem jeszcze zakupy przed wyjazdem do W., wliczając w to hotel, który trzeba będzie opłacić i resztę kasy dla taksówkarza, dawało niemal dokładnie taką kwotę, jaka mi pozostała.

– Jedziemy! – w tym momencie całkiem jakby znikąd pojawiła się Szczelba i wskoczyła do samochodu.

Kierowca, zmotywowany już teraz konkretnie, o nic nie pytając ruszył z kopyta. Obejrzałam się za siebie. Z biurowca wybiegła mocno ożywiona sekretarka Filipa.

– Co się stało? – spytałam Szczelby, która do teraz nie mogła złapać tchu.

– Nie... powiedziałaś mi... że wy tam produkujecie... słoiki... – wysapała.

Przez moment mnie zatkało.

– Jakie znowu słoiki? Szczelba, co ty bredzisz?

– Bardzo dobrze mi szło – zaczęła swoją opowieść. – Szłam na piechotę i po drodze bratałam się z każdym, kto mi się nawinął...

– Na piąte piętro?!

– No. Widzisz sama... jak się... poświęciłam.

– I co?

– Zaczęłam od tej plotkarskiej portierki na dole, na pierwszym piętrze był jakiś monter, ale nie od ciebie, to niewiele gadał. Na drugim szły takie dwie z pączkami i z kawą, dość wygadane. Na trzecim sprzątaczką podlewała kwiatki, a potem jeszcze z kibla wyskoczył taki młody, rudawy z baczkami. Na czwartym najpierw nie było nikogo, ale jak się przeszłam po korytarzu w tę i nazad, wylazła skądś ta gruba, co mówiłaś, że jest księgową. I jeszcze jedna taka i coś odbijały na kserze. Na piątym...

– I z każdym gadałaś? – przerwałam jej.

– Z każdym – potwierdziła z dumą Szczelba. – I od każdego coś wyciągnęłam, ale to potem. Daj się napić, bo mi język kołkiem stanął.

– Masz – podałam jej piersiówkę.

– Dokąd teraz panie sobie życzą? – spytał kierowca.

– Może... do jakiejś knajpki. Żeby było smacznie i niedrogo – zdecydowałam.

Uświadomiłam sobie, że ani ja, ani Szczelba, nienawykłe do wczesnego jądania śniadań, nic dziś jeszcze nie miałyśmy w ustach. Oprócz kawy i koniaku.

– Krucho u ciebie z kasą? – strapiła się Szczelba, gdy wysiadłyśmy pod ostatniej klasy restauracją.

– Nie jest aż tak źle – odparłam wymijająco i poprosiłam taksówkarza, żeby na nas zaczekał.

Rzeczywiście, karmili tu dobrze, obficie i niedrogo. A kiedy przyszło do płacenia i kelnerka zapytała sakramentalnie: karta czy gotówka, olśniło mnie. Olśniło mnie tak bardzo, że do dziś się dziwię, iż nie towarzyszył temu zjawisku niezmierny blask i dźwięki trąb.

– Gotówką – odparłam i wręczyłam jej żadaną kwotę ze sporym napiwkami.

– Zgłupiałaś? Tyle forsy za przyniesienie z kuchni schaboszczaka? Żeby to choć

ona go sama usmażyła... – skrytykowała mnie Szczelba jeszcze w drzwiach.

– Nic się nie martw – uśmiechnęłam się beztrąsko. – Zaraz będziemy ohydnie wręcz bogate

– Ale... jak?

– Jedziemy na włam!

•

Mój plan był prosty i uczciwy, aczkolwiek pod każdym względem wyglądający wręcz przeciwnie. Przyjechaliśmy na osiedle, na którym mieszkam... mieszkaliśmy. Poprosiłam o zaparkowanie taksówki w miejscu, z którego kierowca nie będzie widział moich poczynąń.

– Idziemy – rzuciłam komendę, po czym musiałam Szczelbę lekko popchnąć, żeby zdecydowała się wysiąść. – Masz, łyknij sobie – zmotywowałam ją w końcu skutecznie.

– Ej, jesteś pewna, że chcesz... zrobić ten włam? – spytała, gdy zbliżyłyśmy się do jednego z wielu bliźniaczych domów, zwanych szeregowcami.

– Chwila, teraz na moment się rozcharakteryzuję.

Kryjąc się z jednej strony za plecami Szczelby, z drugiej zaś za krzakiem przekwitłego już jaśminu, zdjęłam perukę i wrzuciłam do torebki.

– Ty będziesz stała tutaj i patrzyła, czy ktoś nie idzie. Jakby co, będziesz krzyczała: Azor! Azor! Że niby pies ci uciekł. Rozumiesz?

– Ale... kogo ty chcesz okraść – szepnęła Szczelba.

– Nic się nie bój. Siebie samą.

Szczelba teraz pojęła mój zamysł i uspokoiła się całkiem. Rozejrzałam się ukradkiem, ale nikogo, jak okiem sięgnąć, nie dostrzegłam. Na tym osiedlu mieszkali sami ludzie pracy, a Jagoda powinna być o tej porze na uczelni. Podeszłam więc „pewnym” krokiem do garażu i „pewną” ręką wystukałam kod otwierający drzwi. – Dzięki ci Filipie, za twoje zamiłowanie do bajerów – szepnęłam wchodząc do środka. Przebiegłam wzrokiem po półkach, na których znajdowały się podręczne narzędzia i książki do majsterkowania, które Filip pasjami kupował, ale nigdy z nich nie korzystał.

– Jest – wyszeptam z ulgą.

Złapałam szybko białą, podłużną kopertę i wyszłam, starając się nie biec w podskokach. Za krzakiem jaśminu włożyłam z powrotem perukę.

– Co to masz? – spytała Szczelba, wskazując na kopertę.

Schowałam ją szybkim ruchem do torebki.

– To jest karta kodów – wyjaśniłam. – Służy do korzystania z konta bankowego za pomocą Internetu.

– I... trzymasz to-to w garażu?

– Nie, ale akurat szłam do garażu, gdy spotkałam listonosza. Przysłano

mi z banku nową kartę kodów, bo stara już mi się kończyła. Włożyłam więc koperkę pod takie jedno pudełko, z myślą, że jak będę wracać to ją zabiorę. I zapomniałam...

– Nie mogłaś jej wziąć ze sobą?

– Do ogrodu?

– Aaaa... chyba że tak – skinęła głową Szczelba.

– Wie pan co? – zwróciłam się do taksówkarza, gdy już wsiadłyśmy do samochodu. – Pojedziemy teraz do hotelu i... zapraszamy pana do siebie, do pokoju na kawę. Musimy pana w coś w wtajemniczyć.

– Robią panie może jakiś szwindel? – spytał takim tonem, jakby pytał o rodzaj kawy, jaki mu proponuję.

– Nie. To znaczy i tak i nie, ale tak naprawdę to w ogóle nie – odarłam zgodnie z prawdą, aczkolwiek dość zawile.

– Rozumiem – mruknął ku mojemu wielkiemu zdziwieniu.

•

Mam do pana ogromną prośbę na początek – zwróciłam się do taksówkarza z tak wielką powagą, na jaką tylko było mnie stać.

– Słucham – przysunął do siebie talerzyk z kremówką i przyjął pozę znaczącą stan najwyższej uwagi.

– Biuro, pod którym rano staliśmy, jest częścią mojej firmy. Ten młody facet, który wchodził tam jako ostatni, z taką czarną, chudą, to mój... mąż z kochanką – skłamałam odrobinę dla lepszej dramaturgii.

– I czego wy babeczki szukacie u tych nieopierzonych amantów, kiedy na świecie tylu dojrzałych, solidnych facetów – wymknęła mu się, najwyraźniej niechcący.

– Ma pan rację, jak najbardziej, ale, że tak powiem, mleko się już rozlało...

– Ej, daj łyka tego świństwa – poprosiła Szczelba, pobudzona poprzez dość nieoczekiwane skojarzenie.

– Masz całą flaszkę, bo dziś już nigdzie nie jedziemy – wetknęłam jej w rękę pierśiówkę. – Jak ci zabraknie, w barku jest więcej. Weź i idź do siebie. I cicho bądź.

Facet patrzył na tę scenkę, jakby nieco zdziwiony.

– To moja koleżanka. Jedyne, jaką mam. Musi się czasem... trochę posilić – powiedziałam, nie wiem po co.

– Rozumiem – odparł jak przedtem, czym ponownie mnie zadziwił. Mężczyzna ten wyrażał bowiem zrozumienie w sytuacjach, które moim zdaniem były najbardziej niezrozumiałe. Dla osób postronnych, w każdym razie.

– Ja, proszę pani, jestem taksówkarz od zawsze i z dziada pradziada. Dlatego wiele widziałem, jeszcze więcej słyszałem i naprawdę wiele rozumiem – wyjaśnił,

jakby czytając w moich myślach.

– No, to byłoby świetnie – mruknęłam pod nosem. – Bo chodzi o to, że ja się temu mojemu nie mogę pokazać. Bo... on jest przekonany, że ja nie żyję. I panoszy na wszystkim, co mam, z kochanką w dodatku.

– A dlaczego pani żyje? – spytał facet rzeczowo.

– Bo... on mnie zabił, ale... niezbyt dokładnie. To znaczy, spartaczył to i ja się ocknęłam. Ale on tego nie wie.

– To skurrrr... czykoń dopiero! Zdradzić i oszukać to jest świństwo, ale zabić... to już... naprawdę... draństwo.

– Jak pan się może domyśla, zostałam teraz bez środków do życia. No, prawie bez środków – poprawiłam się, aby się nie obawiał o resztę honorarium.

– Cham!

– Cham... trrragiszny!!! – krzyknęła Szczelba z saloniku, gdzie raczyła się koniakiem.

– Miałaś być cicho! – odkrzyknęłam.

– Juszszsz... śsi..ciszam. Sie.

– Jedyne co mi zostało, – kontynuowałam – to karta kodów. Ma pan konto bankowe?

– Mam – odparł facet zaskoczony.

– I wyłącznie, co mogę dzięki niej ze swoimi pieniędzmi zrobić, to przelać.

– Rozumiem – oznajmił taksówkarz po raz kolejny.

– Co pan rozumie? – teraz postanowiłam go przetestować.

– Że jedyną drogą, aby się dostać do swojej kasy, jest cudze konto. Bo może pani ją przelać, ale nie może wypłacić. Nie ma pani pewnie ani dowodu osobistego, ani karty do bankomatu. Dobrze rozumiem?

– O Boże! – wykrzyknęłam radośnie. – bardzo dobrze! Tylko... co pan na to? Pomoże mi pan?

– Jeśli jest tak, jak pani mówi, to sprawa nie szemrana. – Aaaa... – teraz przyjrzał mi się uważniej –...a jest tak, jak pani mówi. Taksówkarz jest jak psycholog, musi pani to wiedzieć.

– Oczywiście nie za darmo – kułam żelazo, póki gorące. – Powiedzmy... pięć procent od przelanej i wypłaconej forszy?

– Pięć? – facet wydawał się być rozczarowany.

– No... gdybym na początek chciała pięćdziesiąt tysięcy, to ma pan dwa i pół. Prawie bez kiwnięcia palcem!

– Dobrze.

– Ile może pan jednorazowo wypłacić z bankomatu?

– Dziesięć...

– Okej, zatem chodźmy. Ja skorzystam w tym hotelu z komputera, a pan z bankomatu. Okej? A w ciągu najbliższych dni powtórzmy tę operację.

•

– No to on już wie, że żyję – poinformowałam nazajutrz Szczelbę. – Mało tego, wie, że siedzę mu na karku. O ile dobrał się do mojego konta i ma do niego wgląd, a z pewnością się dobrał, bo po co byłoby mu to ryzyko z morderstwem?

– O Jezusieńku, Mateńko nasza jedyna! – lamentowała Szczelba. – To on nas teraz zaciuka, jak amen w pacierzu!

– Albo jesteś jeszcze za bardzo pijana, albo już za bardzo trzeźwa – skomentowałam sucho jej słowa.

– Nie wiem... – odparła niezdecydowanie.

– No więc dojdź jakoś do siebie i posłuchaj: mamy dziesięć tysięcy złotych i będziemy mieć więcej.

– To co innego. A na co nam tyle?

– Na nic. Będziemy tak po prostu wyciągać po kawałku, a on będzie w tym czasie przeżywał męki.

– A jak pójdzie na glinowo?

– I co powie? Że robię przelewy z własnego konta? A powinnam nie żyć, bo mnie otruł?

– Oooo.... Otruł? Skąd wiesz, że cię otruł? – zaciekawiała się Szczelba.

– Wszystko na to wskazuje, ale mniejsza z tym. Zmierzam do tego, że na policję na pewno nie pójdzie. Chyba, że na swoją zgubę.

– No to co zrobi?

– Będzie mnie szukał. Ale nie znajdzie, już moja w tym głowa. A ja... w tym czasie założę sobie konto jako Helena P. i przeleję wszystkie pieniądze na moją nieszczęsną siostrę.

– Nie boisz się, że ona ci ich nie odda? – spytała Szczelba głupawo.

– Jak? Zakładając, co jest oczywiście niemożliwe, że ona się dowie, że ma konto i na nim kupę forsy. Zakładając, co jest jeszcze bardziej niemożliwe, że postanowiła je wypłacić. Ma w tej chwili o wiele mniej możliwości niż ja. I pewnie zero wiedzy na temat kont, kart, Internetu... mam rację?

– No... Helena była z komputera neptek...

– Widzisz sama. A jak już przeleję pieniądze, wówczas upoważnię sama siebie (czyli Helenę, jako Sabina) do pozostałych działań i przejmę z powrotem wszystko: firmę, dom, samochody...

– Ale nie masz swojego własnego dowodu – zauważyła nadzwyczaj trzeźwo Szczelba.

– Nie, ale umiem go na pamięć. I mam swojego prawnika, który nie ma z pewnością pojęcia, że powinnam nie żyć, i który sporządzi mi taki papierek bez dowodu. Kapujesz? A teraz opowiedz mi, czego dowiedziałaś się o mnie.

– No... jest tak, jak myślałaś. Wszyscy mi mówili, że jesteś bardzo chora i że

teraz firmę prowadzi ten... Filip. Że mu niby kazałaś. Dopóki nie wyzdrowiejesz.

– Aha... A co to było... z tymi jakimiś słoikami i dlaczego goniła cię sekretarka Filipa?

– Aaaa... – Szczelba wyraźnie się zmieszała. – Bo... kazałaś mi tam iść, jako inty... inre...

– Interessantka – podrzuciłam uczynnie.

– No właśnie. Ale mi nie powiedziałaś, jakie ty tam interesy uskuteczniaasz. No to sama żem się dowiedziała, że produkujecie słoiki... I wydumałam sobie, że wymyślę jakąś firmę i zamówię na tą firmę ze... sto tysięcy takich słoików.

– I? – spytałam, ledwie powstrzymując się od śmiechu. – Które wybrałaś?

Szczelba zmieszała się jeszcze bardziej.

– Takie litrowe, żeby na ogórki były...

– A dlaczego cię sekretarka goniła?

– Bo... zaczęła się śmiać, a później chciała mi wytłumaczyć, jakie ma te słoiki. Ale ja już nie chciałam.

– Super! – teraz roześmiałam się już na całe gardło. – Naprawdę, Szczelba, świetnie ci szło! Żebyś tylko jeszcze umiała słuchać ze zrozumieniem...

Moja firma zajmuje się bowiem projektowaniem, produkcją i sprzedażą oryginalnych, kamionkowych i ceramicznych flakoników do perfum, słoiczków na kremy oraz designerskich pojemniczków do odświeżaczy powietrza.

••

XVI

Szuja

Nazajutrz późnym popołudniem wyciągnęłyśmy się ze Szczelbą w fotelach przed telewizorem, z poczuciem dobrze wykonanego zadania. Miałyśmy już w kieszeni całe czterdzieści tysięcy, a rodzina taksówkarza dwa, facet zaangażował bowiem do naszej operacji żonę i dorosłą córkę. Nie wiem, czemu nie chciał wyjąć całości z banku, tylko szarpał się tak po dysze z bankomatu... z różnych bankomatów. Powiedział, że tak będzie łatwiej zmylić trop. Nie byłam tego pewna i szczerze mówiąc było mi to obojętne, ale skoro jemu tak było przyjemniej – nie widziałam przeciwwskazań.

Sączyłyśmy sobie więc teraz winko, ja Martini, a Szczelba jakieś „różowe półsłodkie”.

– Ej, to co teraz? Rzucasz robotę w teatrze i byczysz się za te pieniądze dowoli? – spytała w pewnym momencie Szczelba.

– No co ty! – oburzyłam się. – Po pierwsze, to nie są takie znów duże pieniądze...

– Jak nie? W dupie ci się już poprzewracało? – teraz oburzyła się Szczelba.

–...nie są i nie przerywaj. Teatr owszem, rzucę, ale nie będę się byczyć. Jak skończymy z tym...

–...chamem tragicznym i jego chamską badziewią – podrzuciła Szczelba.

– Niech ci będzie. Wtedy wracam do firmy. Tam dopiero jest co robić.

– Coś taka pazerna?

– Nie jestem pazerna, ale nie zostawię ot tak, całego dorobku mojego życia.

– A... teatr? Nie żal ci będzie?

– No właśnie – westchnęłam ciężko. – Tak sobie marzę, że uda mi się odnaleźć Helenę. Że wydobędę z tego drania, nie wiem, torturami, przekupstwem, co z nią zrobił i dokąd wywiózł. I wiesz co?

Szczelba potaknęła głową.

– I ona będzie grać za ciebie?

– Tak. Czyli za siebie. To byłaby dla niej wielka szansa na powrót do normalności. Bo spójrz: długów już nie ma, dom został doprowadzony do porządku, etat w teatrze za niezłe pieniądze by miała, a i opinia ludzka już nie ta sama. Co o tym myślisz?

– Ho, ho! To by była sielanka – stwierdziła z zapalem Szczelba. – Tylko nie wiem, czy ona teraz...

– Chodzi ci... o jej picie?

– No... – Szczelba potwierdziła jakoś niezdecydowanie.

– Kiedyś powiedziałaś, że być może Filip gdzieś ją wywiózł, do jakiegoś za-

kładu – przypomniałam jej. – I ja się bardzo mocno uczepiłam tej myśli. To do niego całkiem podobne. A skoro tak, może... zaliczyła tam jakiś skuteczny odwyk? Co?

– No, to możliwe, że ją wywiózł – powiedziała z podobnym entuzjazmem jak poprzednio.

– Boże mój, powiedz mi Szczelba, ciężko jej było tak żyć? Tak... jak ty żyjesz?

– Różnie jest. Na początku jest straszno. Nagle jesteś sama i nie masz nic. Dachy nad głową, szmat na grzbiet, kasy na jedzenie i picie – nic, tylko to co na dupie. Myśmy mieli raźniej z Bykiem, ale to tylko my tu są w parze... Inni są sami jak palec. No. I tak łazisz całymi dniami, bo nie masz nic innego do roboty, a jeść i pić się chce. Nawet nie wiesz jak i kiedy rękę po parę groszy do kogoś wyciągniesz...

– To akurat wiem. Pamiętam, jaka byłam samotna, głodna i wylękniona. I... ktoś się nade mną ulitował...

Z tkliwością przypomniałam sobie dziewczynkę, która miała iść do Pierwszej Komunii.

– Zawsze ktoś się ulituje. A potem drugi raz się przełamiesz, jak zaczniesz żarcie z kosza wyjmować. Bo na zebraniu zarobisz albo na jedzenie, albo na picie. A picie jest... najważniejsze.

– To straszne... – pomyślałam teraz o Helenie.

– E, tam. Do wszystkiego się można przyzwyczaić. Później, a raczej prędzej niż później spotkasz takich jak ty. W grupie zawsze raźniej, a przynajmniej bezpieczniej i... cieplej. Bo najgorzej jest od późnej jesieni do wczesnej wiosny. Jak są duże mrozy, to w ogóle tragedia.

– Korzystaliście kiedyś z noclegowni?

– Ja i Byku tak. I nieboszczyk Potocki, ale Gangrena i Rajmund nie umieli choćby na chwilę przestać pić, a tam trzeba być trzeźwym. No to nocowali na klatkach, na dworcu i gdzie się dało. Później odkryli apartamentowiec, a tam, jak wiesz, okna całe, drzwi w komplecie, nie jest najgorzej. W biesiadnej był nawet kawałek pieca kaflowego, tylko oskubanego z kafli i trochę z szamotki. Ale chłopcy podreperowali i ujdzie. Teraz w zimie zbieramy jeszcze opał, najwięcej pod sklepami i na śmietnikach.

– Wygląda na to, że dosyć zorganizowanie jesteście?

– Tak. Ale nie chwalcą się, to moja zasługa. U nas nie ma czegoś takiego, żeby własny mebel, drzwi czy podłogę spalić. Nie ma też szarpania między sobą, że ty się dołożyłeś dziś więcej, a ty mniej. Wsio dla każdego po równo: dziś ja się podzielę, jutro podzielą się ze mną. Dlatego żyjemy. No... nie wszyscy, bo biednemu księciu się kipło, ale powiem ci, że przez te dwadzieścia lat spotkałam masę takich jak my, znało się ich z widzenia: bab, facetów, starych, młodych... Ale ani

jednego dziś nie znajdziesz z czasów, kiedy zaczynałam. Ba, sprzed dziesięciu lat nawet! Bo w naszym... „fachu” nieważny wiek, ale spryt i choć trochę oleju pod kopułą.

– W takim razie moje uznanie – poklepałam Szczelbę po plecach. – A Gangrena i Rajmund? Jak było z nimi? I dlaczego Gangrena to... Gangrena?

– Gangrena się nazywa Jola Kerpiec. Z nią jest sprawa prosta. Ona to ma dziedziczne.

– To znaczy?

– Pochodzi z takiej rodziny jak ona sama. U niej w domu wszyscy pili: babka, dziadek, matka i jej brat, konkubent matki, cztery siostry Gangreny i Gangrena.

– W takim razie jakiś dom miała, tak?

– Miała i ma do dziś. To znaczy, jej rodzina nadal tam mieszka i pije. Dziadek tylko umarł, z tego co wiem.

– To... czemu Gangrena nie pije tam razem z nimi?

– Bo ją wyrzucili, ot co. Jak miała jakieś szesnaście lat.

– Za co?!

Nie potrafiłam pojąć, co mogło być aż tak strasznym przewinieniem, żeby aż wyrzucić z domu szesnastoletnią dziewczynę. W dodatku w rodzinie patologicznej.

– E, tam – Szczelba machnęła ręką. – Hobby sobie znalazła głupie: podpalanie.

– Co?

– No tak lubiła, i co jej zrobisz? A to sfajczyła szopkę sąsiada, to znów wychodek albo starą szafę w piwnicy, to drewniane łoże dziadka. Ale jak podpałała wyro konkubenta matki, kiedy ten właśnie uprawiał w nim seks, to już się gościu wkurzył i ją przegonił. Do dziś Gangrena nie ma wstępu na to osiedle.

– Może ten seks... wiesz, nie z matką, i Gangrena w ten sposób zaprotestowała?

– Ponoć z babką, ale to akurat Gangrenie nie było dziwne.

– Aha, ale już nie podpała? Przeszło jej? – spytałam lekko oszołomiona.

– Przeszło. Kiedyś próbowała spalić taboret w apartamentowcu i dostała takie bęcki, że całkiem jej przeszło.

– Zbiliście ją?

– A co? Mieliśmy czekać aż nas popiecze jak baranki niewinne? Profilaktykę my zwykłą zastosowali i pomogło.

– Oj, to musiała oberwać – syknęłam przejęta.

– Przez tydzień leżała jak mops. Ale najgorsze dla niej było to, że jej przez ten czas nikt kropelki winka nie podał. Takie rzeczy się pamięta na całe życie – podsumowała Szczelba.

– I to był pewnie twój pomysł?

– Mój – uśmiechnęła się skromnie. – Ale już ci mówiłam, że jakby nie moja

twarda ręka, co poniekąd by już dawno ziemię gryźli.

– No tak – przyznałam w zadumie. – A skąd ta ksywka: Gangrena?

– Bo... kiedyś odpoczywała sobie tak pechowo, że na samym środku kościelnego parkingu. A ludzie jak do kościoła idą, mają delikatne sumienia. I ktoś zadzwonił na pogotowie.

– I? – spytałam, wciąż jeszcze nie widząc związku.

– I przyjechała taka młoda lekarka. Zbadała nieboraczkę i stwierdziła, że żyje. Ale kiedy ujrzała jej nogę, czarniutką jak smoła do samego kolana, wrzasnęła: gangrena! I tak już zostało.

– Ale... czemu czarniutką?

– Bo ja wiem? Taką miała i tyle.

– Jedną?

– Jedną. Wlazała w coś pewnie.

– A Rajmund? Jak on się między wami znalazł?

– Ten klasycznie. Był kierowcą, jeździł na ciężarówce. Kiedyś potrącił na śmierć jednego gościa, podobno zima była, ślisko, a facet wszedł mu formalnie pod auto. Dostał za to parę lat, a w tym czasie żonka wniosła o rozwód i nowego faceta sobie znalazła. Rajmund żadnej roboty, jak to po więzieniu, nie mógł znaleźć, a alimenty na dzieci rosły, no to znów go zapudłowali. Jak wyszedł, postanowił przeczekać, aż mu dzieci z alimentów wyrosną, bo fakt faktem: jak się kto inny babą zajął, niech się też zajmie dziećmi, nie?

– No... Chyba tak...

– W taki sposób przypałał się do nas. I został.

•

Spojrzałam na wólcę w fotelu Szczelbę, której oczka powoli zasnuwały się mgłą.

– Powiesz mi jeszcze coś, ale tak... jak na spowiedzi? – spróbowałam na koniec wykorzystać trochę tę jej szczerą wylewność.

– No jasne, pytaj o co chcesz – mruknęła sennie.

– Od kiedy wiesz, że nie jestem Heleną?

Szczelba gwałtownie otworzyła oczy.

– Od wtedy... kiedy mi powiedziałaś – odparła stanowczo.

Zbyt stanowczo, jak na mój gust.

– Wybacz, ale nie wierzę. Jakoś zbyt łatwo to przyjął. Bez najmniejszego protestu, a nawet zdziwienia. A przyznasz sama, że to trochę dziwna historia.

– Uwierzyłam ci i tyle. To źle?

– Nie, nie źle, tylko jak mówię, za szybko. Nie da się tak prędko uwierzyć w tak nieprawdopodobną rzecz.

– A może... ja jestem łatwowierna po prostu?

I tym mnie Szczelba przekonała. Przekonała mnie na sto procent, że skądś, jakimś cudem znała prawdę znacznie wcześniej niż ja. Gdyby teraz to potwierdziła, powiedziała, że coś jej nie pasowało, choćby to, że nagle przestałam pić i palić, uwierzyłabym jej. Ale ona za bardzo szła w zaparte. To zrodziło nie tylko moją pewność, że wiedziała, ale i całą masę podejrzeń. Bo gdyby się sama zorientowała, z pewnością jakoś chciałaby to sprawdzić, nie wiem, spytać o coś, co jako Helena musiałabym wiedzieć? Albo obejrzeć znaki szczególne? Obie z Heleną miałyśmy takie znaki, po nich nas mama rozróżniała w niemowlęctwie. I nie były aż tak bardzo ukryte. Albo... zwyczajnie, powiedziałyby mi o swoich podejrzaniach. To byłoby moim zdaniem normalna reakcja. A skoro je ukrywała, musiała mieć powód. Tylko jaki?

– Nie, nie jesteś łatwowierna – odparłam. – Przeciwnie, jesteś dociekliwa i upierdliwa jak mało kto. A może... maczałaś w tym wszystkim palce, co? Uknułaś to razem z Filipem i dlatego się go teraz tak boisz...

– Nie, Helena, to nieprawda – Szczelba zaprzeczyła gorliwie. – Przecież... nie przyjechałabym tu z tobą, nie? Po co miałabym ci pomagać, gdybym ci wcześniej zaszkodziła? Sama pomyśl.

– Może zre cię sumienie. A może... przyjechałaś, żeby mnie wystawić Filipowi? Tylko... skąd on cię u licha wytrzasnął? Pojechał do Ł., tam natknął się przypadkiem na moją zapijaczoną siostrę bliźniaczkę... Ja ci nie powiedziałam, że Helena to moja siostra, prawda? Ale kiedy wspomniałam o niej raz czy dwa, nawet ci powieka nie drgnęła ze zdziwienia. Bo ty to wiedziałaś. Tak?

– Nie!!! – wrzasnęła dziko Szczelba. – Nie!

– Filip nie pojechał do Ł., bo po prostu nie miał ku temu żadnego powodu. Ani służbowego, ani prywatnego – wywodziłam podniecona swoją wizją oraz trzema lampkami Martini.

Szczelba zatkała sobie dłońmi uszy.

– On nie – ciągnęłam. – Ale ty owszem. To ty tu przy... je...

W tym momencie coś sobie przypomniałam. Po prostu zobaczyłam tę scenę jeszcze raz jak żywą: kiedy wchodzimy z Filipem do biurowca i wówczas zaczepia nas jakaś podchmielona żebraczka. Kręciła się tam od kilku dni. I zobaczyłam, jak w zatrzymanym kadrze jej twarz: to była... Szczelba. Na pewno.

– To ty tu przyjechałaś!!! Teraz sobie ciebie przypominam, zdrajco! Pomocniczko mordercy!!! – krzyknęłam i zamknęłam się w łazience.

Jeszcze tego samego wieczoru skontaktowałam się z naszym taksówkarzem i poprosiłam o kurs do Ł. Spakowałam się naprędce, wrzucając swoje rzeczy byle jak do torby. Poczułam się zraniona i oszukana. Chyba nawet bardziej niż wówczas, gdy odkryłam, że Filip ma kochankę. I... poczułam autentyczny strach. Nie, nie mogłam tu zostać ani chwili dłużej.

– Dokąd się wybierasz? – kiedy usiłowałam wyjść na korytarz, Szczelba, za-

ryczana po pas zastąpiła mi drogę.

– Czemu pytasz? Żeby przekazać Filipowi? – warknęłam.

– Przestań! Helena... Sabina, przestań, proszę cię, bo umrę! Krzywdzisz mnie tymi podejrzeniami.

– Ty skrzywdziłaś mnie bardziej.

– Nie, błagam cię, nie wyjeżdżaj teraz.

– Bo co? Czekamy może na kogoś? – szydziłam.

– Nie... ale ja... Proszę cię!!!

– Rozumiem twoje opory, ale hotel masz zarezerwowany do jutra, po drodze zapłacę rachunek. Masz dwie prawie pełne flachy wina i pół butelki koniaku.

– A... co ja potem zrobię? – jęknęła Szczelba autentycznie przerażona.

– Pójdiesz do swojego zleceniodawcy. On ci pomoże.

– Ja też byłam przerażona – pomyślałam. – Pochowana żywcem, w obcym mieście, nie wiedząc nawet, jak się nazywam.

•

– Co tak nagle, stało się coś? – spytał taksówkarz.

– Nie, nic takiego. To... osobista sprawa. Pan nie ma powodów do niepokoju.

– Rozumiem – odparł swoim zwyczajem. – Koleżanka panią wkurzyła?

Jak zwykle zawnioskował całkiem trafnie.

– Właśnie – uśmiechnęłam się z aprobatą.

Do Ł. przyjechaliśmy w środku nocy. Rzuciłam swoje rzeczy w kąt i padłam na łóżko. Nie chciało mi się nawet umyć. Leżałam i myślałam. Czułam się bezradnie. – A tak dobrze mi szło – powiedziałam sama do siebie. – Jeszcze trochę i wszystko mogłoby być po staremu. Bez Filipa, oczywiście... Naprawdę, mogło być pięknie. Może Helena rzeczywiście wróciłaby to teatru? Ale... – teraz zastanowiło mnie znów coś innego. – Czy Szczelba maczała też paluchy w ukryciu Heleny? Przecież była podobno jej najlepszą przyjaciółką! A może właśnie wykorzystała jej zaufanie i...

– Nie, nie! Nie będę o tym myśleć – zaprotestowałam na głos. – Mowy nie ma!

Wstałam w końcu z łóżka i postanowiłam wziąć kąpiel. To zawsze mnie relaksowało. Wreszcie, chyba już całkiem rano, udało mi się zasnąć. Niestety mój sen nie trwał długo, bo jeszcze przed południem rozległa się na zewnątrz donośna wrzawa. Wyjrzałam przez okno. To moi „kumple” hałasowali w najlepsze, ale nie pod moim domem, tylko sąsiadki. Przyszli pewnie po swoje „kieszonkowe”. Poczulałam złość. Nie tylko z powodu przerwanej snania, ale jakoś tak... hurtem straciłam sympatię do nich wszystkich.

– Czego się tak drzecie, co? Nie można ciszej i kulturalniej?

– O?! Helena! Już jesteście? – ucieszył się Byku. – Szczelba jeszcze śpi?

– Może i śpi. Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz?

– Nie wiem i tyle. Dobranoc państwu!

Zamknęłam okno i zaciągnęłam zasłony. Po chwili rozległ się okrutny, ciągły i wrzaskliwy dzwonek u drzwi. Ktoś go nacisnął i tak sobie trzymał. Zeszłam na dół.

– Zwariowałaś? – zwróciłam się do Byka, bo to on się w ten sposób zaba-
wiał.

– Nie. Ale mi się zdaje, że ty zwariowałaś. Gdzie jest moja żona?

– Została w W. Spodobało jej się.

– Nie. To nieprawda – zaprzeczył Byku. – Nie zostałyby tam sama, nie ma mowy.

– A może jej się od tych zabytków i z nadmiernego pragnienia coś stało? – wyszeptała przejęta Gangrena.

– Nic jej się nie stało. Jak zechce, to wróci, a teraz dajcie mi spać!

– Nie – Byku włożył nogę między drzwi. – Powiedz prawdę, Helena! Bo nie odejdziemy.

– Prawdę? Chcecie prawdy?! – spytałam podniesionym głosem. – Ja też do-
magam się prawdy. To co? Mówisz pierwszy, czy ja mam zacząć?

Gangrena i Rajmund, stojący do tej pory na schodach, wycofali się o dwa stopnie.

– Dobrze – ciągnęłam, skoro Byku się nie kwapił. – Kto wpadł na ten po-
myśl, żeby mnie podmienić z Heleną? No?

– Jezu, ludzie, dajcie się jej napić! To jest delirka – zdiagnozowała Gangrena i zaczęła machać mi ręką przed oczami. – Ile widzisz palców?

– Poszła mi z tą łapą – opędziłam się od niej tak gwałtownym ruchem, że o mało nie spadła ze stopnia.

– Nie rozumiem... – wybałuszył na mnie oczy Byku.

– Włóż do środka – pociągnęłam go ku sobie i zatrzasnęłam za nim drzwi.

Nie chciałam, żeby pani Małgosia słyszała co teraz powiem.

– Ja nie jestem Helena – warknęłam przez zęby. – Ślepy jesteś czy udajesz?
Spójrz!

Uniosłam nogawkę spodni powyżej prawego kolana.

– O... Myszka ci taka urosła? – spytał durnowato.

– Oczywiście że nie urosła. Mam ją od urodzenia. Trudno nie zauważyć zna-
mienia jak dwudziestogroszówka. Widziałeś kiedyś coś takiego u Heleny?

– Nie... ale ja się nie przyglądam za bardzo innym kobitkom. Wiesz, jaka
jest Szczelba...

– Knuleś z nią??? – naparłam na niego. – Mów!

Byku spojrzał na mnie bardzo szeroko otwartymi oczami.

– Nie wiem, co ci się stało, Helena – powiedział wolno i dość cicho. – Ale cokolwiek by to było, nie będę się czepiał. Powiedz mi tylko, gdzie jest Szczelba i idziemy. Jeśli nie chcesz nas już więcej widzieć, zgoda. Ale mów, co się stało mojej Zosi!

W tej chwili zaszklily mu się oczy i załamał się głos. Zrobiło mi się go nawet żal, w końcu nie jego wina, że ma kobietę szuję.

– Nic jej nie będzie – odparłam chłodno. – Wróci jak bumerang, bo złego diabli nie biorą.

Mówiąc to otworzyłam drzwi, wypchnęłam Byka na zewnątrz i zamknęłam z powrotem. Przez szybkę zobaczyłam, jak cała trójka, zwiesiwszy zapijaczone łby, oddala się od mojego domu w milczeniu.

– I dobrze – mruknęłam.

Nie zdążyłam się jeszcze dobrze odwrócić na pięcie, kiedy znów zadzwonił dzwonek. Tym razem pod drzwiami stała sąsiadka.

– Witaj, Helenko, nie wiedziałam, że wróciłaś. Stało się coś? – spytała z niepokojem w głosie.

– Nie, nic się nie stało, po prostu wróciłam w nocy i usiłuję odespać tę jazdę. Ale jak sama pani widzi, nie da się.

– Przepraszam, już uciekam – zmitygowała się staruszka.

– Nie panią mam na myśli, tylko tych... pacanów – skinęłam głową w stronę, w którą poszli.

– No tak, jak człowiek niewyspany, to nerwowy – przyznała sąsiadka. – Muszę ci tylko powiedzieć, że byli dla mnie bardzo grzeczni. O, spójrz, wycięli nawet ten suchy krzak czarnego bzu w ogrodzie. I skosili trawnik!

– Za darmo?

– Tak, najzupełniej – pani Małgosia spojrzała na mnie zdziwiona. – Ale wiesz co? Zdrzemnij się jeszcze, dziecko, a wówczas nastrój ci się poprawi. Sama zobaczysz.

Po chwili znów powtórzyło się dokładnie to samo. Zanim jeszcze doszłam na górę, rozdzwonił się dzwonek.

– A niech cię jasna cholera, kimkolwiek jesteś! – krzyknęłam, będąc na granicy wytrzymałości.

Postanowiłam nie otwierać, ale dzwonek jazgotał i jazgotał. Zeszłam więc na dół po raz kolejny, zdecydowana zabić, a potem wypruć flaki z tego, kto tym razem stoi pod moimi drzwiami. Spojrzałam przez szybkę. To była... Szczelba! Pojawiała się i znikła, pojawiała się i znikła. W chwili kiedy znikła, dzwonek przestawał na moment dzwonić, a gdy się tylko pojawiła, rozdzwaniał się na nowo. Zaintrygowało mnie to zjawisko. Uchyliłam więc trochę drzwi i rzuciłam okiem na zewnątrz. Sprawa był całkiem prosta: Szczelba była tak pijana, że najzwyczaj-

niej w świecie ugięła w kolanach.

– Ghhh... Ghelena... Wpuuś mie – bełkotała. – Musze. Musze si soś pofie-dzieś... Tu! Tu klenkne przzrz... przd tobom, ale wpuś mieę..

– Skądęś się tu wzięła? – spytałam, choć miałam się do niej nie odzywać.

– Przzrz... Przzrz...jchałam stopę.

– Co? – Nie zrozumiałam w pierwszej chwili.

– Ałuuuu... tostopę – dodała.

– Autostopem? Aha, nic nie szkodzi. Żegnam panią – oznajmiłam zamykając ostrożnie drzwi, żeby moja była koleżanka nie wpadła do środka.

Niestety, nie zdążyłam. Szczelba gruchnęła z całym impetem za próg. Spró-bowała się podnieść, ale dała rady tylko częściowo.

– Na holanach... klęczę... Ja! Klęczę... Musze si soś powiedzieć...

– Nie jestem ciekawa. Do widzenia – złapałam ją za rękę i ruchem obroto-wym, okręcając ją wokół własnej osi, wystawiłam przed dom.

– Powiem si tyko, że sie kocham, jak ci tam... Sabino czy Heleno. Fszszysko jenno, bo Helene tesz kocham. Obie kocham, was. Was!

– Idź sobie – zażądałam.

– Ide, ale pamiętaj, żzzż ććć kchchch...am...

Zamknęłam drzwi i wróciłam do łóżka. Tym razem już nikt mnie nie z niego nie wyrwał. Okrutnie zmęczona nieprzespaną nocą, a jeszcze bardziej stresem, strachem, złością i całą masą negatywnych odczuć, zasnęłam jak kamień.

••

XVII

Jak na spowiedzi

Gdy się obudziłam, był świt następnego dnia. Wszędzie było całkowicie cicho. Z niedowierzaniem i nadzieją wyjrzałam przez okno. Niestety, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była leżąca pod moimi drzwiami Szczelba...

– Co ty tu jeszcze u licha ciężkiego robisz? – krzyknęłam, pochylając się nad Szczelbą. – Nie powiedziałam ci wystarczająco wyraźnie, że nie chcę cię znać?

Szczelba zerwała się przestraszona.

– Hele... Sabina! – wydukała.

– Tak jest. Sabina – potwierdziłam. – Idź mi stąd.

– Nie, nie pójdę. Nie ruszę się stąd, dopóki mnie nie wysłuchasz.

Była cała poobijana, miała siniaki i zadrapania na rękach i nogach, opuchniętą twarz.

– Co ci się stało? – spytałam całkiem wbrew sobie.

– Nic, a co?

– Wyglądasz... jakby kombajn po tobie przejechał.

– A... – Szczelba spojrzała niechętnie na swoje ręce i nogi. – Przewróciłam się...

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– ...pod auto – dodała. Muszę z tobą pogadać!

– Jak to... pod auto?

– Bo... biegłam wczoraj, biegłam... do ciebie... i na tamtej ulicy koło apteki stało auto. Więc na nie wleciałam i się przewróciłam.

– Aha... Auto stało, a ty biegałeś. Dobrze rozumiem? Wczoraj?

– Może było odwrotnie, ale co to za różnica? Siniaków mi od tego na dupie nie ubędzie – odparła nerwowo. – Chcę ci coś powiedzieć...

– Ale ja nie chcę. Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno.

Wobec takiego zapewnienia postanowiłam zamknąć drzwi. A następnie wyłączyć dzwonek.

– Sabina! – wrzasnęła Szczelba. – Ale ja chcę ci powiedzieć wszystko, jak na spowiedzi!

Zawahałam się. Z jednej strony bardzo chciałam poznać prawdę, z drugiej zaś honor nie pozwalał mi na pogaduszki z tą podstępną i fałszywą glizdą.

– Właż – zaproponowałam w końcu. – Ale jak tylko zaczniesz kręcić....

– Nie zacnę, przysięgam! – zapewniła, zanim dokończyłam zdanie.

– Masz jeszcze trochę tego... świńskiego napoju? – spytała, gdy już usiadłyśmy już w salonie.

Bez słowa napełniłam kieliszek koniakiem i podałam jej. Szczelba wypła i zastygła w bezruchu.

– No? – ponagliłam.

– Tak. To prawda. Ja to wymyśliłam – przyznała po wkurzająco długim milczeniu. – Znaczy, na początku samym, bo potem to już on... Ten Filip.

– Że mnie zamordujecie, czy tak?!

Na myśl o tym ciarki przeszły mi po plecach.

– Nie, no, rany boskie, co ty! Nie przerywaj mi, bo sobie wszystko ułożyłam w głowie.

– Więc mów i się nie zacinaj.

– Bo to... zaczęło się od Heleny – podjęła znowu. – Chodzi o to, że ona bardzo chciała zobaczyć swoją córkę. To się stało dla niej w ostatnich czasach jak obłąd, jak wariactwo. O niczym innym nie myślała ani nie gadała. Nawet przez sen o niej bredziła... Widziałam, że bardzo cierpi z tego powodu. My z Bykiem nie mamy dzieci, a kiedyś bardzo chcieliśmy. Może, gdyby nam się udało, inaczej by się to wszystko poukładało? Nie wiem... Ale rozumiałam tą tęsknotę Heleny. Było mi jej bardzo żal.

– Zaraz... chyba mi nie chcesz powiedzieć, że Filip się też rozczulił i włączył się w to z dobroci serca?

– On nie z dobroci, ale to już potem... Zaczekaj, okej?

Skinęłam głową i zamilkłam.

– Bo Helena to naprawdę jest moja najlepsza, naj, naj, najlepsza przyjaciółka. Taka wiesz... na dobre i na jeszcze gorsze... I ja bym dla niej zrobiła wszystko. Najpierw jednak próbowałam wybić jej to z głowy, bo skoro dziewczucha już ma jakiś ułożone życie, to po co jej w nim teraz mącić? Ale w końcu wytłumaczyła mi, o co tu chodzi. Powiedziała, że jest bardzo chora i że jedyne, czego pragnie przed śmiercią, to zobaczyć córkę. Wtenczas postanowiłam na uszach stanąć i jej to spotkanie umożliwić.

– Chora? Na co ona była chora? – wtrąciłam wbrew obietnicy.

– Guza miała na piersi, takiego jak... orzech włoski. I on cały czas się powiększał. Mówiła, że to rak.

– Była u lekarza?

– Nie. W naszej sytuacji to nie jest takie proste. Nikt nawet nie próbuje zresztą. Sama do takiego wniosku doszła, ale na pewno miała rację. Widziałam tego guza...

– Dobra, mów dalej.

– Najpierw chciałam napisać do ciebie list, różnie kombinowałam, aż wreszcie się zebrałam i pojechałam z tobą pogadać własnoręcznie.

– Sama? Bez Heleny?

– Bez. Ona... raz, że źle się czuła, a poza tym... podobno chciała już kiedyś

zobaczyć Jagodę, ale jej nie pozwoliłaś. Uznałam, że ja cię lepiej przekonam.

– Czemu więc do mnie nie dotarłaś? – spytałam podejrzliwie. – Pamiętam, że się czaiłaś się gdzieś w okolicy, ale po jednej próbie rozmowy ze mną odpuściłaś sobie. Daruj, ale chyba liczyłaś się z tym, że...

– Tak. Wiedziałam, że nie zaprosisz mnie od razu na salony – Szczelba prze-rwała mi, kończąc moją wypowiedź nieco oględniej niż zrobiłabym to ja. – Ale to nie była jedna próba. Kręciłam się koło ciebie przez trzy dni non stop, ale ten twój... amant napuścił na mnie jakiegoś ciecica. Jak się tylko pokazałam, przeganiał mnie i nie dał nic powiedzieć.

– Nie rozumiem... On cię przeganiał, ale w końcu to z nim właśnie doszłaś do porozumienia?

– Bo już sama nie wiedziałam co zrobić i któregoś razu krzyknęłam do niego, że muszę się zobaczyć z panią Sabiną.

– Do Filipa, czy do portiera? – uściśliłam.

– Do Filipa. I się zainteresował, co taka baba jak ja ma do takiej damy jak ty... Ja naprawdę byłam już... gotowa na wszystko. Dla Heleny...

– Na wszystko, tak? – spytałam z przekąsem.

– Nie!!! – zaprotestowała Szczelba gwałtownie. – Absolutnie, że nie! Tylko... na kombinacje różne. Ale nie na morderstwo! Chociaż przyznam, że nie poczułam do ciebie sympatii. Byłaś taka... wredna na oko.

– I co ten Filip? – zignorowałam ostatnie zdanie.

– Opowiedziałam mu, że jestem od twojej siostry, wyłożyłam dokładnie co i jak, a on mi kazał siedzieć cicho i przyjść jutro, bo chciał się upewnić, że mówię prawdę. W międzyczasie pooglądał sobie na komputerze wszystko co było o Helenie i mi uwierzył... Tylko dziwił się bardzo, że jesteście siostrami.

– No tak, przecież on nie wiedział o jej istnieniu... Ani o tym, że Jagoda nie jest moją córką.... – szepnęłam ze zgrozą.

– No i wtenczas sam mi zaproponował lepszą rzecz: że podmienimy was na jakiś czas, żeby Helena mogła dłużej nacieszyć się córką.

•

Popatrzyłam przez chwilę na Szczelbę w skupieniu, próbując zrozumieć, jak ona sobie to wszystko wyobrażała.

– Dziwne... Czyli Helena miała nacieszyć się córką, a potem ja, ot tak, znów wskoczyć na swoje miejsce? I wszystko miało się dalej toczyć po staremu?

– Chyba... tak. Nie zastanawiałam się nad tym. Czas mnie gonił, myślałam wtedy tylko o Helenie. Tylko i wyłącznie.

– Co było dalej?

– Filip przywiózł Helenę do W. i zameldował w hotelu. Tam ją trochę... podrasował, zabrał do fryzjerki, do kosmetyczki i ubrał w twoje rzeczy. Jeszcze te-

go samego dnia wywiózł ciebie do Ł. Musiał się śpieszyć, żebyście obie nie znikły na zbyt długo.

– Ale... jak mnie wywiózł?

– Dał ci coś. Jakieś proszki, że niby trochę po nich pośpisz, a jak się obudzisz, nie będziesz nic pamiętać: ani jak się nazywasz, ani skąd jesteś, ani nic.

– Nie chciał mnie otruć?

– Nie. To znaczy... powiedział, że nic ci nie będzie. Tylko że po tych proszkach nie będzie z tobą kłopotu tyle czasu, ile trzeba.

– Po jakich proszkach?

– Też zapytałam. To były takie tabletki na spanie i jeszcze takie inne... na obniżenie cho...restolu.

– Cholesterolu?!

– Tak. Jak się ich zażyło więcej niż trzeba, miały dać skutek uboczny, jak on to mówił... amnestię polekową. I że... że... no... yyy...

– Amnezję. Mniejsza z tym. I że co?

– Że...

– No gadaj wreszcie! Mnie już nic nie zdziwi – nalegałam.

– No, że ja ci od czasu do czasu dodam tego ciut do jakiegoś picia, a jak już nie będzie trzeba, to przestanę, a ty sobie wszystko przypomnisz.

– I dodawałaś?!

Szczelba zwiesiła głowę.

– A więc to nie był przypadek, że odzyskałam pamięć w W. podczas naszej trzydniowej rozłąki? I... to dlatego tak się upierałaś, żeby ze mną jechać?

Szczelba zwiesiła głowę jeszcze niżej.

– Super! A kiedy doktor stwierdził mój zgon, jak się poczułaś? – dociekałam uporczywie.

– Boże mój jedyny, nawet nie chcę tego pamiętać! – Szczelba zasłoniła twarz dłońmi. – Myślałam, że oszaleję, zwariuję, wyrzuty sumienia o mało nie zagryzły mnie na śmierć... Sama chciałam się zabić, ale musiałam przecież pilnować spraw Heleny. Bez przerwy piliśmy na twoim grobie ze zgryzoty.

– No właśnie, a oni... wiedzieli?

– Nie. Nikt nie wiedział, nawet Byku.

– Toś się musiała nagłówkować i namącić...

– Zawsze byłam w tym dobra – przyznała Szczelba skromnie.

– Słusznie – sarknęłam pod nosem. – A Filip wiedział, że „nie żyję”?

– Był nawet na pogrzebie.... Powiedział, że co się stało, to się nie odstanie i że musimy zachować wszystko w całkowitej tajemnicy. I że w tej sytuacji lepiej będzie, gdy Helena już tam zostanie jako ty, a on w takim razie porządnie zainwestuje w jej leczenie.

– Boże święty, a jakże to sobie dureń skończony wyobrażał? Ja nadal wielu

rzeczy tu nie rozumiem! – podniosłam głos, dając wreszcie upust swojej irytacji. Bo pomysł Filipa był sprytny tylko z pozoru. W rzeczywistości było w nim wiele luk i niedociągnięć.

– No, sama powiedz? – kontynuowałam. – Jak Jagoda, widząc mnie rano, mogła raptem kilka godzin później nie zauważyć żadnej różnicy? Jesteśmy... byliśmy z Heleną jak dwie krople wody, ale weź pod uwagę, że dwadzieścia lat takiego życia, jakie prowadziła, na pewno odbiły się na jej wyglądzie. Tak?

– Nie doceniasz go. To nie było parę godzin, tylko parę dni. Tego samego dnia, kiedy was podmienił, wysłał Jagodę w góry na tydzień.

– Oczywiście! – pokojarzyłam fakty. – Przecież ona bardzo chciała jechać do Zakopanego! A... skoro ja jej nie pozwoliłam, ta świnią najwyraźniej to wykorzystała i ufundowała jej wyjazd za moimi plecami.

– Jak wróciła, Helena leżała w szpitalu, była już po operacji. Miała prawo wyglądać... nieco gorzej. Jagoda do dziś się nie zorientowała. Widać wszystko, co mogło jej się wydawać podejrzanym, uważa za skutek choroby.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Od tej świni. Był tu przecież, sama widziałas.

– Gadalaś z nim wtedy?

– Znalazł mnie. Chciał się upewnić, czy na pewno niczego nie pamiętasz. I sprawdzić, czy trzymam język za zębami.

– A jak się dowiedział, że żyję?

– Z Teleekspresu. Mówili, że wróciłaś do grania i pokazali kawałek tego pierwszego przedstawienia.

– Alfred... Jednak promował się moim kosztem w mediach! – poczułam nagły zawrót głowy i lekkie mdłości. – Źle mi się od tego wszystkiego robi...

– Słabo ci? – przestraszyła się Szczelba.

– W głowie mi się kręci.

– To ja... bym poszła, żebyś odpoczęła, ale nie wiem teraz...

– Nic mi nie będzie. Byku cię szuka, leć mu się pokaż.

– Ale... wybaczyłaś mi? Ja to zrobiłam dla Heleny. Nie miałam pojęcia, że tak wyjdzie. Polubiłam cię i w ogóle... żal mi się ciebie zrobiło. Chciałabym to jakoś odkręcić, ale wiesz, tak, żeby był wilk i owca... tego...

– Powiedz mi jeszcze, co z Heleną – wpadłam jej w słowo.

– Podobno coraz lepiej. Bierze chemię.

– To chyba jedyny plus tej całej historii... – westchnęłam. – Idź już.. Za dużo tego wszystkiego jak dla mnie samej.

– Ale...

– Idź. I przyjdź jutro. Muszę to wszystko jakoś przetrawić.

•

Resztę dnia, cały wieczór i prawie całą noc spędziłam siedząc w salonie. Nawet nie próbowałam sprawdzać, czy uda mi się zasnąć, po prostu zostałam w fotelu nad filiżanką kawy i lampką koniaku. Wszystko, o czym opowiedziała mi Szczelba, było bowiem tak bezdennie głupie, że od czasu do czasu zastanawiałam się, czy jednak nie śpię. Ale owszem, to wszystko jak najbardziej mogło się zdarzyć. Cemu? Bo Filip, jakkolwiek świetnie wykształcony i bardzo dobrze radzący sobie w pracy, w życiu był taki właśnie: bezdennie głupi i totalnie lekkomyślny. Dla niego liczył się tylko dzień dzisiejszy, jutrem zawracał sobie głowę dopiero jutro. – No przecież jakoś to będzie – mawiał zazwyczaj. I było. O dziwo, niemal zawsze po jego myśli.

Nigdy nie chciałam tak na to patrzeć, wołałam udawać sama przed sobą, że jest po prostu optymistą i zwolennikiem pozytywnego myślenia. Dziś jednak nie miałam zaćmy na oczach i widziałam rzeczy takie, jakimi są. Tak, on mógł coś podobnego wydumać licząc na to, że wszystko się jakoś uda. Szczelba akurat nawinęła mu się w sam raz wtedy, gdy odkryłam jego romans. To jasne, że obawiał się konsekwencji. Dla niego najdotkliwszych, jakie mogły być: finansowych. Nie chodzi tylko o to, że straciłby apanaż z tytułu bycia moim konkubentem, straciłby także bardzo dobrze płatną pracę. To nie byłoby miłe dla koleśka, który nawet skarpet nie założył, jeśli nie były markowe. A tu... taka okazja! Przecież mając pod ręką Helenę legitymującą się moimi dokumentami, mógł praktycznie... wszystko. Nie zastanawiałam się nawet, jak mógłby ją do tych szwindli nakłonić, bo było kilka realnych możliwości. Mniejsza z tym. Pytanie, jakie sobie postawiłam na dzisiejszą noc, brzmiało: co dalej?

Już było sporo po dwudziestej drugiej, kiedy wpadła sąsiadka. Zaniepokoiła się pewnie moim dziwnym zachowaniem, a może pomyślała, że siedzę tu i piję? Tak czy inaczej zwabiło ją zapalone do późna światło.

– Nie możesz zasnąć? Wyglądasz na bardzo zmęczoną – stwierdziła na początek.

– Tak mi się jakoś... pani Małgosiu, ostatnio dzień z nocą zamienił – odparłam, nawet ucieszona z jej wizyty.

– Zrobić ci ziółek na spanie?

– Nie, dziękuję, niech pani ze mną po prostu chwilę posiedzi.

– Czy coś się stało? Mam jakieś niemiłe wrażenie, że coś ci dolega... na duży.

– Ach... taka mnie jakaś melancholia dopadła – odparłam wymijająco. – Nic poważnego.

– Rozumiem. Za dużo wolnego czasu, co? Niedawno o tej porze dopiero wracałaś z teatru...

– Właśnie, chyba tak – podjęłam skwapliwie.

– Trzeba przywyknąć. Do wszystkiego trzeba przywyknąć.

- Do wszystkiego da się przywyknąć, sąsiadko.
- Jak się to mówi, czas robi swoje...
- Pani Małgosiu... jak ja wyglądałam, kiedy... no wie pani. Zanim zaczęłam na nowo grać? – spytałam nieoczekiwanie, także dla siebie.
- Czyli? – sąsiadka spojrzała na mnie znad okularów.
- Tak fizycznie. Z twarzy i z sylwetki. Teraz wyglądam lepiej?
- To oczywiście. Jesteś zadbana, masz ładne włosy, eleganckie ubrania, uśmiechasz się często.
- I tyle?
- Może jesteś ciut pełniejsza. I na twarzy i w sobie. Czemu pytasz?
- Tak sobie. Po prostu sama nie jestem w stanie dostrzec różnicy – wyłgałam się, chyba najprościej.
- Wiesz, Helenko, kiedy zamieszkałaś naprzeciwko mnie, powiedziałam do Antoniego: spójrz, jaką śliczna dziewczyna. To jakby słońeczko zamieszkało obok nas. I przez cały czas taka byłaś i jesteś. Nawet w najgorszych chwilach twojego życia. Twoja buzia po prostu nie pasowała do tego wszystkiego. Taka... niewinna, jak u dziecka. Może dlatego nie potrafiłam nigdy poczuć do ciebie autentycznej niechęci? I dlatego zawsze obchodził mnie twój los? Bo choćbyś nie wiem co nawywiąła, twoje oczy zawsze mówiły: to nie ja. To wszyscy inni dookoła, ale nie ja... I ja im wierzyłam. Do dziś wierzę.
- Uśmiechnęłam się do niej z tkliwością i ścisnęłam jej szczupłą, pomarszczoną dłoń.
- Dziękuję za wszystko. Prawdziwa z pani przyjaciółka. Z tych, co to sprawdzają się w biedzie...
- Staruszka uśmiechnęła się promiennie.
- Wiesz, co jeszcze ci powiem? Że od czasu, jak... powiem wprost: jak przestałaś pić i wprowadziłaś się tu na nowo, moje życie odzyskało sens. I obiecaj mi, że tak już zostanie. Bo ja od śmierci Antoniego... nie mam nikogo innego.
- Odpowiedziałam jej uśmiechem i mocniejszym uściskiem dłoni. Ale staruszce to nie wystarczyło.
- Obiecuj, proszę...
- Obiecuję – odparłam, nie patrząc jej w oczy.

•

Zasnęłam dopiero nad ranem, z poczuciem totalnej plątaniny myśli i emocji. Zanim jednak zasnęłam, próbowałam to wszystko jakoś uporządkować, ale mi się nie udało. Skończyło się na tym, że podzieliłam moje problemy na kilka grup: pierwsza, to moje sprawy sprzed amnezji, druga to teatr i wszystko co z nim związane, trzecia to przyjaźnie i znajomości z czasów amnezji i później, czwarta to Helena, piąta – Filip. Próbowałam dopasować do każdej z tych kategorii zadania, ma-

jące na celu sukcesywne doprowadzenie wszystkiego do porządku. Niestety, nie potrafiłam tego ogarnąć. Właściwie tylko w ostatnim przypadku wiedziałam co robić: jak najszybciej usunąć Filipa ze wszystkich dziedzin mojego życia, najlepiej w samych skarpetkach. Niekoniecznie markowych...

A kiedy się obudziłam głębokim popołudniem, postanowiłam najpierw unormować styl życia, czyli przywrócić dniom i nocom swoje właściwe role. Sprzątnęłam trochę dom i poszłam się przewietrzyć, z zamiarem kupienia po drodze pieczywa i mleka. Nie chciało mi się iść do Tesco, nie ze względu na odległość, ale z przyczyn bardziej oczywistych. Kiedy dochodziłam do małego osiedlowego sklepu, z apteki na przeciwko wyszedł Artur.

– Witam – krzyknął przez ulicę.

Pomachałam mu ręką. Artur widać odczytał mój gest jako zachętę do rozmowy i przeszedł na moją stronę.

– Wyskoczyłem po leki, trochę jakby mnie przeziębienie zbiera – wyjaśnił. – A u pa... Co słyhać u ciebie?

– Mnie też coś zbiera, ale tego nie da się załatwić gripexem – uśmiechnęłam się smętnie.

– Ojej, to coś poważnego? – zmartwił się Artur.

– Nie. Doła mam po prostu, jak to się mówi.

– Ależ to całkiem poważna sprawa – zaprotestował. – Może to początek depresji?

– Może. Od tego się nie umiera, podobno.

– I tu się mylisz.

– Nie strasz mnie jeszcze bardziej, niż się już boję – próbowałam obrócić sprawę w żart.

– Śmierć przyjaciela cię tak przybiła? – dociekał nadal z całą powagą.

– Też. W dodatku nałożyło mi się na siebie parę spraw i nie potrafię ich ogarnąć. Ale spokojnie, dam radę. Tylko... jestem teraz bardzo zmęczona.

– Wiesz co, Helena? – Artur po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. – Jakiś rok temu przechodziłem coś podobnego. Mówiłem ci, że zmarł mi ojciec, ale nie mówiłem, że w tym samym czasie odeszła ode mnie żona i zabrała dziecko. I też mi się zdawało, że dam radę, tylko najpierw trochę od wszystkiego odpocznę. Nie chcę się mądrzyć, naprawdę, ale jakbyś jednak nie dawała rady, tam mi pomogli – Artur zapisał coś na kawałku tekturki urwanej z opakowania leku. – Proszę!

– Dlaczego sądzisz, że jest ze mną aż tak źle? – spytałam, rzuciwszy okiem na kartonik.

– Jesteś wyspana?

– Tak... zarwałam kawałek nocy, ale nadrobiłam z nawiązką...

– Głodna?

– Nie, co ty?

- Przpracowana?
 - Skąd! Mam urlop, kompletni nic nie robię. Co to za pytania?
 - No właśnie. A sprawiasz wrażenie, za przeproszeniem, jakbyś wróciła po tygodniu przymusowych robót, bez snu i jedzenia. Ja bym tego nie lekceważył.
 - Nie wiem, zobaczę... – odparłam wymijająco. – A tymczasem idę na małe zakupy.
 - Jasne, nie zatrzymuję. Ale jakbyś czegoś potrzebowała, dzwoń. Chętnie pomogę.
 - Będę pamiętała, dzięki.
- Pomachałam mu na do widzenia i weszłam do sklepu.

••

XIX

Gruntowne sprzątanie

– Dobrze że jesteś – krzyknęła rozemocjonowana Szczelba. – Musimy prędko pogadać!

– Właźcie – otworzyłam drzwi i puściłam przodem ją oraz jej małżonka Adama, zwanego Bykiem. – Czego mi tak wrzeszczycie pod drzwiami? Wysłałam raptem po chleb, a tu masz, taki raban!

– Dasz się napić? – spytał nieśmiało Byku.

– Macie jakąś sprawę, czy was suszy?

– Mamy sprawę. Ale taką, że nam od niej w gardłach zaschło – odpowiedziała za oboje Szczelba.

W pierwszej chwili chciałam dać im butlę domowego wina od pani Małgosi, ale zmieniłam zdanie. Koniak działał na nich zdecydowanie lepiej: po jednej sporej lampce zatykało ich na jakiś czas.

– Proszę – nalałam im po pół szklaneczki tego specyfiku. – Z czym więc przychodzicie?

– Może ja zacznę – odezwał się tym razem Byku. – Chciałem najpierw powiedzieć, że ja już wszystko wiem. Moja kobieta mi wyznała co do joty... i wiesz co? Byłbym ją sprzął. O ile to zawsze ona prędką w rękach bywa, tym razem mnie piąchy zaświerzbili.

– Sama mu mówiłam, bij, Adaś, jak ci ma ulżyć – przyznała Szczelba. – Ale mój chłop nie z tych, na kobitkę ręki nie podniesie – dodała z dumą.

– Bo kto to widział tak namącić, tak nakręcić? – ciągnął Byku. – Dobrze, że jest jak jest, a nie gorzej na ten przykład.

– No tak – trudno było się z tym nie zgodzić. – A teraz proszę was, do konkretów.

– Był u nas Filip – oznajmiła Szczelba i konkretniej już się chyba nie dało.

– Ccc...co? – włos mi się zjeżył na karku.

– No, był – potwierdził Byku. – Nachalny był jak cholera! Na szczęście dla niego już o wszystkim wiedziałem, bo inaczej bym pomyślał, że mi się do Zośki przystawia...

– Daj spokój, Bysiu. Ja gustuję w prawdziwych facetach, nie w takich... kozich potomkach. – uspokoila go Szczelba. – Za przeproszeniem, Helena.

Uśmiechnęłam się na samą myśl o tym, jak poczułby się Filip, gdyby to usłyszał.

– No dobra, ale czego chciał od ciebie? – ponagliłam.

– Dowiedział się, że z mojego konta ubyło pieniędzy, czy tak?

– No raczej. Boże, gdyby on wiedział, że maczałam w tym palce...

– Trzeba było go przeprosić i obiecać, że się to nie powtórzy – przerwałam jej z irytacją.

– Ale ja nie żałuję – zaperzyła się Szczelba. – Tylko chciałam powiedzieć, że pewnie by mnie zabił...

– Raczej wątpię...

– Pytał się o ciebie. Powiedziałam, że wyjechałaś na wczasy, bo masz urlop. Ale chyba... że nie wiem gdzie? Bo... bo jak znów stałaś się damą, to już się z nami nie zadajesz. Przepraszam.

– Nie, dobrze powiedziałaś. Bardzo dobrze. On w to uwierzy jak nic.

Szczelba westchnęła z ulgą.

– Miał tylko pretensje, że przestałam ci dosypywać tego proszku na amnestrację, ale mu wyłożyłam, że się nie już nie dało. No bo jak, skoro się nasze drogi rozeszły?

– Wściekł się?

– Nawet nie, bo chyba pojął co do niego mówię. Pytał się tylko, jak się zachowywałaś, gdy cię widziałam ostatnio. Aha, nie! Powiedziałam mu, że do Zakopanego chciałaś pojechać.

– Tak, tak mu powiedziałaś – potwierdził Byku. – Że konkretnie nie wiesz, ale że o Zakopanem wspomniała.

– Super! Kurczę, super! – ucieszyłam się bardzo, ku zdziwieniu Byka i Szczelby.

– Booo? – spytał on.

– Ale że na serio? – dodała ona.

– Na serio! Bo to jest bardzo prawdopodobne. Mieliśmy w Zakopanem swoje ulubione miejsce na wypoczynek, taki... zaprzyjaźniony pensjonat i jeśli się zdecydowaliśmy na wypoczynek w górach, to tylko tam.

– To on tam pojechał cię szukać! Tak, na bank, bo nagle mu się bardzo zaczęło śpieszyć! – odkryła nagle Szczelba.

– Boże mój... czekajcie... coś mi chodzi po głowie – jakby dla zobrazowania swojej wypowiedzi zaczęłam chodzić nerwowo po salonie. – Jeśli on teraz prosto stąd pojechał do Zakopanego... O której z nim gadaliście?

– Najwyżej... półtorej godziny temu – powiedziała Szczelba, a Byku przytaknął. – Na ciebie czekaliśmy z godzinę, a przylecieliśmy od razu.

– No więc ma jeszcze co najmniej cztery godziny jazdy – kontynuowałam. – Na miejscu będzie nie prędzej niż o dwudziestą drugą. Żeby stamtąd wrócić do W., potrzebuje jeszcze więcej, bo przy dobrej drodze i braku korków minimum siedem godzin. Nawet, gdyby się od razu zorientował, że mnie tam nie ma, nie będzie dzisiaj wracał, nie ma mowy. My natomiast stąd do W. mamy raptem półtorej godziny drogi. A więc?

– Więc? – spytali oboje, niemal równocześnie.

– Szczelba, wrzucić na siebie coś z moich rzeczy, wyjeżdżamy!
– Jak to... wyjeżdżamy? – spytał Byku.
– My wyjeżdżamy. Ja i Szczelba.
– O! Oooo! Oooo.... – zaczął, chyba gwoli protestu.
– Nie Byku, nawet nie próbuj – powstrzymałam go na wszelki wypadek. –
Twoja żona napytała mi biedy, a teraz jedzie to odkręcić. Sama się zaoferowała!
– Zaoferowałam się, Adaś – potwierdziła Szczelba.
Byku chcąc nie chcąc, przełknął jakoś tę informację.
– Tylko uważaj tam na moją Zośkę! – zastrzegł.
– Jasne, z oka jej nie spuszczę – obiecałam.

•

– To jakaś tajemnica, jak rozumiem? – spytał Artur, odwracając się w stronę tylnego siedzenia.

– Tak... – odparłam z wahaniem. – Właściwie nie tyle tajemnica, co sprawa dość intymna. Chodzi o nierozwiązane sprawy natury... sercowej.

I było to niemal zgodne z prawdą, choć nie w całości. Odpowiedziałam mu w ten sposób, żeby za bardzo nie dociekał celu naszej podróży do W. Bo prawda była zbyt skomplikowana i zbyt trudna.

Zadzwoiłam do Artura z prośbą o polecenie mi jakiegoś dobrego i zaufanego taksówkarza, bo do tej pory wszystko, co mi polecił, sprawdziło się w stu procentach. Nie chciałam go w to angażować osobiście wiedząc, że jest chory. Ale on stwierdził, że to tylko początki kataru, uparł się i kwadrans później stawił się u mnie w pełnej gotowości. Na miejscu, czyli niemal pod moim domem w W. byliśmy w niecałe dwie godziny później.

– Chodź, lecimy – trąciłam Szczelbę w ramię. Przypomniałam sobie, że nie mam z sobą mojej magicznej piersiówki, ale Szczelba wygramoliła się bez protestu.

– Idziesz znowu na włam? – spytała.

– Nie. Ty idziesz, ale nie na włam, tylko z normalną wizytą.

– Zwariowałaś! – Szczelba cofnęła się odruchowo.

– Wręcz przeciwnie, myślę wyjątkowo mądrze oraz przebiegle. Posłuchaj: pójdziesz do mnie do domu. Helena powinna być teraz sama, tak na... dziewięćdziesiąt dziewięć procent. A nawet jeśli nie jest, na pewno nie ma tam Filipa i nie będzie co najmniej do jutrzejszego przedpołudnia.

– Kapuję – skrzywiła się Szczelba. – I co mam zrobić?

– Odwiedzisz przyjaciółkę, uciesz się choć troszkę!

– Cieszę się. Ale dalej nie wiem, po co?

– Opowiesz jej wszystko z grubsza i weźmiesz od niej mój dowód osobisty.

A najlepiej, jeśli ma, albo wie gdzie jest, cały mój portfel z dokumentami. Zwróci-

my jej to wszystko jeszcze dziś.

Szczelba nie pytając o nic skinęła głową i poszła. Wsiadłam do samochodu Artura i uczuliłam go na wypadek, gdyby Szczelba wróciła po chwili więcej w popłochu.

– Okej – odparł. – Ruszę z kopyta. Ta... Szczelba to twoja pośredniczka, w... sercowych sprawach?

– Właśnie. Artur, mogę cię o coś zapytać?

– Śmiało.

– Dlaczego wciąż mi pomagasz? Najpierw myślałam, że wiesz...

– Że się do ciebie przystawiam? – spytał z uśmiechem.

– No... szczerze mówiąc, tak.

– Chętnie bym się poprzystawiał, ale po pierwsze czuję, że ty tego nie chcesz, a po drugie... sam nie jestem gotowy na nowe życie – odparł prosto i szczerze.

– Więc czemu?

– Bo... Mam wrażenie, że jesteś osobą potrzebującą oparcia. Widziałem to już wówczas, gdy się tak gburowato zachowałem wobec ciebie pod Tesco i ci wszyscy... no, twoi kumple stanęli w twojej obronie. Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale do dziś mi wstyd za tamto.

– Ale ja się nie gniewam – powiedziałam z uśmiechem. – Wtedy też się nie złościłam, bawiło mnie to raczej.

– Zauważyłem. Nie wiedziałem jeszcze, że znów jesteś wziętą aktorką i pomyślałem sobie, że ta oto.. eee... yy...

– Łachudra lub jak wolisz, bezdomna żebraczka – podrzuciłam widząc, że ma z tym trudności.

– Coś w tym stylu – mruknął cicho Artur. – Że ta oto... kobieta i jej koleś wykazali więcej klasy niż ja, który mam się za przyzwoitego i prawego człowieka. To była dla mnie poważna lekcja.

– Naprawdę, tak się tym przejąłeś? – zdziwiłam się.

– Może w innych okolicznościach bym się tak bardzo nie przejął, ale od prawie roku chodzę na terapię. Pracuję nad sobą – wyznał. – Mnie to bardzo pomaga. O, idą...

Odwróciłam głowę i zobaczyłam... Szczelbę razem z moją siostrą! Nie spodziewałam się tego absolutnie. Przez chwilę zamarłam w bezruchu, a wzruszenie ścisnęło mi krtań. Gdy odrobinę doszłam do siebie, wysiadłam z samochodu.

– Helena... – szepnęłam z wysiłkiem i uściśnęłam tę o wiele drobniejszą i bardziej kruchą wersję mnie samej. – Siostrzyczko...

– Nie gniewasz się? Sabina... nie jesteś na mnie zła? – spytała, oddając uścisk.

– Nie, wcale a wcale – odparłam i sama się sobie zdziwiłam...

Jedyne, co teraz czułam, to radość i ulgę. Że jest, że żyje, że... jeszcze nie wszystko między nami stracone.

– A co u ciebie, jak się czujesz? – zajrzałam jej z uwagą w oczy.

– Raczej dobrze... To znaczy bardzo dobrze teraz. Wycięli mi tego guza, na razie nie ma przerzutów. Ale wracam powoli do siebie, włosy odrastają.

Spojrzałam na nią uważniej i wówczas dostrzegłam, że to co ma na głowie, to nie jej własne włosy.

– A jak Jagoda?

– Jagoda! – Helena wyraźnie się rozpromieniła. – Bardzo o mnie dba. Troszczy się... Jest cudowna!

Cudowna i troskliwa... – pomyślałam z lekkim ukłuciem zazdrości.

– To jest moje dziecko – powiedziała Helena, jakby chciała wytłumaczyć mi różnicę w naszych wzajemnych relacjach.

– Wiem... – westchnęłam. – Ona... to czuje jakoś?

– Czuje. To znaczy... tak, czuje, ale o niczym nie wie. Po prostu, przez moją chorobę przekonała się, jak jesteśmy sobie bliskie.

– My nie byliśmy. I nie byłybyśmy, choćby nie wiem co...

Helena objęła mnie za szyję i uścisnęła.

– A... co teraz? – spytała z niepokojem.

– Na razie nic. Wracaj do domu, my mamy coś do załatwienia.

Odwróciła się i ruszyła wolno przed siebie. Nadal była piękna. Szczuplejsza, bledsza, ale taka... bardziej uduchowiona. No cóż, mogłabym i ja tak wyglądać, gdyby to był mój guz i moja operacja – pomyślałam.

Poprosiłam Artura, żeby podjechał pod mój bank. Miałam dwie godziny czasu do jego zamknięcia. Okazało się, że Filip posunął się dalej niż przypuszczałam: nie miał upoważnienia do mojego konta. Był... jego współwłaścicielem! Stan konta był trochę nadwyreżony, ale nie tak bardzo, jak się obawiałam. Filip widać zamierzał korzystać z moich zasobów długo i szczęśliwie, a przed wyjazdem do Ł. czuł się jeszcze w miarę bezpiecznie. Oczywiście natychmiast wszystko odkręciłam i upewniwszy się, że już od tej chwili nie jest w stanie ruszyć ani jednej mojej złotówki, udałyśmy się ze Szczelbą z powrotem pod mój dom. Tam zwolniłam Artura, dziękując mu bardzo serdecznie za wszystko, co dla mnie robił.

Drzwi otworzyła Helena.

– Jest już może Jagoda? – spytała szeptem Szczelba.

– Nie, mówiłam ci przecież, że wróci o dwudziestej drugiej. Masz te dokumenty?

– Droga wolna! – krzyknęła Szczelba w moją stronę.

– A co wy... tu... robicie obie? – zaniepokoiła się Helena.

– Odkręcamy wszystko. Nie bój się, obejdzie się bez przelewu krwi – odpowiedziała jej Szczelba.

Helena wyraźnie pobladła.

– Ale... Jagoda... Co z nią? I... co ze mną? – spytała drżącym głosem.

– Nie bój nic – odparła znowu Szczelba. – Twoja siostra ma łeb na karku, ale to moja szkoła!

– Zanocujemy u ciebie. To znaczy... u mnie – poinformowałam wystraszoną nie na żarty siostrę.

– No ale...

– Jagodzie się powie, że... ciocia Helena wpadła na trochę. Trudno, trzeba się będzie zmierzyć z kolejną rolą.

Spojrzałam na wiszące w przedpokoju lustro. W dzinsach, koszulowej bluzce i płaskich butach Jagoda nigdy wcześniej mnie nie widziała. No, może raz czy dwa, ale dawno i w bardzo szczególnych okolicznościach. To się nie miało prawa nie udać. Musiałam tylko po prostu stać się teraz... Heleną prywatnie.

•

Jagoda w niczym się nie zorientowała. Ucieszyła się z mojej wizyty, bo do tej pory znała „ciotkę Helenę” jedynie z dość ogólnych informacji. Dla niej byłam kobietą, która kiedyś popadła w tarapaty przez alkohol, ale jakoś z nich w końcu wykaraskała. Stąd dziś to spotkanie po latach.

W obecności Jagody nie byłam szczególnie rozmowna. Na wszelki wypadek, ale też dlatego, że była to dla mnie bardzo stresująca sytuacja. Każda chwila dłużyła się niemal w nieskończoność, moje mięśnie, ba, najmniejszy nawet nerw był tak napięty, że czułam fizyczny ból w całym ciele. Może dzięki temu jeszcze mniej przypominałam dawną, dziarską i pewną siebie Sabinę.

Kiedy wreszcie moja siostra zarządziła spanie, odczułam tak wielką ulgę, że wbrew wszystkiemu udało mi się prędko zasnąć. Nastawiłam sobie jednak komórkę na ósmą rano, żeby już od tej godziny czuwać przed powrotem Filipa. Powiedziałyśmy Jagodzie, że chcemy zrobić Filipowi kawał. I że jutro, jak tylko wróci, zejdem w szlafroku na dół do kuchni i zobaczymy, czy się nabierze.

I znowu czas mi się dłużył, napięcie rosło. Przypuszczałam, że Filip wróci najszybciej, jak tylko będzie mógł. Nie pomyliłam się. Był wcześniej niż to sobie obliczyłam. Jak tylko usłyszałam jego samochód, zesłam na dół, przygotowana do tej rozmowy gruntownie.

– Gdzie jest twoja siostra? – spytał od samego progu.

– Ciszej – upomniałam go. – Jagoda jeszcze śpi.

– Gównu mnie to obchodzi – odparł w sposób, jakiego nigdy u niego nie słyszałam. Ba, nie przypuszczałam nawet, że tak potrafi...

– No? Nie było jej tu czasem?

– Kogo? – udałam zdziwienie.

– Twojej siostrzyczki, Sabiny. Durnia udajesz, czy umysł ci już odmawia po-

słuszeństwa?

Zagotowało się we mnie na takie teksty, ale z największym wysiłkiem się opanowałam.

– Sabiny tu nie było. A co się stało?

– Właśnie nie wiem. Ale się domyślam: odzyskała pamięć i świruje. Nie wiem, do czego może się posunąć.

– Czemu? Przestałeś jej dosypywać ten proszek?

– Dobrze wiesz, że to nie ja jej miałem dosypywać, tylko ta łachudra, twoja przyjaciółeczka.

– Kazałeś jej?

– A ciebie co napadło? Kazałem, a nawet zagroziłem, że jak Sabina odzyska pamięć, to ona pierwsza pójdzie do pierdła. W końcu to ona dała jej tą pierwszą dawkę, po której... no, stało się, co się stało.

– Pochowali ją za życia. I cudem się z tego grobowca wydostała.

– A ty skąd o tym wiesz? – Filip na chwilę zastygł w bezruchu.

Wersja dla Heleny brzmiała bowiem, że jej siostra przez cały czas jest zdrowa, bezpieczna i w dobrej formie, ma tylko małe problemy z własną tożsamością. Oczywiście przejściowe i dla dobra sprawy. Na takie rozwiązanie Helena się skusiła i na nie przystała.

– Skąd wiem? Bo... to naprawdę był cud – spojrzałam mu w oczy. – Wiesz jakie to uczucie? Zorientować się nagle, że leżysz w trumnie dwa metry pod ziemią i że nigdy się z niej nie wydostaniesz? A potem, po wielu, wielu długich chwilach niewyobrażalnego strachu, rozpacz, pragnienia, głodu oraz zimna – słyszysz, że ktoś odsuwa płytę i otwiera wieko... Twoja pierwsza myśl to: omamy słuchowe. A druga: to cud! Tak, Filipie. Stąd to wiem.

Filip wyraźnie osłupiał. Stał naprzeciw mnie jak swój własny posąg i przyglądał mi się z wytrzeszczonymi oczami.

– Nie. To nieprawda... To nie ty – wydukał w końcu.

– Owszem, prawda. Skazałeś mnie na śmierć, nieważne, umyślnie czy przypadkiem, tylko dlatego, że nie potrafiłbyś się rozstać z moimi pieniędzmi! Powiedz mi proszę, jak ci się korzystało z mojej forsy, mając świadomość, że mnie zabiłeś? Bo przez kilka dni byłeś o tym przekonany... Czy zakupy sprawiały ci równie wielką frajdę jak przedtem? To właśnie jest dla mnie niepojęte. No, powiedz!

– Dzwonię po policję – oznajmił Filip ni stąd ni zowąd.

Tym razem mnie na chwilę mnie zatkało.

– Nie wiem, kim jesteś, uzurpatorko, bo moja Sabinka z pewnością śpi na górze w sypialni. Albo... biedaczka leży gdzieś związana, na przykład w piwnicy. Niech przyjedzie policja i wszystko wyjaśni – Filip zaczął w nerwowym pośpiechu wybierać numer na komórce.

– Słusznie, niech przyjadą. Myślę, że chętnie posłuchają, o czym naprawdę

żeśmy sobie tu gawędzili – wyjęłam z kieszeni szlafroka dyktafon i położyłam na stole.

– Daj mi to – warknął Filip i rzucił się w stronę stołu.

– Bo? – spytałam, chowając dyktafon z powrotem do kieszeni.

– Bo teraz naprawdę cię zabiję! Oddawaj!

– Uważaj, bo ciągle się nagrywa. Ale nie na tym sprzęcie. Chcesz? Proszę – znów położyłam dyktafon na stole. Mam tu kilka takich, schowanych w różnych miejscach. Nawet gdybyś przeszukał teraz całą kuchnię i znalazł je wszystkie, i tak nie będziesz pewien, czy któregoś nie przeoczyłeś.

– Ile tego masz, co? I gdzie? – pytał, zaglądając chaotycznie w różne miejsca.

– A tego, to ci już ptysiu nie powiem – roześmiałam mu się w twarz. – Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość, bo nie jestem mściwa...

– Zamierzasz mi... wybaczyć? Powiedz, że tak! – Filip zrobił gest, jakby miał zamiar paść przede mną na kolana. – Było nam przecież razem cudownie...

Czekałam. Byłam ciekawa, do czego się posunie.

– Wiesz, że cię Kocham! Kochać nie przestaje się tak łatwo... Popełniłem błąd, Arleta... to tak naprawdę płytka, pusta dziewczucha, praktycznie bez zalet. Nie dorasta ci do pięt! – zmotywowany moim milczeniem Filip plótł jak najęty.

– No pewnie, że nie dorasta – przyznałam w końcu. – Nie ma tyle kasy. Trzeba było wcześniej o tym myśleć. Albo nie, co ja mówię – bardzo dobrze się stało.

– To znaczy? – spytał z lekka zdezorientowany Filip.

– To znaczy, że jedyne, na co możesz liczyć z mojej strony, to że nie wpakuję cię do więzienia za usiłowanie morderstwa, nakłanianie do przestępstwa, za fałszerstwa i nadużycia. A teraz zaczekaj moment, szybko się ubiorę i skoczmy do SABY.

– Po co?

– Napiszesz wypowiedzenie. A ja się przychylę, w trybie natychmiastowym. Chyba nie wyobrażałeś sobie, że będziesz dalej u mnie pracował? A ściślej: szarogęsił się.

Zostawiłam mojego byłego amanta samego i pobiegłam na górę, zabierając ze sobą dyktafon. W rzeczywistości był to jedyny nagrywający sprzęt, jakim się przed chwilą posłużyłam. Na odgłos moich kroków Helena i Szczelba wystawiły głowy z łazienki. Pewnie tam próbowały podsłuchać naszą rozmowę.

– Słyszaliście?

– Nie – odparła Helena. – Niestety...

– To sobie posłuchajcie – wręczyłam im dyktafon. – Jagoda jeszcze śpi?

– Śpi.

Moja... To znaczy, córka Heleny w czasie wakacji miała nieograniczone

możliwości spania; zdarzało się, że po nocnym seansie przed komputerem wstawiała nawet o osiemnastej... Bardzo mnie to irytowało i nigdy nie umiałam nad tym zapanować, ale dziś takie zdrowe odespanie wczorajszej posiadówki było mi zdecydowanie na rękę.

– Niech sobie śpi jak najdłużej. Ja muszę teraz coś załatwić – oznajmiłam i pobiegłam się ubrać.

Ponieważ u siebie w firmie powinnam wyglądać jak ja, a tu wręcz przeciwnie, użyłam złotego środka: włożyłam na siebie skromną bluzkę i podobną w stylu spódniczkę.

– Jestem gotowa, jedziemy – oznajmiłam Filipowi zbiegając ze schodów. – No, rusz się!

Filip podreptał za mną niechętnie.

– Twoim – zdecydowałam starym zwyczajem i wsiadłam do jego auta.

W firmie wszyscy, począwszy od portiera, a skończywszy na mojej asystentce (być może teraz asystentce Filipa), ucieszyli się na mój widok w sposób widoczny i chyba o dziwo... szczerzy. Zdecydowanie nie ucieszyła się Arleta, która była tu teraz zatrudniona na bliżej nieokreślonym stanowisku.

– Coś ty im tu zrobił, że tak się cieszą z mojej wizyty? – spytałam raczej retorycznie.

– Ojej, jak to miło! Jak się pani czuje? Mam nadzieję, że już dobrze? Kiedy pani do nas wraca? – zasypała mnie pytaniami autentycznie przejęta Gabi. – Dobrze pani wygląda – dodała z uznaniem.

– Wolniej, moja droga, bo nie nadażam. Gadasz jak katarynka...

Asystentka spojrzała na mnie zmieszana i jakby trochę wylękniona.

– Przepraszam – bąknęła.

O mój Boże – pomyślałam. – Czyżbym wprowadziła tu aż takie rygory?

– Nie masz za co przepraszać – roześmiałam się. – A do pracy wrócę niebawem. Jak tylko... wszystko będzie jak trzeba. A tymczasem daj mi tu tamtą panią, tę brunetkę w czerwonej bluzeczce.

Dziewucha Filipa weszła do mojego gabinetu, a jej bladość nie ustępowała w niczym bladości Filipa. Mimo licznych wizyt w solarium.

– Proszę – podałam obojgu po kartce papieru. – No! Raz, dwa! Prośby o rozwiązanie umów o pracę za porozumieniem stron. Ale żwawo, bo nie mam czasu!

Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu było słychać wyłącznie stukanie długopisów o blat mojego biurka. Po zakończeniu tej oczywistej formalności puściłam moich gości przodem. Nikt o nic nie pytał.

– Ach – zatrzymałam jeszcze na moment w drzwiach Filipa. – Kluczyki do samochodu i dowód rejestracyjny poproszę.

Filip zrobił się dla odmiany pąsowy jak bluzeczka jego przyjaciółki, ale spełnił moje polecenie bez sprzeciwu. Nic dziwnego. Taka opcja rozwiązania naszych

spraw była dla niego dużym fartem. W myśl jego życiowej zasady, zawsze jakoś to będzie...

– O... już państwo wychodzą? – spytała Gabi z zawodem w głosie, po czym zmieszała się i umilkła.

– Owszem, przy czym ci państwo już tu nie pracują – poinformowałam ją zdawkowo. – Powiedz mi Gabrysiu, jak długo jesteś moją asystentką?

– Jakieś... dziesięć... nie, jedenaście lat – odparła wyraźnie przestraszona.

– Dałabyś sobie radę na moim miejscu?

– Ja.. aaa... a... – Gabi nawet nie starała się ukryć swoich emocji.

Teraz strach na jej twarzy ustąpił miejsca bezbrzeżnemu zdumieniu.

– Oczywiście do chwili, gdy będę mogła wrócić. Potrzebuję kogoś odpowiedzialnego, zaufanego, a przede wszystkim dobrze obeznanego w sprawach firmy.

– Myślę, że dałabym sobie radę – odpowiedziała ostrożnie Gabi. – I starałabym się pani nie zawieść.

Ta dorosła jakby nie było kobieta stała naprzeciw mnie jak uczennica przy tablicy na lekcji fizyki. Wylękłnina, skupiona i pokorna.

– Super – wyciągnęłam do niej rękę. – Wobec tego od dziś aż do odwołania ty tu rządzisz.

Po formalnym ustanowieniu Gabi swoją pełnomocniczką pożegnałam szybko wciąż jeszcze oszołomioną asystentkę.

– O, ciocia! – akurat, gdy parkowałam pod domem auto Filipa natknęłam się na wychodzącą Jagodę. – Jeździsz samochodem Filipa?

– Mama ci nic nie mówiła?

– Nie – dziewczyna spojrzała na mnie z ciekawością. – A coś się stało?

– Skądże. Ale to mama ci o wszystkim powie, jak wrócisz. Na długo wychodzisz?

– Och, na jakieś dwie trzy godziny. Już się dziś nie zobaczymy? – spytała z przejęciem.

– No... raczej dziś już nie.

– Wobec tego... do zobaczenia ciociu – Jagoda ucałowała mnie w policzek.

Jak na nią, była to niezmierna wylewność.

– Do zobaczenia, kochanie – odparłam i uściśniłam ją tak mocno jak nigdy dotąd.

••

XIX

Jeszcze nie jest za późno...

Miałam ogromną ochotę wziąć samochód Filipa i nim wrócić do Ł., co innego jednak przejechać parę przecznic, a co innego gnać taki kawał bez dokumentów. Nie mogłam ich teraz pozbawić Heleny, była w trakcie rekonwalescencji, a jej stan zdrowia był systematycznie kontrolowany. Filip zafundował jej leczenie w prywatnej klinice nie z dobroci serca, ale dlatego, że tam łatwiej było ukryć przekręt z podmianą. Tam po prostu leczyli bez szczególnego pasjonowania się biurokracją. Helena figurowała w tym szpitalu jako ja i nie można było zmienić.

– Jesteś! – moja siostra i Szczelba wyraźnie ucieszyły się z mojego powrotu.

– Ano, jestem – odparłam pogodnie. – Myślę, że sprawiedliwości stało się zadość... A, wchodząc spotkałam Jagodę.

– I co? – zaniepokoiła się Helena.

– Zaskoczyła mnie. Widziała jak wracałam autem Filipa i nie potrafiłam na szybko nic sensownego wymyślić. Powiedziałam, że ty jej wszystko wyjaśnisz. To znaczy – dodałam prędko na widok jej miny – powiesz jej, że się rozstałaś z Filipem i że oddał ci wóz. Powód już sobie sama wymyśl...

– Dobra – westchnęła z ulgą. – Coś wymyślę.

– Wylałaś go? Tak? I poszedł sobie? – zainteresowała się Szczelba.

– A jak myślisz? – odparłam pytaniem na jej głupie pytanie.

– Szkoda. Myślałam, że jeszcze wpadnie na chwilę, po swoje rzeczy, czy coś...

– Tęsknisz za nim? – Spytałam zniesmaczona.

– No...

– Zabujałaś się w nim jednak? A twierdziłaś, że nie gustujesz w... jak go nazwałaś? Kozich synach?

– Bo nie gustuję. Ryj mu tylko miałam życzenie obić – wyznała ponuro. – Ale nie, ty musiałaś się pośpieszyć!

– Nie bój się. Dzięki temu co ja mu zrobiłam, cierpi znacznie bardziej.

– Przyjemności nigdy dosyć – mruknęła Szczelba.

– Zośka, zostaw nas same na moment, okej? – poprosiła ją Helena.

– Bo? – najeżyła się Szczelba.

– Muszę pogadać z siostrą w cztery oczy. O naszych sprawach.

– Jasne – zgodziła się Szczelba z wyraźną ulgą. – Idę w takim razie pooglądać telewizor.

Po jej wyjściu usiadłyśmy z Heleną przy stole w kuchni. Patrzyłyśmy na siebie przez dłuższą chwilę w milczeniu i żadna z nas nie potrafiła sformułować swoich myśli.

– Mój czas się skończył, prawda? – odezwała się w końcu Helena. – Mam się stąd zbierać, czy tak?

– Nie, no nie teraz jeszcze... Musimy to wszystko jakoś uporządkować, poczynić jakieś ustalenia....

– Co proponujesz?

Rozmowa była trudna, nie kleiła się.

– Mamy dwie możliwości – zaczęłam z namysłem. – Albo powiemy Jagodzie prawdę i wrócisz do Ł. razem z nią... Bo ty już nie pijesz, prawda?

– Nie. Moja choroba i moja córka to sprawiły. To znaczy, musiałam przestać pić chcąc się dla niej wyleczyć. To dodawało mi sił.

– Wobec tego nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wróciła do teatru. Może Szczelba ci wspomniała, że trochę tam sobie siebie poudawałam na scenie, zresztą, mniejsza z tym. W każdym razie masz tam teraz dobrze płatną pracę. Masz też dom w przyzwoitym stanie, z prądem, wodą, gazem i niezadłużony.

– Tak, Zośka mi mówiła – przyznała Helena bez entuzjazmu. – A jaka jest druga twoja propozycja?

– W zasadzie podobna. Z tą różnicą, że nie ryzykujemy wyznania Jagodzie prawdy i zamieniamy się jak przedtem. Ja będę nadal jej matką, a ty będziesz ją widywała jako ciotka. Być może uda wam się i w tym układzie zbudować podobne relacje? I na przykład... będzie przyjeżdżała do ciebie na dłużej, a po skończeniu studiów pomożesz jej znaleźć pracę w Ł. i zechce tam z tobą zamieszkać?

– To się tak nie uda... – szepnęła Helena ze łzami w oczach. – Ale właściwie, czegoż ja mogę chcieć? Zmarnowałam sobie szanse na bycie matką i w ogóle... na normalne życie. Powinnam ci być wdzięczna... i jestem, za to co mogę dzisiaj mieć.

Teraz łzy pociekły jej już po policzkach na całego. Poczułam się bardzo niezręcznie. Ale co ja mogłam jeszcze dla niej zrobić? Niestety, życie to nie teatr, żebyśmy mogły się teraz ukłonić i zejść ze sceny przy dźwięku oklasków. Tu kosztą są znacznie wyższe niż cena biletu...

– Helena... Nie płacz, proszę, ranisz mi serce. Bo ja, choć naprawdę bardzo się staram, nie widzę trzeciej możliwości. Nie ma takiej po prostu...

– Wiem – przyznała z tak dojmującym smutkiem – że chyba po raz pierwszy od czasów dzieciństwa poczułam ten szczególny rodzaj empatii, który cechuje wyłącznie rodzeństwa bliźniacze.

– Za trzy tygodnie zaczyna się nowy sezon w teatrze. Tyle czasu musi nam wystarczyć na przygotowanie się do zmian i oswojenie myśli – powiedziałam, starając się nie patrzeć siostrze w twarz.

Nie wiem czemu, ale czułam się tak, jakbym wracając do domu (który, jakby nie było, opuściłam wbrew swojej woli) robiła Helenie krzywdę. Nie potrafiłam tego pojąć.

– Jasne, w porządku – odpowiedziała, już prawie zupełnie opanowana.

•

– Myślisz, że on tam może jeszcze wrócić i coś jej zrobić? – spytała Szczelba ni stąd ni zowąd, już po powrocie do Ł.

– Kto i komu? – zażądałam większej precyzji.

– No... Filip, Helenie, nie pamiętasz?

– Pamiętam, ale skąd mam wiedzieć, o co ci chodzi, skoro nasza ostatnia wymiana zdań miała jeszcze miejsce w W. i dotyczyła taksówki, którą zamierzałyśmy wracać?

– Jasne. I ja się pytałam, czy on jej nie zrobi czegoś, w tej taksówce – Szczelba pozwoliła sobie na mało lotną złośliwość.

– Nie wiem o co pytasz, bo nie jestem w kontakście. Ja też mam pełną głowę myśli, ale na trochę inny temat. To znaczy, na ten sam, ale bez Filipa. Teraz już mogę ci odpowiedzieć, że Helenie nic z jego strony nie grozi, póki mam tę małą rzecz – pokazałam Szczelbie kasetkę wyjętą z dyktafonu.

– Aleś się nagadała! A wystarczyło powiedzieć jedno słowo – Szczelba wyzłościwiła się nadal.

– O co chodzi? Może mi powiesz, co? – tym razem ja ją zaatakowałam i spróbowałam przepchnąć ją przez furtkę. Cała nasza rozmowa odbywała się bowiem pod moim domem, a nie chciałam, żeby pani Małgosia usłyszała cokolwiek.

– Wejdiesz na lampkę koniaku? – zachęciłam ją nieco bardziej.

– Koniakiem mnie nie przekupisz! – warknęła Szczelba z zamiarem odejścia.

– Chwila! – złapałam ją za rękaw mojej własnej sukienki. – Nie chcesz, to nie wchodź, ale nie cyrkuj mi tu pod bramą. I zanim pójdziesz, bądź łaskawa powiedzieć, o co ci chodzi. Ale ciszej.

Szczelba na chwilę przestała wierzgać i spojrzała na mnie spode łba.

– A co by ci się stało, gdyby tak już to zostawić? Źle ci tu? Brakuje ci czegoś? Co cię tam ciągnie z powrotem? – zasypała mnie pytaniami.

– Nie rozumiem... – wydukałam, gdy już odzyskałam głos. – Że... czego ty ode mnie oczekujesz?

– Ja? Niczego. Ale twoja siostra być może tak – teraz Szczelba już mnie naprawdę wkurzyła.

– Słucham?! – zawrzałam świętym oburzeniem. – Mam zostawić swój dom, wszystkie swoje sprawy i cały dorobek swojego życia, bo... bo co właściwie? I w imię czego?

– Taaak? – Szczelba wzięła się pod boki – To może powiedz mi konkretniej: co takiego miałabyś zostawić? Co ty właściwie takiego masz? Konto w banku? Fabrykę... słoików czy czegoś tam?...

– Nie rozumiem...

– Już cię objaśniam: nic nie masz. Takie rzeczy na pstrym koniu jeżdżą, jak kiedyś mój zakład fryzjerski. Był i się zmył, o tak! – Szczelba pstryknęła palcami.

– A co mam dzisiaj? No?

– Nic?

– Mam Adama, a on ma mnie. Wiele razem przeszliśmy. Bo wiesz, co jest najważniejsze w życiu? Drugi człowiek koło ciebie. Taki... na dobre i na złe, w bogactwie i w biedzie. I w chorobie. I w... największym syfie. A ty? Kogo miałabyś przy sobie, gdybyś straciła swoje konta, swoje słoiki i przestała być wielką panią prezes w wielkim biurówcu?

Patrzyłam na Szczelbę z rosnącym zdumieniem i nie odzywałam się ani słowem.

– To ja ci odpowiem – ciągnęła. – Co najwyżej... mnie i Byka. Ale nikogo, nikogusieńko z tych wszystkich, którzy się teraz prześcigają, kto głębiej wlezie ci w zadek. Wiesz? A póki co, masz jeszcze siostrę i siostrzenicę, dla których masz szansę stać się właśnie kimś najbliższym, najważniejszym. I wcale nie kosztem c z e g o ś, bo nie musisz wybierać między bogactwem i biedą, między domem a ulicą – tylko między jednym dostatkim a innym. Ale jak sobie chcesz... fabryko słoików!!!

Szczelba odwróciła się i odeszła, tym razem niezatrzymywana przeze mnie. Byłam na nią wściekła. Miałam poczucie żalu, krzywdy i niesprawiedliwości. Bo jakim prawem żąda ode mnie dokonania takiego wyboru, podczas gdy stosunkowo niedawno to ona postanowiła wywrócić moje życie do góry nogami? Mnie wówczas nikt o zdanie nie pytał.

Weszłam do domu i tak, jak stałam, rzuciłam się na łóżko. Nie miałam na nic siły i na nic ochoty. Widać zużyłam właśnie jakieś ostatnie rezerwy energii.

•

Nie mogłam się pozbierać już drugi, a może nawet trzeci dzień. Moje życie stanęło w martwym punkcie. Czułam się, jakbym wysiadła z pociągu gdzieś w szczerym polu i, mając przed sobą wyłącznie pustkę, musiała zdecydować dokąd mam iść... Im bardziej wyteżałam umysł, żeby wszystko sobie jakoś poukładać, usystematyzować, tym bardziej zawile i poplątane stawało się wszystko wokół mnie, o ile pustka może być zawila. Doszłam do wniosku, że jednak może, ponieważ pustka, czyli nicość zawsze jest następstwem przesyty, nadmiaru, przeładowania, naprężenia... A powstaje w wyniku eksplozji lub pęknięcia. Taaak... A zatem stanęłam pod ścianą. Jeszcze nigdy nie byłam w takim dziwnym stanie, w takim totalnym, kompletnym bezwładzie. Pewnie bardzo bym się teraz bała, gdyby nie fakt, że wszystko było mi zupełnie obojętne.

Straciłam poczucie czasu. Zeszłam na dół raptem jeden raz, żeby otworzyć drzwi pani Małgosi. Sąsiadka uznała, że jestem chora. Naprzynosiła mi rozmaitych

mikstur, miodu, ziółek do zaparzania i gotowych nalewek. Nie protestowałam, kiedy zaczęła kurować mnie tym wszystkim. Było mi wszystko jedno, nie polepszało mi się i nie pogorszało. W końcu zaczęła nalegać, żebym poszła do lekarza. Czyniła to tak namolnie, że postanowiłam w końcu jej posłuchać i obiecałam, że zaraz rano się do niego wybiorę. Zazwyczaj obiecywałam jej, że „zaraz rano” zrobię to czy tamto, ale gołym okiem nie odróżniałam tej pory dnia od innych, pogoda była bowiem przez cały czas taka... wieczorowa. Ale gdy pani Małgosia w istocie przyszła nazajutrz „zaraz rano”, chcąc nie chcąc musiałam się zebrać i wyjść. Szczerze mówiąc nawet nie bardzo wiedziałam dokąd, bo do tej pory nie korzystałam z tu z żadnej przychodni. Odprowadzana wzrokiem przez panią Małgosię sięgnęłam do torebki, chcąc sprawić wrażenie, jakbym sprawdzała, czy mam wszystkie potrzebne do takiej wizyty dokumenty. Nie zamierzałam nigdzie iść, ale akurat trafiłam palcami na kartonik, na którym Artur zapisał mi adres prywatnego gabinetu polecanej przez siebie lekarki.

– Co mi tam – pomyślałam. – I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Do poradni poszłam na piechotę, bo było to dość niedaleko. Zarejestrowałam się, zapłaciłam i usiadłam w poczekalni. Wizyty ustalone były na konkretną godzinę, czego, jak to w przypadku prywatnego leczenia, bardzo przestrzegano. Miałam przed sobą raptem dwóch pacjentów (płci obojga), ale każdy z nich spędził za wyciszonymi drzwiami bardzo dużo czasu. W końcu zbadanie stanu duszy wymaga znacznie bardziej zawitych procedur niż zbadanie ciała...

Pani doktor Anna P. była młodą i pełną zapału lekarką. Zadawała pytania i bardzo starannie notowała moje odpowiedzi. Wszystko było proste, dopóki pytania były proste, a odpowiedzi oczywiste. Nie najgorzej szło mi także mówienie o swoich uczuciach, emocjach, lękach... Jednak gdy lekarka zaczęła pytać o fakty, mogące być przyczyną takiego stanu rzeczy – coś się we mnie zacięło. Mówiłam o wszystkim, co było w miarę racjonalne, o moim dzieciństwie, relacjach z rodzicami, kompleksach względem siostry, o adopcji Jagody, o trudnym budowaniu pozycji zawodowej i materialnej, ale gdy doszłam do miejsca, w którym zaczyna się moje życie w Ł., zamilkłam.

– Czy to dla pani tak bardzo trudne? – spytała lekarka łagodnie.

– Owszem, ale nie tak, jak pani myśli... Mogłabym opowiedzieć wszystko, z detalami, ale... nie mogę. Bo... nie mogę!

– Dlaczego? Trudno to pani z siebie wyrzucić? Czy raczej zwerbalizować?

– Ani jedno, ani drugie – westchnęłam.

Jak miałam jej wyjaśnić, że boję się... aby psychiatra nie uznał mnie za wariatkę? Bo jedynym powodem mojego oporu była świadomość, jak bardzo absurdalne i niewiarygodne są wydarzenia, które spotkały mnie w Ł. Nie potrafiłam się przemóc i opowiedzieć jej o nich.

– W porządku – uspokoila mnie lekarka. – Nie jest pani w stanie opowie-

dzieć mi o swoich przeżyciach, ja to rozumiem. Czego zatem pani ode mnie oczekuje?

– Nie wiem... Na pewno jakiejś pomocy. Ja... ostatnio kompletnie nie umiem żyć...

– Dobrze. Pani... – lekarka rzuciła okiem w moją kartę – Heleno. Na razie zaczniemy od leczenia farmakologicznego. Przepiszę pani leki antydepresyjne i... mam taką szczególną prośbę.

– Tak?

– Proszę zacząć próbować oswoić to, co dla pani takie trudne. Musi pani w jakiś sposób uwolnić z siebie swoje dramaty, zmierzyć się z nimi. Jeżeli na razie nie jest pani w stanie zrobić tego w mojej obecności, proszę przelać wszystko na papier. To pozwoli pani pełniej wyrazić co pani czuje, nazwać problemy po imieniu, uporać się z chaosem.

– Dobrze – obiecałam bez przekonania.

– Proszę notować na luźnych kartkach, według wagi wydarzeń, chronologia nie ma znaczenia. Proszę też opisać ludzi, którzy pani zdaniem mieli wpływ, bądź byli bezpośrednimi sprawcami ważnych dla pani sytuacji. Po zakończeniu opisywania jakiegoś etapu w pani życiu, proszę wszystko przeczytać i wówczas uporządkować w ciąg. To pozwoli pani na dopasowanie skutków do przyczyn, domknięcie całości i uświadomienie sobie wielu rzeczy. Ta świadomość jest podstawą dalszego leczenia.

•

Zaraz po wyjściu z gabinetu zamierzałam wykupić leki i puścić pozostałe zalecenia lekarki mimo uszu. Jednak mimo to kupiłam po drodze paczkę papieru do ksero i kilka najzwyklejszych długopisów. Po powrocie do domu łyknęłam tabletkę i trochę wbrew sobie zabrałam się do pisania. Jednak nie jest to chyba takie głupie – pomyślałam. Już na początku uświadomiłam sobie, że nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad różnymi rzeczami. Na przykład: ważni dla mnie ludzie. Jasne, że byli tacy, ale nigdy nie pytałam siebie o to, jak ważni i dlaczego. Jedni byli ważni, bo robili coś istotnego dla mnie. Inni byli ważni, bo ja byłam od nich w jakiś sposób zależna. Ta „ważność” wynikała najczęściej z korzyści, jakie dawały mi dane osoby, a także z ich obowiązków wobec mnie, bądź moich obowiązków wobec nich. Ale na przykład... taki Maciek. Chłopiec z teatru. Niby nikt, a... przecież dla mnie ważny. Dlaczego? Takie pytania były dla mnie najtrudniejsze, bo nie było na nie prostych odpowiedzi. A Szczelba? Artur? Pani Małgosia? Jak określić korzyści, które oni mi dawali? Odpowiedzi na podobne pytania były dla mnie prawdziwym wyzwaniem. Ale poszukiwałam ich wytrwale, a potem notowałam, notowałam, notowałam....

Zbliżał się koniec sierpnia. Moje życie wyciszyło się znacznie i ustabilizo-

wało. Leki, które zapisała mi lekarka, pozwoliły mi widzieć te same rzeczy zupełnie inaczej niż przedtem. Zaczęłam dostrzegać jasne strony tam, gdzie przedtem ich po prostu nie było. Pisanie natomiast sprawiło, że dostrzegłam w swoim życiu konkretny ciąg wydarzeń, nie jak do tej pory, pojedyncze, niczym nie uwarunkowane „przypadki losowe”, ale jako następstwa i konsekwencje moich własnych wyborów. To z kolei sprawiło, że przestałam obwiniać wszystkich innych za własne niepowodzenia. Uczyłam się na nowo cieszyć z małych rzeczy, jak w dzieciństwie... Tak było do czasu, gdy któregoś wieczoru zadzwoniła Jagoda.

– Przepraszam, ciociu, że dzwonię tak późno, – powiedziała ścisłym głosem – ale dosłownie nie wiem, co robić. I nie mam się do kogo zwrócić...

– Dobrze, że dzwonicz, kochanie – odparłam ciepło. – Mów, o co chodzi?

Jakkolwiek telefon Jagody mocno mnie przestraszył, równocześnie zrobiło mi się jakoś niewytłumaczalnie miło. „Nie mam się do kogo zwrócić” zabrzmiało jak: „jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić”.

– Wydaje mi się, że mamie się pogorszyło – westchnęła głośno w słuchawkę.

– Czyli? Co to znaczy? Była u jakiegoś lekarza? – wypytywałam przejęta.

– Tak, jest pod stałą kontrolą, ale... jakaś taka przybita chodzi od rozstania z Filipem. Boję się, że to może źle wpływać na jej stan zdrowia. Tak sobie pomyślałam, że... gdybyś wpadła do nas na trochę, ciociu, pocieszyła ją jakoś, dodała otuchy...

Jagoda zamilkła, po prostu urwał jej się głos.

– Jasne, że przyjadę – zdecydowałam natychmiast. – Będę u was jutro w okolicach południa. Ale mam prośbę: nie uprzedzaj jej o tym, dobrze? Zrobię jej niespodziankę.

Wiedziałam, że tu przecież nie chodzi o Filipa, tylko o coraz szybciej upływający termin naszej umowy. Dlatego nie chciałam, żeby Helena już dziś stresowała się moim przyjazdem.

Rano spakowałam się na chybcika, włożyłam na siebie dzinsy, koszulkę i lekką sportową kurtkę, a następnie zadzwoniłam po taksówkę. Nie miałam głowy ani cierpliwości do tułania się pociągami, nie chciałam też nadużywać uprzejmości Artura. Zresztą było mnie stać na taksówki, a już na pewno do czasu, gdy znów będę miała prawo jazdy.

Helenę zastałam siedzącą w ogrodzie. Czytała coś, z twarzą podpartą na dłoni.

– Witaj, siostró – krzyknęłam przez płot. – Cóż to studiujesz tak ciekawego, że świata nie widzisz znad tej lektury?

– Ojej! Cześć, zaskoczyłaś mnie...

...Heleno – podrzuciłam, żeby z tego zaskoczenia nie nazwała mnie Sabiną.

– Zaskoczyłaś mnie, Heleno – powtórzyła zmieszana. – Coś się stało, że przyjechałaś tak nagle i bez zapowiedzi?

– Byłam w pobliżu – skłamałam. – Jak więc mogłabym nie wpaść do was na chwilę?

– Ciocia! – ucieszyła się Jagoda zbiegając ze schodów. – Na długo przyjechałaś? – Na... wystarczająco – odparłam z uśmiechem.

Weszliśmy do domu, Jagoda podała kawę i ciasto, ale rozmowa jakoś się nie kleiła.

– Przepraszam was, ale muszę na chwilę wyjść. Mam coś do załatwienia na mieście – zmyśliła Jagoda mało przekonująco. – Pogadajcie sobie w tym czasie...

– Jak się czujesz? – zapytałam Heleny po jej wyjściu.

– Dobrze – odpowiedziała. – Jestem teraz trochę osłabiona, ale dobrze. A teraz mów, co się stało? Bo... daruj, ale nie wierzę w to twoje „byłam w pobliżu”. Jagoda maczała w tym palce?

– Tak – przyznałam. – Boi się o ciebie. Uważa, że coś ci dolega.

– Bo dolega – westchnęła Helena. – Ale nie to, o czym myśli...

– Martwisz się?

– Chciałabym zatrzymać czas... – siostra spojrzała na mnie ze smutkiem. – Ale cóż, nie mam takiej możliwości... Pora się z tym pogodzić.

– Ja go dla ciebie zatrzymam – szepnęłam, ściskając jej drobną, chłodną dłoń.

– Cccc.... coo? O czym ty mówisz?

– Przemyślałam wszystko. Właściwie od naszego rozstania nie robiłam nic innego, tylko myślałam. Oddzielałam rzeczy najważniejsze od tych mniej ważnych, a te mniej ważne od całkiem błahych... I wiesz, co mi wyszło?

Helena spojrzała na mnie, wstrzymując oddech.

– Zostaję w Ł. – oznajmiłam.

– Żartujesz teraz? – spytała Helena niepewnie.

– Nie. Przyjadę tu za tydzień lub dwa i wówczas załatwimy wszystko jak należy.

– To znaczy?

– To znaczy... że jeśli rodzice nie są już w stanie z jakichś przyczyn prowadzić swoich interesów, zostawiają je dzieciom. Jagoda lada chwila skończy studia, pora, żeby się zajęła czymś konkretnym. A ty... cóż tu dużo mówić... Pora, żebyś przepisała w końcu firmę na córkę. Nie sądzisz? – mrugnęłam do niej.

Helena długo, bardzo długo patrzyła na mnie bez słowa. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale albo nie umie znaleźć właściwych słów, albo nie chcą jej przejść przez gardło.

– Na mnie też już pora, koniec laby, czas wracać na deski. A tymczasem... zrobmy może jakiś obiad? W brzuchu mi burczy...

Siostra uniosła się z krzesła i spojrzała na mnie tak jakoś... promiennie. Wy-

glądała w tej chwili dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy dostała swoją pierwszą rolę w filmie: była uosobieniem radości i nadziei. Była piękna.

••

Posłowie

Być może powinnam zostawić ten tekst bez żadnego komentarza, ale to w zasadzie jeszcze nie koniec. Tuż po postawieniu ostatniej kropki nad ostatnim „i”, przeżyłam jakieś koszmarnie déjà vu. Otóż, przeczytałam w pierwszej lepszej porannej gazecie, że... Helena P. nie żyje. Zmarła w szpitalu w Ł. po długiej walce z nowotworem. Informację o jej śmierci podał do wiadomości publicznej jej drugi mąż. Pogrzeb odbędzie się w czwartek w Ł., na cmentarzu X.

Siedziałam nad tym niusem kompletnie ogłupiała. Do tej pory traktowałam zapiski Heleny jako niesamowicie pogmatwaną, ale od biedy mogącą się wydarzyć historię. Brzmiącą i owszem, dość nieprawdopodobnie, ale osnutą na pewnej logice i ciągłości wydarzeń. Teraz jednak pewne rzeczy zaczęły mi zgrzytać. Postanowiłam w miarę możliwości i tylko dla siebie zweryfikować pewne kwestie, w oparciu o zawarte w zapiskach wiadomości. Nie było łatwo, bo Helena przed oddaniem mi notatek wiele nazw, imion czy inicjałów zamazała flamastrem. Informacji szukałam przy pomocy Internetu oraz jednodniowej, pogładowej wycieczki do Ł.

A oto, co ustaliłam:

W mieście W. znajdują się dwie firmy, działające w opisaney przez Helenę branży.

W mieście Ł. na wymienionym przez Helenę cmentarzu znajduje się grób Leona Potockiego, urodzonego w 1952 roku, jednak nie zgadza się data jego śmierci.

Na ulicy opisaney przez Helenę i w podanym przez nią miejscu nie ma domu jednorodzinnego, jest blok mieszkalny z lat pięćdziesiątych. Na skwerku przed blokiem rosną krzewy jaśminu.

Na parkingu pod Tesco można spotkać dosyć steraną życiem parę, poza tym nikt inny nie pasuje do opisu Heleny.

Ulica, na której powinny być „apartamentowce”, jak najbardziej istnieje i znajduje się tam między innymi rudera z przeznaczeniem do wyburzenia.

Nigdzie nie spotkałam się z informacją (pisemną, ustną czy jakąkolwiek), że Helena P. miała dziecko.

Nigdzie nie spotkałam się z informacją (j.w), że... Helena P. miała siostrę.

Jedyne, co mi się zgodziło w całej rozciągłości, to adres poradni zdrowia psychicznego, w której leczyła się Helena, wraz z imieniem i nazwiskiem lekarki. Z tego co się dowiedziałam, prowadzi ona dość kontrowersyjne metody leczenia alkoholizmu; przez zmianę tożsamości alkoholowej za pomocą negacji i projekcji. Polega to na tym, że pacjent odtwarzając w pamięci minione wydarzenia ma za zadanie zmienić w swojej świadomości obraz samego siebie. Pomóc ma mu w tym

personifikacja (uosobienie), a następnie unicestwienie (uśmiercenie?) ciemnej strony swojej osobowości (z jej słabościami, nawykami, emocjami, potrzebami, uczynkami). Następnie pacjent rozpoczyna świadome kreowanie nowej rzeczywistości, uczy się pozytywnego myślenia, odkrywa inne potrzeby, nawyki, uczucia, emocje. Terapia, mimo licznych kontrowersji, jest podobno dość skuteczna.

Drugi mąż Heleny miał na imię Artur, tak samo jak przyjaciel z zapisków Heleny, który polecił jej tę poradnię.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

I. Niby nic, a jednak sensacja

II. Tropem pewnego niusa

III. Jej historia w moich rękach

IV. Nazywam się Helena

V. Nowe życie, nowy styl

VI. Powrót na deski

VII. Sabina

VIII. Z szacunkiem do nieboszczki

IX. Nie ma takiego numeru

X. Demony przeszłości dalekiej i bliskiej

XI. Siedem trąb Apokalipsy

XII. Dzieci wcale nie są takie głupie

XIII. Ostatni arystokrata PRL-u

XIV. Teściowa, i wszystko jasne.

XV. Włam

XVI. Szuja

XVII. Jak na spowiedzi

XVIII. Gruntowne sprzątanie

XIX. Jeszcze nie jest za późno...

Posłowie



 dla Eli



*Konieczn
przeczytaj książki
Danuty Noszczyńskiej!*

